

Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadczenia ludzkości

/.../

Dzieło sztuki – mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena zł 35.—

a

t. 3

akcent

literatura i sztuka
almanach



akcent

a

akcent

literatura / sztuka
sztuka / literatura

wydawnictwo subecko 1980

a

t.3

akcent

literatura i sztuka
almanach

wydawnictwo lubelskie 1980

REDAGUJE KOLEGIUM W SKŁADZIE

ZBIGNIEW W. FRONCZEK (proza),
JERZY K. MISIEC (sekretarz redakcji),
ANDRZEJ W. PAWLUCZUK (krytyka i esastyka),
JAN POPEK (plastyka), **ZOFIA WOJCIKOWSKA**,
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (przewodniczący),
BOHDAN ZADURA (poezja i przekłady)

Projekt okładki
i karty tytułowej
JAN POPEK

Opracowanie typograficzne
ZBIGNIEW MAREK

PL 15334 0000-0200
ISBN 83-232-6130-1

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie
Lublin 1988

SPIS TREŚCI

- Bohdan Zadura: *Kalendarz* /7
Zbigniew W. Fronczek: *Możliwości i apetyty czyli mysz na śniadanie* (poemat heroikomiczny prozą) /15
Sławomir Magala: *Polska „nowa powieść”* /35
Paweł Gembal: *wiersze* /42
Adam Fiala: *Mokre wakacje* /49
Maciej Cisło: *wiersze* /68
Janusz Olczak: *Janusz Olczak* /75
Zdzisław Smektala: *wiersze* /89
Alina Kocharczyk: *Strategia narracji w powieściach Michała Choromańskiego* /94
Jacek Pankiewicz: *Prozodia* /105, *Pod pomnikiem* /108, *Poranny znany motyw* /110, *Jej słowa* /110, *Amor a Psyche* /111, *Na landszafcie* /112
Stanisław Żurek: *wiersze* /114
Jan Miziński: *Kompleks Polski Guntera Grassa* /119
Gunter Grass: *Spotkanie w Telgte* (fragment) /126

PRZEKROJE

Zasada ryzyka (seria „Debiuty Pojezierza”): A. Staniszewski *Marzenie o transcendencji*, J. Roslan *Bez recepty na świat*, J. Lewoń *Bez Jakubowej drabiny*, W. Michalski *„Przecucie bitwy”* czyli z tarczą lub na tarczy, A. Niewczas *Sceptyk pocieszenia szukający*, J. Roslan *Szpital jako ludzki wynalazek* /145

PLASTYKA

Stanisław Popek: *„Być...”* (malarstwo Jana Popka) /159
Jan Popek: *Wyznanie* /161

TEATR

Adam Kulik: *Teatr amatorski na Zamojszczyźnie* /162

SŁOWA I METODY

Jerzy Swięch: *Sporu ciąg dalszy* /174

LISTY NIE WYSLANE

Zbigniew W. Fronczek: *List do Witolda Gombrowicza* /178

OBYCZAJE

JKM: *Lider i peleton ekspertów* /183

BOHDAN ZADURA

KALENDARZ

„Ta karczma Rzym się nazywa”
A. Mickiewicz

Wiatr z Tomi

Nie wiem czemu ją sobie przypomniałem
Twa trzyletnią córkę, jak w ogrodzie bukiet
Z dmuchawców zrywa i przed wiatrem
Oslania bezbronnymi rączkami,
Mając w uszach jeszcze wielojęzyczny
Gwar popołudnia, w oczach rzeki wyschnięte
Czemu o naszych pomyślałem
Wtedy dłoniach, twoich, moich i jej,
W tę piękną chłodną noc pod koniec lata
Pachnącą skalnym olejem i smolą,
Gdy czekaliśmy pod zamkniętym
Szlabanem w smutnym kraju poety
Nazona, wsłuchując się w daleki głos
Obco i głucho dudniącego pociągu
Kilkaset kilometrów na północ
Od Eforii

Marcellus do Lucjusza

Więc śniła ci się Silviana, Lucjuszu?
Jej głos mówiący — Twoim celem jest śmierć —
Ułyszaleś, gdy w popołudniową drzemkę
Zapadłeś. To jednak

Nie było samobójstwo. Nieszczęśliwy
Był to wypadek. Uderzyła głową
O dno basenu. Rzeczywiście stało się to
Po południu. Nie musisz

Suchać przyczyn w przeszłości tak odległej.
Głos? Głosu tego wyjaśnić nie umiem.
Ta śmierć, Lucjuszu, w smutku nas pogrąża,
Lecz nie obciąża winą.

Tak bezpowrotnie młodość nasza odchodzi.
I pewnie chciałbyś krzyżeć, czemu to
Zrobiła. Czyż nie ciebie ci żal? Pomyśl,
Że zostawiła dwoje małych dzieci.

Klaudia do Silwany

Musiała przecież być taka chwila,
Gdy się spotkali ci dwaj. Dalabym wiele
Za to, bym mogła rozmowę ich słyszeć.
O, Silvano, przecież może obecna

Byłam przy niej i nie słyszałam nic.
I dziś nie wiem nawet, kiedy to się stało.
Przed rokiem? przed miesiącem? Czyż tak ślepa
Byłam, że dostrzec nie umiałam w porę?

Dziś jest na wszystko za późno. Jeden
Błąd więcej, jedna więcej nauczka.
O czym rozmawiali ci dwaj; ten Lucjusz
I tamten Lucjusz, o którym nic nie wiem?

Lucjusz do Klaudii

Jeszcze wczoraj nieopatrznie mówiłeś,
Jestem szczęśliwy i cieszyłam się z tobą.
Lucjuszu, tymczasem już dzisiaj
List mi przesyłasz śmiertelnym smutkiem

Przepelniony. Dziś zrozumiałeś — piszesz —
Że nigdy już nie będziesz umiał samotnie
Żyć, że już nigdy cię nie opuści
Ten lęk, którego przedtem nie znałeś.

Sergiusz do Lucjusza

Gdy na ból w krzyżu skarżyłeś się, Klaudia
Roześmiała się, przeciągnęła jak lwica.
— Bądź cierpliwy, to wkrótce minie —
Mówiły jej żrenice rozwarłe.

Przyzwyczajmy się i wygaśnie ten
Płomień — i słyszałeś ironię w jej głosie.

I obawę, i smutną pewność,
Jakby przyszłość umiała zobaczyć.

— To choroba młodych małżeństw — mówiła,
Uśmiechając się, gdy słonce do pokoju
Wdzierało się i wiatr firanką
Poruszał, odsalając błękit czerwca.

Klaudia do Lucjusza

Nie będę cię zatrzymywać. Nie musisz
Bać się mnie, Lucjuszu, ale miej odwagi
Tyle, by mi to, o czym piszesz,
W oczy powiedzieć. Dopóki tego

Nie zrobisz, niczego do wiadomości
Nie przyjmuję, nie wierzę. O to cię proszę,
Po tym wszystkim, co przeżyliśmy,
Mam prawo żądać tego od ciebie.

Jeśli na mnie ci już nie zależy,
O sobie chociaż pomyśl; abyś bez wstrętu,
Bez pogardy dla siebie mógł żyć,
Jeżeli możesz już żyć beze mnie.

To jedno winien jesteś mnie i sobie.
Nie zasłużyliśmy na to, by bez słowa
Rozstać się; nie zniósłabym myśli,
Że tchórzem jest ten, kogo kochałam.

Do Lucjusza

Zamknij oczy i nie żałuj chwili,
Którą zobaczysz znowu. Cokolwiek było,
Minęło nie nadaremnie. Kto inny
Inną dzisiaj Klaudię trzyma w ramionach.

Wiesz, że żyje. Niechaj to wystarczy.
Nie dopytuj się o nią, jeśli usłyszysz
Nie chcesz, że się roztyła. Niechaj lepiej
Ma stale tamte dziewiętnaście lat

Gdybyś zaś nagle poczul skurcz w krtani,
Dowiedziawszy się przypadkowo, że znowu
Z kim innym mieszka, ciesz się, że za darmo
Dają ci bogowie po latach zaznać

Zazdrości, do której nie masz prawa.
Nie zazdrość jej kochankom, to oni winni
Zazdrościć tobie. Znałeś Klaudję, jakiej
Nigdy już nie zobaczą. Obietnicę,

Którą jej niegdyś złożyłeś, teraz
Możesz wypełnić; urodę jej opisać:
Nad karkiem mlecznym wysoko upięte
Złote włosy, od których słońca promień

Odbija się spopielaly. Pieprzyk
pod prawym okiem i pod łopatką znamię.
Możesz teraz sławić jej gniew natchniony,
Którym płonęła jej brzoskwiniowa twarz,

Język jej niby jaszczurka zwiny,
Uległe uda oplatające jak bluszczyk
I kłamstwa, którymi do rozpacz
Doprowadzały cię jej chłodne usta.

Jeżeli masz dość odwagi, pomyśl,
Że mogło być inaczej. Jeśli nie — pomyśl,
Że kogo innego dzisiaj niepewność
Dręczy, kiedy ty już jesteś spokojny.

Małżeństwo

Pytasz mnie, jak poznałam swego męża?
Zobaczyłam go na wyścigach, podeszłam
I powiedziałam: — Nie wiesz tego,
Bo i skąd mógłbyś wiedzieć, że jestem

Najpiękniejszą, najmądrzejszą, jedyną
Dziewczyną na świecie, więc jeśli dziewczyny
Szukasz, zaufaj mi; na próżno nie trać
Czasu, którego nikt nam nie wróci.

Nie wiem, skąd tyle odwagi znalazłam,
Czy mówiłam tak przekonywająco, czy
Przestraszył się mnie; byłam brzydka
I gruba; dziś trudno w to uwierzyć.

Następnego dnia poprosił, bym jego
Została żoną. Od tamtej chwili, kiedy
Pierwszy raz go ujrzałam, już sześć
Lat minęło i jest bardzo dobrze.

Tak samo Sergiusz żonę swoją pojął
— Mówi Korynna — Pamiętasz Klapoucha,

Który Silvanę kochał, tydzień
Mija od jego ślubu z poetką

Marią. Powinieneś — mówiła stale
Jego matka — ożenić się i dziecko mieć,
Pić może byś przestał i wreszcie
Zmądrzał. Kiedy więc zobaczył z dzieckiem

Poetkę, powiedział: — Podobasz mi się.
— Trzy sprawy oto tak załatwiłem:
Małżeństwo, dziecko, abstynencję,
Widzisz — tak mówił Sergiusz Klapouch.

Lucjusz do Marka

Czyż przyjaźń nasza, Marku, która tyle
Lat już trwa, która z burzy niejednej
Silniejsza wyszła, którą każdy
List bogaci, nie na tym się wznosi,

Iż mówiąc mało, wiele rozumiemy?
To prawda, że odmiennymi już drogami
Biegnie nasze życie, że innych
Spotykamy ludzi, inne sprawy

Toczymy i innych słuchamy plotek.
To, co minęło, nowe zaś puszcza pędy;
Nie znają się ci, co się znali,
Ktoś umarł, jak Silvana, z kim innym

Wino piję, więc prawdą jest, że swoje
Prywatne życie osobno budujemy.
Lecz kiedy pisesz, że dla ciebie
Ratunku nie ma, rozumiem wszystko,

Tak jak ty rozumiałeś moją rozpacz
Przed laty; rozumiem, chociaż nie wiem, kim jest
Ten aktor, gdy ty znałeś Klaudję
I jej wszystkie pomysły szalone.

Do Marcellusa

Jeżeli wiesz, co masz uczynić, uczynź to,
Nie odkładając niczego na jutro,
Najlepsza jest chwila, która mija,
Nie czekaj na czasy lepsze.

Rób swoje, może już nie nadejść pora
Sposobniejsza, wiek złoty nie trwa wiecznie.
Ostygnie zapal twój, jak przemija
Z dniem każdym uroda dziewcząt.

Zapowiadałeś się tak dobrze, tyle
Pomysłów miałeś i tyle nadziei
Pokładaliśmy w tobie. Pamiętaj,
Już lat siedemnastu nie masz.

To nie do wiary, Marcellus, to dziecko
Cudowne, bogów ulubieniec z dolkiem
W brodzie rozkosznym, czterdzieście dzisiaj
Już urodziny obchodzi.

Ostrzeżenie

Strzeż się Cassianusa, kasa jak dzikie
Zwierzę, a ponieważ tchórzem, jak pamiętasz,
Był zawsze, teraz, gdy wpływy ma,
Sam proskrypcyjne listy układa.

Czyż mogliśmy przypuszczać wtedy,
Gdy Sekwencjusz go karcił za błędy składni,
Gdy żadnego z jego wywodów
Pojąć nie mogliśmy, bo tak mętne

Były i ciemne, i sensu wyzbyte,
Czyż mogliśmy przypuszczać, że krótki minie
Czas i czynów logiką błysnie,
Siłę stawiając ponad uczciwość?

Rozpraw jego czytać nie sposób. Jednak
Wiadomo przeciw komu są wymierzone.
Samozwańcym się Sekwencjusza
Uczniem mieni, myśl jego fałszując.

Pomyśl, jak nicość może się rozrosnąć.
Nie doceniliśmy tego. Ten Cassianus,
To zero, pierwszym filozofem
W mieście jest albo lada dzień będzie.

Biedny, nie wie, że pionkiem jest w grze, którą
Kto inny toczy, ufa pochlebcom, wierzy
W swe kłamstwa. Nim runie, nim w oblęd
Zepchną go bogowie, strzeż się, bowiem

Nic dobrego kariera ta nie wróży.
Pamiętasz, jak na łopatkę powaliłeś
Go w chłopięcych latach? Pamiętasz
Tę nienawiść, jaką płonął mu wzrok?

Do Venceslausa

To, o czym mi piszesz, Venceslausie,
Smutne jest i smutne, że już przywykliśmy
Do tego, jakby inaczej nie mogło
Być, i już gniewu nawet nie czujemy.

Więc jeśli możesz, przyjeżdż. Wśród sadów
Kwitnących, pod niebem, gdzie skowronek wisi
Wysoko niby grudka śpiewu szara,
Odetchniesz powietrzem innym. Wspomnimy

Klaudię, Lucjusza poetę, który
Przez nią pióro swe złamał i Silvane,
Siostrę jej, której pomiędzy żywymi
Już nie ma. O poranku krzyki żadne

Snu ci nie przerwą. Pies tylko szcześnie
Radośnie witając słońca pierwszy promień.
Są rzeczy proste, które dzisiaj więcej
Niż kiedykolwiek znaczą. Dłoń otwarta,

Spojrzenie jasne, dom, w którym można
Powiedzieć wszystko, ufnosć i ciepło, które
Z serc prawych płynie, zwykła godność. Tedy
Z radością wielką będziemy cię witac.

Rak nie zalamuj ani głupocie
Pola bez walki nie oddawaj. Przerminie
Czas wrzawy jak i Troja przeminęła.
Bez wstydu patrzmy w płomień i gwiazd światło.

Pomyśl, ile możemy uczynić,
Zabawką będąc w rękach bogów i ludzi
Jak wonczas, kiedy cesarz Kaligula
Konia swego do senatu wprowadzał.

Ave

Kilku przywołuję przyjaciół Kamień
Jeden który beznamiętnie podniosłem
Sprzed bramy domu

Miasto jak ogród w którym przekwitają
Rośliny i słońce wypala
Trawę na klombach

Mosty fontanny na placach pociągi
Srebrną mgłę pokrywającą szklanki
Widzę ich twarze

Za niebieskawą mgłą drżącą niby w dzień
Upalny powietrze nad asfaltem
W samo południe

Pokochaj czas który przemija szybko
Niechaj cię nie przeraża zegar
Jego bijące serce

Oddaj mu to co jesteś mu winny
To czas cię obdarzył nad miarę
Pokochaj kalendarz

W którym Silvana Klaudia Lucjusz Maria
Sergiusz Venceslaus Marek Marcellus i ty także
Masz swój dzień

Bohdan Zadura

Służyć, ale nie dozwolić, aby się nami posługiwano.

François Mauriac

ZBIGNIEW WŁODZIMIERZ FRONCEK

MOŻLIWOŚCI I APETYTY CZYLI MYSZ NA ŚNIADANIE

(poemat heroikomiczny prozą)

1

Lapię się na tym, że chcę wołać: Zbyszkule, popatrz, biegnie
mysz! Ale mojego pięcioletniego syna nie ma w domu.

Dlaczego się zawstydzam?

Czy boję się pomówień o rozmawianie z samym sobą?

2

Tak, pamiętam, miałem wtedy pięć lat. Przyglądałem się niedźwiedziowi. Wielkiemu białemu misiowi, z jakim można jeszcze dzisiaj pozować do zdjęć na ulicach Zakopanego, Krynicy a nawet Warszawy. Za mną stała matka. W każdym momencie mogłem chwycić ją za rękę. Gdy uczyniłem to — nie poczułem się jednak należycie bezpieczny. Podniosłem oczy i spłoszyłem się, jak nigdy dotąd w swym życiu. Trzymałem za rękę nie znaną mi kobietę.

Przypomina mi się ciągle ta historia, chociaż miała miejsce ćwierć wieku temu. Czasami myślę, że dotykałem myszy.

Gdyby jednak kobieta pogłaskała mnie po głowie, czy nie spłoszyłbym się jeszcze bardziej?

3

Dalszy ciąg zwierzeń ojca

Lapię się na tym, że chcę wołać: Zbychu, popatrz, biegnie mysz! Lecz cóż mojego trzydziestoletniego syna obchodzi mysz. Zawstydzony sięgam po książkę.

— Ty śmieszny chłopie — myślę o sobie — zupełnie nie zauważasz, że przeleciało tyle lat.

PAMIĘTAM

Pracowałem kiedyś w muzeum utworzonym w pałacu hrabiego Z. Spisywałem książki ocalałe z imponującej kiedyś kolekcji. Biblioteka mieściła się na pierwszym piętrze. Przed drzwiami, w szerokim korytarzu, stał posąg Afrodyty rozmiarów dorosłej kobiety. Każdego dnia, nim przekreśliłem klucz w zamku, poklepywałem Afrodytę po marmurowym zadzie. Tamtego dnia chciałem zbiec na parter, by załatwić nieistotną historię, wyszedłem z biblioteki i zobaczyłem, że na białym palcu Afrodyty siedzi mysz. Mysz to mysz. Mnie nie przeszkadzała. Położyłem dłoń na pośladku Afrodyty i zamarłem ze zdumienia. Poczulem pod ręką chłodne ciało pokryte gęsią skórą! Trzymałem dłoń na żywym, drgającym ciecie! Pod dotykiem ciało stawało się cieplejsze. Nie wiem czemu, lecz zdawałem sobie sprawę, że żywą kobietą będzie tylko przez moment, ale jak długi? Wykorzystać to, przemknęło mi przez myśl. Jak? Mogłem ją uszczypnąć, lecz to nie to. Co mogłem z nią jeszcze zrobić? Starałem się zapamiętać delikatną chropowatość ciała pokrytego gęsią skórą.

Mysz musiała mnie dostrzec. Umknęła. Gęsia skórka ustąpiła. Pod moją dłonią coraz wyraźniej czułem gładki i z każdą sekundą zimniejszy marmur.

Popatrzyłem w jej oczy.

Znam mitologiczny fakt, gdy pewien rzeźbiarz zakochał się w posagu wykutej przez siebie kobiety. Swą miłością wzruszył nawet Zeusa, który ożywił posag. Żyli rzekomo długo i szczęśliwie.

Czy mógłbym znaleźć się w podobnej sytuacji?

Jakim uczuciem mógłbym ją obdarzyć? Silniejszym i bardziej wzniosłym niż Ankę? Co mogłaby mi dać? Niewątpliwie tej wiosny okrzyknęto by ją najpiękniejszą kobietą świata. Zaangażowałiby ją do filmu. Wróciłaby do mnie? Musiałaby!

Czy byłaby wyrozumiała chociażby jak Genka? Choć niezmiernie piękna, to jednak Anka ma znacznie obfitszy biust. W dodatku jest jeszcze Halina, która pisuje do mnie wzruszające listy. Czy nie przysporzyłyby mi kłopotów? Nie wiem. Ważne, że wiem, iż nie zawsze musi być martwa w kamieniu, może być także najbardziej cielesna.

Myslałem nad tym nie raz.

Poszukiwałem różnych kobiet. Byłem jak Orfeusz, pracowałem jak Herkules.

Nie wdychałem jednak do marmurowego posagu.

Chociaż tamten dotyk kobiecego ciała...

Nigdy nie zapomnę!

Znam wiele melodii.

Nie wszystkie potrafię jednak zanucić.

Istnieje baśń,

że w pewnym mieście nie mogli sobie poradzić z plagą myszy.

Pomógł im pewien młody człowiek, za którym ruszyły myszy, bo na flecie potrafił wygrać dziwną melodię

Lecz w mieście nie dotrzymano umowy i nie wynagrodzono go

Wtedy zagrał na flecie i miasto razem z nim opuściły dzieci

Teraz słyszę TEN FLET.

Kogo wyprowadzi dzisiaj z naszego miasta?

O większego trudno zucha, jak był Stefek Żdźbło pseudo Burczymucha vel Janosik.

Stefek żyje sobie w D. Jest nadal zuchem, ale już chyba nie takim chojrakiem jak kiedyś. Wtedy nie rozstawał się z bronią, dziś w dniach szczególnych uroczystości zakłada medale. Często chodzi do knajpy „Pod Zielonką”. Lubi wypić. Wtedy śpiewa: wojenka, wojenka, cożeś ty za pani. Czasem krzyczy: Komu się ustrój nie podoba?! Ci co go znają od lat, twierdzą, iż okrzyk ten wznosił także za sanacji.

OPOWIADALI MI O NIM

W lipcu 43-go jechał pijany porucznik SS. Stefek Burczymucha vel Janosik też był tego dnia pijany. Jeden z moich rozmówców dawał co prawda głowę, że pili razem, ale inni stanowczo się temu sprzeciwiali. Nieprawdą więc chyba jest, że pili razem. Nie ulega jednak wątpliwości — pili w tym samym czasie, być może nalewkę z tego samego źródła, gdyż nikt w okolicy nie pędził tak doskonałego bimbru, jak Marcin Kot. Zaopatrywali się u niego w samogonkę chłopcy z AK i BCH, ci z NSZ i SS-mani.

Prawdą jest, że ich drogi się zbiegły. Stefek Burczymucha vel Janosik zatrzymał samochód prowadzony przez pijanego porucznika. Kazał mu wysiąść i zdjąć mundur. Niemiec dalszą

część drogi odbył pieszo i w białźnie. Burczymucha przywdział mundur SS. Usiłował sprzedać samochód, lecz najzamożniejszy kupiec tamtych stron, Mosze Rozenfeld, gdzie się ułotnił.

9

OPOWIADAJĄ O NIM

W sierpniu 43-ego przez Zawichost pedałuje na rowerze Stefek Burczymucha. Szybko niczym na wyścigach, jak Stankiewicz i spółka na olimpiadzie w Paryżu. Jasne, że jest w mundurze. Ludzie przystają i biją mu brawo. Znąją pocucie humoru Burczymuchy. Są przekonani, że to dla nich ten wyścig urządza. Ledwie przemknął, a tu rozlega się ryk silników i na motocyklach wpada ze dwudziestu Niemców. A po chwili pięć samochodów z żołnierzami. Przejechali, popędzili. Chwila ciszy. Burczymucha vel Janosik wyłazi z dziury, siada na rower i rusza w przeciwnym kierunku. Jedzie wolniutko, niczym na defiladzie, wszyscy biją brawo, dziewczyny cisną się z kwiatami. Burczymucha trzyma kwiaty w jednej ręce, drugą ścisła kierownicę, bo bez trzymania nie ujedzie. I żegna Zawichost. Wtedy musiał zauważyć kolumnę Szwabów. Też na rowerach. Kto wie, ilu ich było, trzydziestu, może więcej. Co miał robić? Uciekać! Dokąd? Jego w tym głowa! Mógł przejechać koło nich i po niemiecku wyjaśnić, gdzie mają poszukiwać Burczymuchy. Tak postąpiłby każdy bohater wojennego filmu nakręconego w ćwierć wieku po wojnie. On po niemiecku potrafił tylko wrzasnąć hande hoch. Z nagana by tyle razy nie wystrzelił, skręca więc w bok, w pola, oni za nim. Rwie co sił w nogach najkrótszą drogą do lasu, lecz tamci zajeżdżają mu drogę, jeden tuż za nim, już chwytą za siodełko. Burczymucha vel Janosik kopie go i Niemiec wpada w kartofle. Zdążyli mu odciąć drogę do lasu, on ponownie do Zawichostu. Ludzie odrywają się od zajęć, biegają, głowami kręcą, bo tym razem widzą całą kolumnę zawodników. Gotowi byli uwierzyć, że cały oddział w niemieckie mundury ubrał, ale jak dostrzegli przerażoną minę Burczymuchy vel Janosika i zaciekle żeby tamtych — od razu wiedzieli co się kryje.

Na szczęście zdążył się w piwnicy ukryć. Niemcy otoczyli pierścieniem miasteczko, mysz się nie prześlizgnie, a cóż dopiero Burczymucha.

W tym czasie inny Harnaś dobrał się do taborów i Niemcy ruszyli w pościg za tamtym, bo był groźniejszy od Burczymuchy, który teraz udawał mysz.

10

OPOWIADALI MI O NIM (O Burczymusze vel Janosiku opowieści ciąg dalszy).

W noc wrześniową jadą Niemcy na wozie przez wieś. Jada i śpiewają. A z drugiej strony jedzie Burczymucha vel Janosik i jego pięciu towarzyszy. I też śpiewają. Bo popili. Kto kogo pierwszy zauważył, nie wiadomo. Kto pierwszy umilkł, też nie wiadomo. Jeden fakt nie ulega wątpliwości — nikt nie pociągnął za cyngiel. Burczymucha był w mundurze niemieckim, ale

to przecież niczego nie tłumaczy. Munduru nie zwykł przecież zdejmować. Kiedy wkroczyli Rosjanie, zastali Burczymuchę vel Janosika w nieco już znoszonym uniformie.

11

Pytam go, czy się nie bał?

Co zamierzam usłyszeć? Żądam od niego opowieści o strachu, o lęku przed śmiercią czy ludźmi?

— A ty się nie bałeś? — odpowiada pytaniem na pytanie. Wzruszam ramionami.

12

PAMIĘTAM

Szedłem. Przed siebie. Przez las. W kieszeni miałem mapkę tamtych stron. Minałem strumień. Nad nim młyn. Opuszczony. Zajrzałem do środka. Okna zabite deskami. W pajęczynach schwyte muchy i promienie słońca. Co stało się z tymi ludźmi? Nie byłem w stanie tego rozstrzygnąć. Odczuwałem inny niepokój. Skąd się brał, z czego wynikał? Nie wiem. Zacząłem się po prostu bać. Gotów byłem uwierzyć w spotkanie wilka, niedźwiedzia, dzika. Gdy pracowałem w muzeum, widziałem zdjęcia hrabiego Z. nad upolowanymi w tych lasach niedźwiedziami, dzikami, wilkami. Wtedy podeszedłem do wieży triangulacyjnej. Olbrzymia. Taką na wolnej przestrzeni widać chyba co najmniej z dziesięciu kilometrów. W lesie wyrasta, nagle, niespodziewanie. Chcąc przezwyciężyć lęk postanowiłem wdrapać się na szczyt. Przelazłem przez dziurę w ogrodzeniu i począłem wspiąć się po drabinie. Cóż mnie obchodziło ogłoszenie, że wychodzenie zabronione. Byłem już w połowie, gdy nadjechał gazik. Siedziało w nim trzech leśników. Zielone uniformy, pistolety w kaburach. Zatrzymali się, wyszli z samochodu. Patrzyli na mnie. Coś mówili. Nie słyszałem. Byli mali jak mysz. Ludzie myszy. Co myśleli, co mówili? Co czuł król Popiel w takiej sytuacji? Ja na górze, oni na dole.

Odjechali. Wdrapałem się na szczyt. Popatrzyłem na lasy. Nie pamiętam tamtego widoku. Niemożliwe, by nie wywierał wrażenia. Pamiętam tych z dołu. Ciekawe, czy się zaczęli? Do czego są zdolni? Kim można być dla siebie, dla innych? Może byłem jak mysz, na którą założono łapkę?

13

Radiokurier 13 marzec 1980.

W... (nie usłyszałem gdzie) książkę Steinbecka „Mysz i ludzie” nagrodzoną swojego czasu nagrodą Nobla uznano za wulgarną i nieprzystojną. Młodzież może wypoczywać tę książkę tylko za pisemnym zezwoleniem rodziców.

14

Coraz trudniej o kwiaty. Ale o podroby też nietłatwo. Kwiatów można nazbierać. Podrobów koperkiem nie zastąpisz. Zamiast kwiatów można obdarować kogoś uśmiechem. Własnego żołądka nie oszukasz.

Mam pomysł. Po co dawać kwiaty na imieniny? Koniec z kwiatami! Od dziś zamiast kwiatów w prezencie psiaka, kocia, żółwia błotnego! Trzeba mieć zawczasu przygotowanego hodowanego szczura, leśnego jeża, pełną muszkę, rybkę, muszkę, meduzę, małpkę, żabkę, karaluszka. (Pamiętać o szczepieniach przeciw wściekliznie!) Ostatecznie mogą być patyczaki, takie robaki przypominające patyki, karmi się je wrzucając liście do szklanego akwarium. Pamiętać o przykryciu szklaną zasuwą, gdyby się wydostały, zjadłyby kwiaty w doniczkach, takie żarłoczne! Nawiasem mówiąc, dawno ich nie widziałem.

15

A teraz mamy koncert życzeń!

Zamiast piosenki — kwiaty, zamiast kwiatów, mała myszka dla pani Wandy. Ale ta mysz nie pasuje jej do żadnej kolekcji. Pani Wanda ma: widokówki, pocztówki, muszelki, kolczyki, gipsowego psa, pluszowego kota, męża. Jej mąż ma znaczki, etykiety, plakiety.

Obdarowana ma kilka wyjść. Wybiera najprostsze. Pudelko z myszą łąduje na łbie ofiarującego.

P.S. Nie bądź taki ekstrawagancki, kolego Piotrusiu. Nie wszystko, co opisane, da się stosować w życiu.

16

Był maj.

Jak zwykle imieniny Marii. Był wtedy z nią taki, co nazywał się Witold, a może Wiktor. Nazywałem go Piszczel. Jasne, że był chudy. Później przytył, ale wtedy się już nie spotykaliśmy. Spotykałem go, gdy był chudy, więc on dla mnie Piszczel. Przyniósł Marii zajaczka. Niby lubił przyrodę. Zajaczek był maleńki, mieścił się w kieszeni, ale nie potrafił z niej wyskoczyć, miał nieborak dwa, może trzy tygodnie. Kazałem go odnieść. Słowa, groch o ścianę. Podstawiała mu miseczkę z mlekiem. Pod łóżko. Bo tam siedział. Po kilku dniach zdechl. I Piszczel otrzymał polecenie zakopania.

Cóż z tego, że w tym czasie umierali ludzie.

Nie przychodziłem do niej chyba przez rok.

17

Czemuż w swych snach ludzie nie są silni, potężni, goniący innych, czemu widzą się w roli ściganych, dręczonych, przegranych?

Sam miałem sen, że mysz odgryzła mi palec.

Kto ma inne sny? Należałoby zapytać chociażby dzielnicowego, sierżanta Zygmunta Klatkę. Zygmunt Klatka drapie się z zakłopotaniem w ucho.

20

— Czy premier może czuć się we śnie stonogą? — pytam.

Sierżant śmieje się z niedowierzaniem.

— Trzeba przepytać panią Wandę z Ligi Kobiet, koniecznie jakiegoś polityka robiącego karierę, może nawet samego...

— Cezara — odpowiada Zygmunt Klatka.

— Niech będzie i Cezar. Właśnie w studio robią przygotowania do wystawienia Cezara i Kleopatry. Tam go znajdzie.

— Ave, Cezar — powiedziałem.

Sklonił głowę. Usiłował sobie mnie przypomnieć. Po aktorsku, może odrobinę prywatnie, a trochę chyba jak sam Cezar wyciągnął płasko dłoń. Uściskałem ją. Sierżant również.

To nie sytuacja z teatru ani balu kostiumowego. Wiem o tym człowiekowi wszystko. Mógłbym mu wróżyć, przepowiadać przyszłość. Czuję się tak, jakbym znalazł się na chwilę w jego epoce, na moment miał przed sobą prawdziwego Cezara. Na kilka chwil rozmowy.

Jeszcze stoimy, ale wiem, że zaraz odejdzie. Powinienem go zatrzymać. Mógłbym poczęstować go papierosem, gdybym je miał przy sobie.

— Legion na mnie czeka. — Uśmiecha się (Cezar uśmiecha się z ulgą!) Odchodzi.

Wtedy wyciągam gwałtownie rękę, jakbym chciał mu tyle powiedzieć. Widzę jego plecy. Historia wydała już na niego wyrok. Robi mi się ciężko, jakbym był odpowiedzialny za jego śmierć. Biegnę za nim. Wypadam na scenę. Omal się nie przewróć. Kilka osób bije brawo. To zaproszeni na próbę goście. Ci zawsze niewłaściwie reagują.

— Czego pan tu szuka? — Facet wstał i zdjął okulary.

Miałem wrażenie, że zaraz we mnie czymś rzuci, choćby butem.

— Proszę wszystkich do schronu — powiedziałem. — Natychmiast.

18

Są zdania, które przeszły do historii.

Słowa wypowiedziane przez kogoś do jednej osoby, czasem do tłumu, które i dzisiaj wypowiada się do jednej osoby bądź tłumu.

Są zdania, które zaważyły na historii.

Są zdania, które nazwały na naszym życiu.

— JAK TY POKAZUJESZ NOGĘ, Nikt tego tak nie robił w polskim teatrze. Zagrasz rolę myszy w sztuce Cezar i Kleopatra — to powiedziano Ance.

Teraz Anka w roli myszy.

Szary obcisły kostium. Prawie jakby naciągnięto na nią pończochę. Przez to gorzej, niż byłaby goła. W kostiumie jest nieprzyzwoicie goła. Piersi. Nogi. Kształt brzucha. Wznosi się od łona i opada tuż pod pepek. Pepek wciśnięty. Kostium w

21

tym miejscu ciemniejszy. U tyłka ogon. Śmieszny. Dodaje pikanterii. Zupełnie jakby ktoś ją usiłował nadziać na zwis.

Teraz by ją dorwać.

Zębami.

Wielka, wspaniała mysz. Na śniadanie.

Anna Mysz pięści kota. Przewraca go na grzbiet. Kot wywija łapkami. Mysz dmucha w kocią sierść. Ugina się puch pod tym oddechem.

Mam wrażenie, że ta mysz rozerwie go zębami.

19

PAMIĘTAM

Wynajmowałem wtedy pokój w domu starszej, samotnej kobiety. Na przedmieściu. Długo szukałem takiego pokoju.

Jesień już wtedy przeszła przez warzywnik. Wycinano kapustę, wyrivano marchew i buraki. Liście na jabłoni niczym zmietle kulki szarego papieru. I tylko klon w kolorach. W królewskiej purpurze. Tylko on zaskarbił sobie laski jesieni. Patrzyłem na to z okna tamtego pokoju. PAMIĘTAM. Leżałem tam w łóżku z dziewczyną. Naprzeciwko nas lustro, w kącie piec. Wtedy z pieca spadła mysz. Powiedziałem nazajutrz właścicielce: — W tym domu są myszy. Uśmiechnęła się dziwnie ciepło, a może i zalotnie nawet. — Pan się boi myszy? — zapytała w odpowiedzi.

Nie boję się. Nawet teraz, kiedy stoję z Anną przebraną w mysi strój. I przypominam sobie to sformułowanie: „pan się boi myszy?” Nie, nie boję się, chociaż teraz zasycha mi w gardle, coś ścisła mi pierś. Anka w mysim kostiumie gotowa na wszystko. Całuje ją w kark. Jeszcze raz. Odpinam guzik kostiumu na plecach. Drugi. Pocałunek. Pod tymi pocałunkami Anka Mysz przemienia się w kobietę.

GENKA JAKO KOT. Też ogon przypięty nad zadkiem i piersi opięte kocim kostiumem. Wyperfumowana. Och, jaka wyperfumowana. Krótko ostrzyżone włosy. Głaszczę ją. Mruczy. Obedreg tego kota ze skóry!

Bez trudu.

Z rozkoszą!

I jest ich dwie. Piersi — zachwycać się nimi w dwójnasób, dwa babskie brzuchy, dwa pępki. Przyszyć z tych dwu gołych bab potrawę erotyczną.

Anka i Genka. Jedna na drugiego. I ja nad nimi.

Głosy kobiet. Nie głosy, westchnienia, zachwyty.

Zapamiętać ten widok i smak. Jak lekki ruch gałęzi za oknem unoszonej przez wiatr — w górę, w dół, raz w górę, raz w dół.

Rozmowa Anki w stroju myszy z Genką w stroju kota.

Anka Mysz śledzi lot myszolowa. Genka Kot przymierza but.

— Najlepsze lody w „Wiśle”!

— Właśnie w „Ambasadorze”!

— W „Wiśle”!

— W „Ambasadorze”!

Jeszcze chwila i rzucą się na siebie.

Nagle wybiega mała myszka. Anka i Genka wskakują na stół pojednane.

20

I myszy te same co dawniej!

21

Dnia 29 stycznia 1976 roku polski korespondent Zbigniew Lipiński donosił z Paryża dla Radiokuriera:

Jedną z metod walki klasy robotniczej na Zachodzie są strajki okupacyjne. W walce ze strajkującymi właściciele zakładów uciekają się do wyłączania światła i ogrzewania. Niecodzienny wypadek miał miejsce w jednej z francuskich fabryk. Na teren zakładu włókienniczego do strajkującej załogi kierownictwo wypuściło setki białych, hodowanych laboratoryjnie myszy. Robotnicy z trudem opanowali panikę wśród kobiecej załogi.

ZWIĄZKI ZAWODOWE WNIOSŁY OSKARŻENIE O NIEDOPUSZCZALNE METODY ŁAMANIA STRAJKÓW.

22

Pazia zjadł pies
króla zjadł kot
królową myszka zjadła
ażeby ci nie było żal dziecino ma kochana
z cukru był paż
z piernika król
królowna z marcepana

23

Króla Popiela zjadły myszy. Choć wcale nie był z piernika, lecz z krwi i kości. Najprawdziwszy, żywy satrapa. Nikomu nie jest go żal. Ani cienia współczucia. Czy tylko dlatego, że to było tak dawno?

P. S. Już drugą noc śni mi się, że mysz objada mi duży paluch stopy wystającej spod koldry.

24

Wspinałem się na Mysią Wieżę. Dużo skrzypiących schodów. Wdrapuję się i rozglądam. Słyszę sapanie. To dwójka młodych ludzi. Myszy ani śladu. Wychylam się. Tamci patrzą na mnie z

uśmiechem, to znów z niepokojem. Widzą we mnie samobójcę. I znów uśmiech na ich twarzach i niepokój. Obawa, że wyskoczę dużej, lecz chęć patrzenia na samobójcę nie mniejsza. Na samobójstwo nie mam ochoty. Co zrobić, by ich nie rozczarować? Pobawić się. W kotka i myszkę.

25

ZABAWA

Trudno, zabawić się od czasu do czasu trzeba. Bawił się, bawił, aż pewnego dnia spostrzegł, że jest zabawką. W ręku innych. Jednak myślał, skoro na to wpadł. Jak figlował, zanim pomyślał?

PAMIĘTAM

— Więcej życia przyjacielu, więcej życia, jak chcesz, to cię w nie wprowadzę — zwrócił się do mnie.

— Czemu nie.

— Idziemy na wódkę!

— Wódkę lubię, ale pytam o inne propozycje.

— Dziewczynki...

— Znam. Anka, Genka, pani Wanda...

— To co dla ciebie znaczy życie? — pyta mnie poirytowany.

26

ZABAWA W KOTKA I MYSKĘ

Ryzyko. Co by się nie powiedziało, temat — życie. Baśń wyklucza ryzyko. Oznacza, że coś się może urwać, lecz nim się urwie — grasz; oznacza, że jeszcze nosisz, jak wilk owce, nim cię poniosą.

Jeśli będziesz wygrywał, będziesz grał i grał, aż przegrasz, aż poczujesz na grzbiecie koci pazur.

27

OPOWIADALI O NIM

— Na biednego nie trafiło. — To mówi ten, którego klulo w oczy bogactwo tamtego.

— Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje. — To mówi ten, co jeszcze gra o coraz większe stawki, ten który jeszcze nie skosztował przegranej.

Jego wielkość i małość. Bieda i dostatek.

Jedno życie, stu sądziów, tysiąc wyroków.

28

JAK GRAC

Odpowiadają: Anka, Genka, pani Wanda, Burczymucha vel Janosik, sierżant dzielnicowy Klatka.

Pani Wanda: — Jak grać, to w grę taką, która jest coś warta, a nie taką, co nie warta świeczki.

24

Anka: — Odważnie!

Genka: — Na całość!

Burczymucha: — Jak grać, to grać!

Sierżant Klatka: ... He, he, he! Jak grać? Tak, aby wygrać!

29

Z PANIĄ WANDĄ SAM NA SAM

Rzucam słowo, a pani szybko dopowiada skojarzenie;

igła: — nitka,

dziewczyna: — latarnia,

Ameryka: — bogactwo,

myszów: — mój mąż.

— Ale, ale — głos pani Wandy pełen kokieterii:

— Do czego pan zmierza?

30

Na balu kostiumowym pani Wanda w długiej czarnej sukni, biała bluzka z dekoltem, z jakim dekoltem, ach, rozkoszna sroczka, jej mąż w kostiumie myszów. Mąż znana postać w środowisku kulturalnym miasta, ba, województwa, nawet kraju. Spon-taniczny, żywiołowy, w działaniu skuteczny niczym motyl w boju (określenie jego zastępcy, podkreślenie moje). Autor eseju o walce z gryzoniami, prawdopodobnie najlepsze rzeczy, jaka ukazała się tej zimy w popularnej popołudniówce. Intelktualista całą gębą, korzystał z cudzych doktryn, słów, kochanek, mieszkanie też miał służbowe.

Teraz w drodze do sali z zastawionym stołem. Na stole karp po żydowsku, karaś w śmietanie, leszcz po białostocku, wątróbka z drobiu na rostach, sałatka z szynki z kluseczkami, kurczę w winie z Canzo, królik w śmietanie, sałatka w sosie griboche. Kelnerki roznoszą lemoniadę, herbatę, kawę marago...

Już lyka ślinkę, jeszcze kilka kroków i przekroczy próg...

Zdjąłem ze ściany wiatrówkę. Nabilem ją śrutem. Można z niej ustrzelić mysz, trudniej kuropatwę, raczej nie myszów. Tak-kiemu gruboskórnemu myszówowi śrut zapewne utkwii w ga-ciach. Podniosłem wiatrówkę do oka, wystrzeliłem. Syk strzału. Chciałem parsknąć śmiechem, lecz zmartwiałem z przerażenia. Trafiony, złapał się za tylek, zamierzał usiąść, zorientował się, że strzelono mu w zadek, więc stękając ukleknął wypinając zad, jakby wystawiając go na cel ponownie.

— Doktora — wyszeptał.

Będzie żył — pomyślałem. Czuję to. Gdyby umierał, wołałby skądś.

— Doktora! — wrzasnąłem. — Doktora!

31

Myszów, a jak gołąbek. I żona go głaszcze jak gołąbka. Chłopotur, a potraktowany niczym ptaszek. Idzie i utyka na nogę. Spo-

gląda godnie niczym ranny w pojedynku. Nie, on nie z tych, co gotowi w pojedynku strzelać. Ma inne aspiracje. Chciałby, by uważano, że dokonano na niego zamachu.

32

SEANS SPIRYTYSTYCZNY

Długa izba. Jeszcze wesoło, jeszcze dopijanie herbaty, chrupanie ciasteczek, winko, czerwone, z róży, ale w małych ilościach. Wujek Zdzisław z Parczewa zasłania okna. Stryjek Wacław chciałby może komplementy pani Wandzie szepnąć — ale trzeba być powściągliwym w słowach, należy stworzyć atmosferę tajemniczości. I buduje ją, tka, i to mu się udaje. Twarz pani Wandy zielenieje. Niewątpliwy sukces stryjka Wacława.

Już drżą ręce. Kto zemdleje? Pani Wanda? A mogła pójść do oparetki!

A chciała poczuć dreszcz, skontaktować z nim, nieżywym — żywym z zaświatów, z tajemnicą!

Potem może powie: nawet najzaczepniejszy zmarły sprowadzony zostaje do rozmiarów kukielki.

Teraz, być może, tak mi się tylko wydaje. W tej chwili. Mogę jeszcze zmienić zdanie. Może jutro, może za moment. Duchy przecież przychodzą, Generalów, prezydentów, ciotki sprzątaczk, wujka magazyniera. Cóż, że wujek tylko magazynier. Dziesięć, piętnaście lat po jego śmierci dzieje magazynu są pokryte tajemnicą niczym śmierć porucznika Zarwy Gamlickiego w 41-szym. Cisza.

W tej ciszy coś zaszleściło, ktoś się nerwowo poruszył, ktoś inny uspokoił. Przeszedł mnie dreszcz, strumyczek potu w dół krzyża, w dół, w dół, zimniutki.

Chrup, chrup...

Mysz.

Duch się nie zjawił.

Nieboszczyk bał się myszy.

33

CZWARTA NIEDZIELA KARNAWAŁU ZIMA 80

Tak się śmiała, tak się śmiała. Pomyślałem, żeby włożyć jej mysz w dekolt, toby przestała chichotać!

Czemu mnie ten śmiech tak drażnił? Swoją drogą, gdzie to nie można wrzucić myszy. Pamiętam, pisali o myszy w butelce z piwem. Wieszali psy na piwowarach. Jest w butelce i koniec. Po co wyciągać. Do wyciągania są króliki. Z kapelusza. Jak się tam znalazła? Nietrudno sobie wyobrazić!

Kot goni mysz.

Mysz wskakuje w butelkę.

Jutro wleją w nią piwo.

Popłynie, popłynie.

Powodzenia moja maleńka!

Mysz w butelce!

Mysz w dekolcie!

Różne efekty,

różne refleksje.

34

Z OSTATNIEJ CHWILI

Związek Radziecki wydał znaczek pocztowy propagujący walkę z myszami!

35

— Co to?

— To Szopen!

— Jaki tam Szopen, to Interwizjan!

36

Teatr Adekwatny MYSZEIDOS wystawia *Monachomachie*. Czego to ludzie nie wymyślą. Anka gra. Oczywiście mysz. Przemawiają za nią poprzednie sukcesy. Jest z nich dumna. Idzie i czuje się myszą bardziej niż inne dziewczyny.

Anna w stroju myszy nuci przebóg Gwiazdy minionych lat. Aktorzy grający młodzież szkolną porządkują podwórce i budynki szkolny. Wynoszą ze strychu stare książki i portrety.

Historia traci myszką.

Dowcip z myszką. W samolocie lecą Polak, Rosjanin, Amerykaniec, albo inaczej: samolotem lecą Chruszczow, Gomułka, Kennedy...

37

PORTRET Z MYSZKĄ

Często dzieło sztuki wzbudza konsternację (jak będzie tym razem?). Ale może być i wiele wzruszające!

Łagodne oczy, usta z opowieści o miłości wielkiej i gorącej, co wybuchła gwałtownie, oczy głębokie z tajemnicą, potrafiące doszperać najdrobniejsze procesy społeczne, przewidzieć polityczne uwikłania, na pewne sprawy gotowe przymknąć oczy.

W kącie mysz. Po co? Jest tłem, ale to można różnie interpretować? To niekoniecznie służy sentymentalnej kontemplacji dzieła!

38

DOWCIPY AKTUALNE

Czym się różni polska mysz od amerykańskiej?

Proszę przestać udawać, że pytania się nie dostły.

To nie jest wyjście. Cóż, nie na każde pytanie można mieć z góry przygotowaną odpowiedź. Problem kłopotliwych pytań istnieje.

Jeszcze jedna kwestia.

Co jest dłuższe: północ czy Aleje Jerozolimskie?

No...

Nie wiem.

To ja nie wyjaśnię!

39

DRUGI DOWCIP Z MYSZKA

Pytano kiedyś Einsteina, dlaczego założył czerwoną i żółtą skarpetę. Miał przyglądać się długo dwukolorowej parze i udzielić odpowiedzi: — to dziwne, ale w domu jest jeszcze druga taka para.

Ubiarałem się po ciemku. W pośpiechu naciągnąłem koszulę, kalesony, spodnie. Jeszcze szybciej do pościeli. Szukam miejsca. Przedział dla niepalących. Jest wolne miejsce. Śpią. To dobrze. Też się zdrzemnę!

Świt. Przyglądam się podróżnym. Oni również wpatrują się we mnie. Podejrzliwie. Mam dwie różne skarpetki. Jedna w paski, druga gładka. Mimowolnie uśmiechy.

Obok mnie siedział docent K. Garnitur spod igły, świeżutka koszula, krawat i skarpetki w tym samym kolorze. Kanapki w papierze śniadaniowym. A przecież aspiracje naukowe olbrzymie. Widocznie zmienił się model uczącego. Nie ma miejsca na roztrągnięcie.

Wykładał na uniwersytecie ukończonym przeze mnie z wielkim trudem kilka dobrych lat temu, lecz co nie ulega wątpliwości, z pomocą bożą, z pomocą kilku świętych, których imion wzywałem w szczególnie ciężkich chwilach oraz niewątpliwą przysługą docenta, wtedy jeszcze doktora, bo na egzaminie postawił mi trójcę. Byłem mu wdzięczny, gdyż to był gest. Pamiętam. Najwięcej miałem do powiedzenia na temat meczu rozegranego przez polską ekipę poprzedniego dnia. Później wykładałem sobie, że on też się ucieszył robiąc mi taki prezent. Według mojej teorii przypadała mu rola świętego Mikołaja. Spotykałem go potem rzadko. Wykładał przedmiot nazywany na moim wydziale niekierunkowym. Był jednak postacią popularną. Zabiegał o popularność. Widywałem go niosącego do domu krzesło, szafkę, worek kapusty. Raz niośł stół. Nie zdobyłem się na odwagę, by mu pomóc. Nie brakło mi odwagi na zrobienie mu pewnego dowcipu. „Nie brakło odwagi!” — kiepski zwrot. Po prostu sytuacja zmusza do natychmiastowego działania. Wtedy jesteś w stanie wyciągnąć kogoś spod nadjeżdżającego samochodu, możesz wyskoczyć z pędzącym poślachem. Ale „sytuacja” — zwrot jeszcze gorszy.

Potrzeba po prostu mieć w sobie odwagę jak i dowcip.

Czemu jednak czasem mam odwagę, czasem nie?

Tego nie potrafię rozstrzygnąć, lecz o to najmniej tymczasem chodzi. Natknąłem się kiedyś na studentów wydziału zoologicznego. Poszukiwali doktora. Zaocznicy pojawiali się w gmachu uczelni rzadko, nie znali nikogo z wykładowców, byli wystraszeni, ale elegancyści, choć czuć ich było naftalną. Mężczyźni zawsze w krakowskich, kobiety w sukniach, w jakich chodzi się do kościoła w małych miasteczkach. Podałem się za niego. Zaprośli mnie do kawiarni. To było modne. Wykładowca z niewielką grupą studentów w kawiarni. Rzadko się jednak udawało kogoś namówić. Do dobrego studenckiego tonu należało jednak namawianie. Wykładowcy mieli jeszcze swój styl, wiedzieli, że za często, to szybko spowzednieje i do legendy nie przejdzie.

Nie dałem się długo namawiać.

Spotkałem się z nimi trzy razy.

Mężczyźni wtedy problem używania życia. Dzieliłem się z nimi wrażeniami.

Czy opowiedzieli mi później o tym? Potrafili opisać mnie dokładnie? Wiedział czy nie wiedział? Jeśli wiedział, to rozpoznawał mnie teraz?

Nie chciałbym. Może los mi sprzyja. Zmieniłem się. Nosilem już brodę, on bardzo przytył i obu nam rzędy czupryny. Nie, w żadnym wypadku nie przypominał księgowego. Nawet drzejąc w przedziale uśmiechał się wyrozumiale. Prawdziwy, życiowy filozof.

Nawet jeśli mnie poznał, czy wytłumaczył sobie, czemu mu się nie ukłoniłem? Nie wytłumaczy — będzie wiedział, może przed nim życie nie ma tajemnic.

Może on bardziej rozumie moje postępowanie niż ja sam?

40

OPOWIADALI MI O NIM

Było ich trzech i dziewczyn było trzy. To wszystko w sali, gdzie w oszklonych szafach stały wielotomowe dzieła Arystotelesa, Platona, Lenina, Marksa, stuśtronicowy skrypt profesora Ł. (dzieło ważne, jak tamte, a może ważniejsze, bo studenci musieli znać je na pamięć chcąc zdać egzamin z logiki) i skrypt własnie Jego (pięćdziesięciostronicowy, studenci prawa zdawali z niego kolokwium), był wtedy od kilku tygodni doktorem, więc dorobek jego nie był wcale mały.

Na ścianie — orzeł w czerwonym tle — godło państwa, Władysław Gomułka i sekretarz PZPR, Lenin — filozof, twórca I socjalistycznego państwa, i jeszcze gipsowe popiersie Lenina, popiersie Platona takich samych rozmiarów co leninowskie, lecz stłuczone, już w kącie.

I co jeszcze? W tej sali oblałem czy oblało mnie na komisyjnym egzaminie z ekonomii.

Więc oni w tej właśnie sali we trzy pary.

Czemu tak po studencku, po żołniersku, jak rekruci na stacji? Ktoś zadenuncjował. Rektor i dziekan sprytnie wyważyli drzwi. On i jego partnerka, docent filozofii, oczywiście z partnerką, ukryli się pod stolami. Zdybano tylko doktora ekonomii. Na gorącym uczynku. Podobno w ekwilibrystycznej pozie!

Cóż za zbieg okoliczności. Doktor był akurat w komisji, która kilka miesięcy temu w tej sali oblała mnie na komisyjnym.

Z ręką na sercu. Żadnej satysfakcji, lecz żal, przynębiająca refleksja. Był biedak najbardziej przejęty, zaangażowany i jego zaskoczyli.

Trudno, musimy przegrywać i odpadać.

Byleby nie za daleko.

Ja, on, kto następny?

Pociąg puch, puch, puch. To już Dąblin.

Mój docent w futrzanej czapie na korytarzu. Sięga do przedziału po kożuch.

Nie zapytam go jednak. Może w innych okolicznościach.

Kożuch już na ramionach. Jest w tej futrzanej czapie, jak znany aktor.

Po prostu jak Zapisiewicz.

41

NIIEUBLAGANA HISTORIA

Surowe sformułowanie. Tak surowe mogą być tylko mury cytadeli dla przeciwstawiających się historii. Nieublagana — zupełnie jakby w pewnych momentach można było historię przebłagać, coś wyzłazła, wypłakać. Okrutne fakty. Ale fakty można sprowokować, przewidzieć. To zdarza się rzadko. Owszem, udaje się, politykom wielkiej rangi i wyobraźni.

Czy historię można przechrzcić? Nie i jeszcze raz nie. Można przechrzcić prawo. Prawo karne, cywilne, Polski, Francji, Szwecji. Takie prawo należy do historii.

Zapelniał sobą świat, może świat był wtedy dla mnie inny, nie chcę jednak umniejszać podziwu, jaki miałem dla niego. Prowadził teatr studencki, założył grupę muzyczną, publikował w „Kamieniu” i „Kurierze”, spotykano go w klubie esperantystów, turystów, spirytualistów, na przedstawieniach teatrów warszawskich, kiedy zjawiały się w Ł. i dawały dwa spektakle w ciągu dnia, a wtedy w teatrze bywali wszyscy, którzy uważali, że mają coś wspólnego z kulturą, od wykładowców prowincjonalnych uczelni, poprzez męża pani Wandy, a na redaktorach „Kamienia” i „Kuriera” kończąc. Oczarował sobą środowisko, los mu sprzyja, życie dopisało mu wiele epilogów do i tak bujnego życiorysu. Opowiadali o nim w akademikach, ale przypuszczam, że przedstawiciele kawiarnianego hajlafu, waluciarze, ba, sutenerzy, również go znali. Nie, broń Boże, nie był sowiźdrzałem. I nie żeby zaraz pięć garniturów, wtedy byli modni hippisi, stylizacja na ubogich, więc w podartych portkach paradował w największym stylu niż dyrektor i dyrygent operetki we frakach pod-

czas premiery. Zdumiewające, wszyscy: władze uczelni, administracja akademika, kucharki w stołówce, traktowali go bardzo poważnie.

42

OPOWIADALI O NIM

Wyjechał z dziewczyną do Szwecji. Tam wziął ślub ze Szwedką, ona ze Szwedem. Wkrótce jako obywatele szwedzcy wzięli rozwody ze Szwedami i się pobrali.

Zmyślne. Coś okrutnego jest w tej zapobiegliwości. Takie drażnienie piękno.

Pani Wanda nazywała to krzyżówką myszy z labędziem.

Ja — strategią myszy.

Normalnemu człowiekowi to się nie kalkuluje — myślałem. Długo zastanawiałem się nad tym faktem. Ciekawe, czy to zabawa w kotka i myszkę — wyjdzie nie wyjdzie, czy starannie obmyślony plan, na którego realizację nigdy bym się nie zdobył, bo mam fantazję, albo jej nie mam, lecz to był już jego punkt widzenia.

I zaśpiewałem: — To jest Ameryka, to słynne ułesa. A pani Wanda podchwyciła.

Spójrzmy jednak szerzej: może ja ogłupiony i nietolerancyjny rozumiuję w sposób prymitywny, może nie znoszę jakiegokolwiek inicjatywy spontanicznej i nie kontrolowanej? Być może ukochałem tylko swoją przewrotność, niefrasobliwość, zaściankowość, gminność, uprawę pięćdziesięciu krzaków pomidorów i nigdy nie pojmę, co to jest światowe życie? Być może, że w Szwecji poniesie klęskę, ale to nie znaczy, że ja w swej napastliwości i w tym, co mu zarzucam, mam rację!

Trzeba umieć zdobyć się na odrobinę szaleństwa, lecz i na odrobinę tolerancji.

Teraz ja sam na sam z butelką wina. (Pani Wanda po bilety w Orbisie na wycieczkę do Tbilisi).

Jego zdrowie! Za pomyślność! Być sobą!

Żeby być sobą, trzeba być kimś! (Nieważne, kto to powiedział, ważne, żeby można było odnieść to do siebie).

43

NIIEUBLAGANA HISTORIA (ciąg dalszy). OPOWIADALI MI

Pani M. była trzy lata w Oświęcimiu-Brzezince. Ocalała. Razem z pewną Francuzką. Przyjaźniły się. Po wyjściu z obozu utrzymywały stały kontakt. Po latach pani M. nie wszystko w kraju się podobalo. Wyjechała do Francji. Jej córka nie mogła otrzymać wizy. Do Polski przyjechał syn przyjaciółki pani M. (tej, z którą przebywała w Oświęcimiu). Wziął ślub z córką pani M., wyjechali do Francji, gdzie z córką się spotkali.

Córka szuka innego kawalera czy zdecydowała się na chwilowego pomocnika?

Komentarze, chichoty, insynuacje. Nie wiem. W grę wchodziły sprawy polityczne. Pani M. nie kryła swej niechęci do ustroju.

44

Ksiądz polski Bolesław V poślubił księżniczkę węgierską Kingę. Kinga przed ukończeniem 15 lat zdążyła złożyć śluby czystości. I dotrzymała ich. Zmarła w dziewictwie. Została błogosławioną, czeka na beatyfikację, czyni cuda, obdarza łaskami, przywraca zdrowie, łączy rozbite rodziny, spełnia prośby. Prośby do błogosławionej Kingi można składać w klasztorze klarysek w Starym Sączu przy ulicy Kanoniczej 5.

— Nie wszyscy ludzie chcą się potem przyznać, że zostali obdarzeni łaskami, ale święci są po prostu wyrozumiali — tak mówi siostra zakonna Teresa — i dodaje — oni są po prostu święci.

Mąż błogosławionej Kingi przez nieubłaganą historię obdarzony został nie najatrakcyjniejszym przydomkiem. WSTYDLIWY.

45

Koty. Miauczą. To już marzec. Tak, marzec. Przyleciały już szpaki i skowronki. Ale w marcu jak w garncu. Znow zawiąło drogi. Pana Z. z Krasnika powrót zimy zaskoczył w zepsutym samochodzie. Powróćmy jednak do wiosennych nastrojów. Odgłosy wiosny. To Vivaldi?

Słyszysz się ciagi powracającego ptactwa.

Na gałązce przysiadł ptak.

A więc wrócili. I tym razem nie zabłądzili. Nie będzie katastrof, nie będzie apokalipsy. Da Bóg, przeżyjemy jeszcze rok!

46

Podłoga. Z szerokich sosnowych desek. Kredens. Bardzo stary. Duży. Dziś już nie robią takich. Z niego zapach ziół. W nim kilkanaście butelek czerwonego wina. Za szkłem wetknięty obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. W drzwiach korniki. Gdy otwierasz drzwi — skrzypia, ale teraz

cicho

cichutko

po podłodze z szerokich desek biegnie mysz

Szybko

Szybciej

Ale ten ruch nie ma ci ciszy. Żaden szelest nie dobiegnie do uszu śpiącego kota.

Cicho.

Cichutko.

Myszy pod miotłą. Gryzą, nadgryzają brzożowe wtki. Anka

chwytą miotłę. Okno otwarte. Widać przez nie księżyc. Poszybuj na miotle w jego kierunku! Albo na Łysą Górę. To nawet bliżej! Opadają wtki brzożowe ponadgryzane przez myszy. Anka zostaje z drągami wycelowanym w księżyc. Idę do niej. Skrzypia sosnowe deski. Wyjmuję jej kij. Zamykam okna. — Tu zostaniesz — mówię. Będziemy we dwójkę, a myszy do dziury!

47

OPOWIADALI O NIM

Często opowiadają. Wyobrażałem go sobie, jak upychał złoto w worku. I jak trwożnie rozgląda się dookoła. Jak powierza worek opiece bożej i starych murów. Gdy potem przyszedł zabrać swoją własność, zobaczył na worku mysz.

— Byłaś moją strażniczką — miał powiedzieć do niej.

Zapamiętałem to zdanie. Były to jedyne słowa wypowiedziane przez kogoś z mojej rodziny do mysiego rodu.

Było to jeszcze w tamtym wieku.

Teraz ciotka często rozmawia z myszami:

— Myszy, myszy, która słyszy, macie zęba chorego, dajcie zdrowego!

Można cmokać na konia, krowę, nawet kozę można pieszczołliwie pociągnąć za ucho? Ale dialog z myszą? Dlatego ciotka uchodzi za stukniętą.

Mój stryj schował dolary w pończochę. Myszy zjadły i dolary, i pończochę. Stryj popadł w alkoholizm.

Co on biedny zrobiłby z taką kupą pieniędzy?

Ileż razy zadawałem takie pytanie? To znaczy — olbrzymia forsa przechodzi przez ręce wielu z nas. Wielkie sumy nie są nam obce, a już na pewno nie jest obca myśl o nich.

— Co zrobiłaby Pani z taką kupą forsy? — pytanie do pani Wandy.

— Kupiłabym sobie futro. Albo i dwa!

48

Mam niekiedy wielką ochotę, by podczas obiadu w restauracji wejść na krzesło lub stolik i zaśpiewać. Chociażby „O mój rozmarnie...”

Skazano, sdielano — jak mówią Rosjanie. W knajpie wskoczyłem na stolik i zaśpiewałem. Huczne brawa. Takie owacje musiał otrzymywać Kiepusa. Kelnerka przyniosła dodatkową porcję zupy, na którą nie miałem ochoty, ale ją zjadłem, by nie zrobić dziewczynie przykrości. Teraz zawsze wygłaszam toast. Piję sam, a toast dla wszystkich:

Mysz,

mysz w każdym kulturalnym domu!

Cicha, maleńka, niekłótna

potulna.

pogodna,
towarzyszka nasza
Twoje zdrowie!

49

Z wywiadu dyrektora „Victorii” w „Życiu Gospodarczym”:
...pieczeń z niedźwiedzia — mieliśmy ją w karcie przez kilka
miesięcy, gdy ZOO nie mogło już wykarcić niedźwiedziowego
wyżu...

Rozmowa z wiceministrem gospodarki żywieniowej:

— Z rybą mieliśmy pewne kłopoty. Ryby śnięte nie mają
tych wartości odżywczych i smakowych co żywe.

Będzie duża ilość kaczek!

Nie, jestem przekonany, że mysyż jeść nie będziemy!

50

WIDZIAŁEM GENKĘ JEDZĄCĄ MYSZ

Stała oparta o ścianę, głowa odchylona do tyłu, otwierała szeroko usta bacząc przy tym, czy obserwuje jej ruchy, i wkładała sobie mysz do ust. Wkładała i wyjmowała. Raz trzymała ją za lebek, raz za ogon. Kokietowała mnie. Nie ulegało wątpliwości. Odgryzła jej najpierw ogon, potem przegryzła na pół i połknęła.

To była mysz z kiślu.

Kiedys sprzedawali takie na odpustach.

Dziś jeszcze w małych sklepikach na prowincji.

51

Mysz na śniadanie? Nie. Po prostu na stole. Wbiegła tam, jak mogłaby wbiec na krzesło. Stąd te skojarzenia.

Już jest na książce kucharskiej. Na książce! Nie znaczy to jednak, że figuruje w niej jako potrawa.

Zbigniew W. Fronczek

ŚLAWOMIR MAGALA

POLSKA „NOWA POWIEŚĆ”

Czy polska proza współczesna, zwłaszcza zaś proza tworzona przez najmłodszych autorów, jest dostatecznie ważna dla nas jako czytelników i — ewentualnie — dla kultury narodowej, by usprawiedliwiać rozważania krytyczne i teoretyczne? Czy to, w jaki sposób piszą Łoziński, Komolka, Schubert, Anderman, Kirsch, Soltysik, Stryk, czy to nas obchodzi?

Nas, to znaczy kogo? Urodzonych około roku 1950, jak autor niniejszego? Humanistów? Mieszkańców miast? Pracowników naukowych? Meżczyzn? Polaków? Poniższe uwagi będą poświęcone w gruncie rzeczy dwóm problemom. Problemowi światopoglądowych wyznaczników publikowanych ostatnio powieści oraz problemowi miejsca, jakie przypada literaturze pięknej w naszym społeczeństwie, tj. społeczeństwie o zestandaryzowanym procesie oświatowym, dokonującym bardzo wąskiej strukturalizacji „gustów literackich”, społeczeństwie o silnie rozwijanych środkach masowego przekazu, które od oddziaływań oświatowych niewiele odbiegają.

Światopogląd powieści? Nie jest to sformułowanie grzeszące jasnością: przecież jeżeli zgodzimy się z powszechnie podzielanym poglądem, iż sztuka w ogóle, a literatura w szczególności jest po to, by „waloryzować światopoglądowo rzeczywistość”, tj. opisywać świat albo go wymyślać, by jaśniej ukazać hierarchie wartości, związane z najogólniejszymi naszymi pytaniami i odpowiedziami na temat natury świata i nas samych, to określenie „światopogląd powieści” jest pleonastyczne i znaczy po prostu światopogląd światopoglądowej waloryzacji doświadczenia (określenie „waloryzacja światopoglądowa” zaczerpnąłem od Jerzego Kmity). Oczywiście, na ogół inaczej rozumiemy ten zwrot; oznacza on albo po prostu rekonstruowany w trakcie specjalnych zabiegów krytycznych światopogląd powieściopisarzy, albo też coś na kształt uogólnienia dotyczącego światopoglądu, jaki powinien mieć twórca jednej lub paru powieści, jeżeli reakcje odbiorców są takie, jakie przewidywał i jakie chciał wzbudzać (w tym sensie sienkiewiczowskie „ku pokrzepieniu serc” i znana skuteczność tego pokrzepiania upoważniają do mówienia o światopoglądzie Sienkiewicza — i faktycznie, Brzozowski miał na ten temat nietuzinkowe rzeczy do powiedzenia).

Mówiąc o światopoglądzie powieści, będę mówił o konstrukcji tego drugiego rodzaju. Wydaje mi się, że światopogląd ujawniany w tego typu wybitnych utworach współczesnych co *Ucieczka do nieba* Jana Komolki (Pierwsza nagroda w konkursie „Czytelnika” za debiut powieściowy w 1974 roku) lub *Pantokrator* Józefa Łozińskiego jest światopoglądem, który ma jedną cechę uderzającą; cechę, która go czyni podobnym do światopoglądów tradycyjnie rekonstruowanych dla poszczególnych okresów polskiej literatury, w szczególności zaś dla Romanizmu i Pozyty-

wizmu. Jest to światopogląd, w którym wartości istnieją całkowicie niezależnie od instytucjonalnego kształtu bytu społecznego. Światopoglądowa waloryzacja doświadczenia, jako swoista, wykształcona w trakcie rozwoju społecznego, „pomoc” dla każdej jednostki stwarzającej sobie jakiś pogląd na świat, jest więc dokonywana w taki sposób, że z góry niejako prowadzi się podwójną buchalterię, oddzielną dla wartości, które są konieczne, ale które trzeba dopiero „włożyć” w neutralne (w najlepszym wypadku) środowisko społeczne. Nie waloryzuje się więc wcale możliwych instytucjonalnych kształtów współżycia społecznego — waloryzacji podlegają jedynie konkretne jednostki, które z istniejących instytucjonalizacji czynią określony użytek. Jest to oczywiście zrozumiałe — trudno, aby konkretny autor wystawiał pewnym formom życia społecznego czek i blanco i z góry je uznawał za lepsze od innych (tego typu patologiczne podejście twórcze należy już, na szczęście, do przeszłości w literaturze pięknej, aczkolwiek jeszcze wciąż króluje w literaturze popularnej, co stanowi jedną z przyczyn całkowitego upadku tak obiecucającego obszaru literatury „niskiej”, jak powieść kryminalna). Ale oznacza to także, że autor nie może powiedzieć niczego na temat kształtu społeczeństwa, że szukanie przez jego bohaterów czegokolwiek na drodze przemian instytucjonalnych form nie wchodzi w grę — są bowiem (właśnie „światopoglądowo”) zaprogramowani wyłącznie na optymalizację własnego położenia w stworzonych środowiskach, nie na ich zmianę albo zależenie nowych. Zdumiewająca, a bardzo krótkotrwała, kariera *Konopielki* Redlińskiego (nie mówię teraz o walorach literackich tej pozycji ani o zdolnościach jej autora, tylko o kontekście, w jakim się pojawiła) bardzo wiele zawdzięczała właśnie tej okoliczności, iż przynajmniej w zakresie jednego drobnego fragmentu obyczajowości ukazywała skutki prywatnej inicjatywy reformatorskiej, a mianowicie rozszerzenia repertuaru zachowań seksualnych. Nawiasem mówiąc, jest rzeczą ciekawą, że właśnie ten aspekt rzeczywistości nie jest, wbrew pozorom, wcale eksponowany w powieści. Stosunkowo najbardziej zbliżył się do ukazania realistycznego Adam Zagajewski w powieści *Ciepło, zimno*, w której jednak brak seksu, brak pełnego współżycia, spowodowany z jednej strony miesiacką partnerką (synchronizacja pierwszej próby współżycia z okresem większej dostępności partnerki nie wchodziła, jak się okazało, w zakres przygotowań), a z drugiej strony sytuacja lokalowa (gospodarz wynajmujący pokój parze studentów jako połączenie woveryzmu i strażnika cnoty), jest symbolicznym ukazaniem społecznej niemocy bohatera, jego godnej pożałowania kondycji.

Jan Komolka w *Ucieczce do nieba* ukazuje wyraźnie zamknięty system społeczny, jakim jest zakład poprawczy. Zakład jest jedynym układem odniesienia, a jego zamknięcie sprawia, że tzw. stosunki międzyludzkie nabierają ogromnej intensywności. Jako instytucja jest „neutralny”, choć stwarza bardzo duże możliwości nadużywania władzy przez wychowawców. To stwarzanie możliwości nie jest jednak przez Komolkę traktowane jako przesłanka do wydania werdyktu potępiającego na samą ideę umieszczania młodzieży w zakładach poprawczych. Wszakże ta sama dowolność poczynić wychowawczych, która umożliwia nadużycia i hierarchizację społeczności chłopców ze względu na to, jakiego rodzaju przysługi oddają wychowawcy, umożliwia także wychowawcę „pozytywnemu” wychowanie poprzez rozwijanie zainteresowań chłopców, poprzez włączenie ich do wspólnego przedsięwzięcia (przedstawienie teatralne), które z jednej strony może okazać się socjoterapeutycznym zabiegiem

podnoszącym procent stosunków nie-poniżających między wychowankami, z drugiej zaś pomóc poszczególnym chłopcom w rozbudzeniu w sobie zainteresowania kulturą, sztuką, wartościami, których brak w ich codziennym doświadczeniu społecznym. Jest to jednak powieść bardzo „łagodna”, mimo scen drastycznych i mimo ukazania, że to raczej negatywne, z naszego punktu widzenia (i z punktu widzenia widzów na resocjalizację, dla której sam zakład stworzono) poczynania wychowawcze będą zdobywały wyższość nad poczynaniami pozytywnymi. Jej łagodność kryje się w odmowie oceniania instytucjonalnych form działań społecznych i w sprawozdaniu oceny do indywidualnego rachunku sumienia, który tylko tym się różni od samoceny, że jest przez nas, dzięki autorowi, wykonywany „za” bohaterów (bo ci nie miewają specjalnych wątpliwości i zastygli w rutynie do tego stopnia, że nie dostrzegają negatywnych skutków własnych postępów). Tu zresztą łagodność *Ucieczki* do nieba okazuje nagle swój łwi pazur (jeżeli wolno używać tutaj takich metafor): oto Komolka pokazuje nam świat, w którym instytucjonalizacja jest równoznaczna — dla bohaterów — z uniewinnieniem, ze zdjęciem odpowiedzialności. Wychowankowie nie czują się odpowiedzialni za swoje zachowania i reagują sytuacyjnie, w zależności od presji wychowawców i swojej pozycji w hierarchii (nieformalnej) wychowanków. Wychowawcy nie czują się odpowiedzialni, ponieważ uważają, że skuteczność ich poczynaniom zapewne selektywny terror w stosunku do wychowanków, a na terror taki mają ramową zgodę od społeczeństwa, które chce chłopców resocjalizować, co się kojarzy z przywróceniem dla życia społecznego, niejako wbrew instynktom przejawianym w momencie dokonywania wyrocznia. Komolka nie dlatego więc nie ocenia instytucji, nie dlatego konstruuje świat zamknięty instytucjonalnie, o niewzrostowanych kształtach, że uważa, iż niezmiennosc instytucji jest nam dana i trzeba się twórczo wyżywać na innych odcinkach życia. Nie ocenia, ponieważ jego konstrukcja powieściowa jest „zamknięta” — jest to studium kliniczne, studium układu, z którego wyjście jest tak odległe i upragnione jak ucieczka do nieba (jedynie okrucy takiej ucieczki to pośpieszny samogwałt w latrynie, w jedynym miejscu, gdzie zagwarantowano jednostce intymność, prywatność). Ta gorzka powieść jest więc przyczynkiem do światopoglądowej oceny układów zamkniętych, i jej zastosowanie społeczne, jeżeli już o tym mowa, może polegać na wykorzystaniu jej artystycznej siły przebiecia przy programowaniu reform systemu penitencjarnego, przy próbach jego „otwierania” i włączania w normalne życie społeczne.

Inny powód sprawy, że Łoziński w *Pantokratorze* także rysuje rzeczywistość instytucjonalną jako niezmienną, a jego bohaterowie poruszają się niejako „obok” instytucji. Łoziński nie rysuje świata jako zamkniętego układu — jego świat powieściowy to świat prób wyjścia poza kolejne zamknięcia, formy, instytucje, „Ciemny”, który przeprowadza — niejako w „czynnie społecznym” akcje sctjory i psychoterapeutyczne, pracuje na tęsknocie ku otwartości. Cóż — kiedy autorska kompromitacja poczynania tego typu, co poczynania „Ciemnego” jest jednoznaczna:

Ryk uwielbienia chycił go w swoje kleszcze. Płynął między czeredą rozentuzjasmowanej młodzieży podobny do złotego żuka. Na środku sali zatrzymał się i pustym gestem nakazał ciszę. Młodzi ludzie obojga płci z rozchwilnym włosem i wnętrzem runęli na podłogę. Wielkie, potężne oko nadziei rozjarzyło jednorodny świat marzeń. Ciemny chwilę wpatrywał się w tę przepaśną bezdenność. Jego suchą twarz obległ sinolipny otok mi-

styczmu. Siadłem w glebi na parapecie okna i z ciekawością obserwowałem mistrzowskie aktorstwo Ciemnego. Wyciągnął ręce w pozę wieszczka zwycięskiego Peloponezu i krzyknął ostrym, zgrany aż do sztampy głosem.

— Czy chcecie uznać siebie w ćwiczeniu Radosne Chwile?

— Chcemy.

— Czy chcecie poznać prawdę ćwiczeń Radosne Chwile?

— Chcemy.

— Czy chcecie wyznać miłość dla ćwiczeń Radosne Chwile?

— Chcemy.

— Czy chcecie złożyć ofiarę z męczeństwa Radosnych Chwil?

— Chcemy.

— Niech się stanie (s. 78).

Nie wchodząc tu w szczegóły bogatego warsztatu Łozińskiego, który wykorzystuje pewne chwytły Bulhakowa z *Mistrza i Malgorzaty*, ale czyni to w sposób twórczy: jego „sceny filmowe”, przerywniki z okresu „biblijnego” przynoszą nam świat bez rozdanych ról, bez Pilatów (jest to raczej świat z karuzela fałszywych i prawdopodobnie prawdziwych proroków, gnostyków i kandydatów na historyczne postacie), zwróćmy tylko uwagę na okoliczność, że Łoziński nie potępia samej próby szukania „wyjścia” poza ograniczenia nakładane na rozwój jednostek i grup społecznych przez Formę — przez instytucje. Wypowiada jedynie pogląd, że w sytuacji, w której instytucjonalizacja jest dostatecznie daleko posunięta, próby wyjścia poza nią mogą się okazać całkowicie pozorne i fałszywe, mogą nosić na sobie nieusuwalne znamie pochodzenia z „bezwysłowości” (w konkretnym przypadku Ciemnego chodzi o psychoterapię opartą na odziedziczonym rytuale — tym, który przejmujemy wszyscy uczestnicząc w obrzędach religijnych, oraz na nawykach zbiorowego odwoływania się do „potwierdzających” socjotechnik). Jest to pogląd ciekawy i wart wysłuchania, zwłaszcza że traktuje o aspiracjach duchowego i kulturalnego awansu, tych, które zrodziły się po zaspokojeniu aspiracji bardziej podstawowych, takich, które zaspokojone być musiały, ale nie wystarczają do kierowania życiem (jak to ujął ongi wódz pewnego indiańskiego rezerwatu — „żyje nam się nie najgorzej, ale... there is no glory in it”).

Ucieczka do nieba traktowała o systemie zamkniętym i o nieuniknionej arbitralności zrodzonej przez takie systemy, w których łatwo można uniknąć własnych, odpowiedzialnych decyzji na rzecz przystosowania się do spontanicznego bezładu moralnego. *Pantokrator* traktuje o próbach wyrwania się z moralnej pustki stwarzanej przez zinstytucjonalizowane (z konieczności — wymogi skomplikowanej cywilizacji itd.) życie społeczne i o natychmiastowym zaspokojeniu potrzeb czynienia takich prób przez spontaniczne, a nie zawsze najczystsze intencje zespoły i jednostki. Na podkreślenie zasługuje także okoliczność, iż obie powieści są wybitnie realistyczne, mimo że w obu autorzy płynnie przechodzą do nader różnych konwencji narracyjnych i w żadnej nie dbają o zachowanie naturalistycznej odpowiedzialności języka i opisywanego przedmiotu. W obu też można doświadczenia podpoznańskiego „poprawczaka” i atmosferę ciekawego, przedziwnie „zwichrowanego socjotechnicznie” Wrocławia i jego środowisk twórczych odsłonić nader szybko. Obie stawiam bardzo wysoko w hierarchii młodej polskiej powieści. Realistycznej.

Ale na powieści realistycznej nie wyczerpuje się zagadnienie roli światopoglądowej tego rodzaju pisarstwa. I tu chciałbym

przejsć do kolejnego problemu: do problemu roli, jaką literatura pełni w systemie kultury. Wydaje mi się, że przez przyzmat tej roli można także zrozumieć, dlaczego podejmowane są na jej gruncie próby określenia, próby „światopoglądowej reakcji” na sytuację albo braku wartości (*Ucieczka do nieba*), albo manipulowania wartościami (*Pantokrator*).

Ze względu na zasięg społeczny niewątpliwie literatura pełni rolę inną niż środki masowego przekazu. Te ostatnie mogą być niejako „bardziej aktualne”, przez co mogą kształtować reakcje w stosunku do bieżących doświadczeń w stopniu o wiele wyższym i jakby „bardziej realistycznym”. Jakże bowiem, można by powiedzieć, ma literatura, tworzona „pojedynczo” i sięgająca w żmudnym i trudnym do przewidzenia procesie niewiadomej ilości odbiorców, równać się z widownią telewizji, audytorium radia czy codzienną masową konsumpcją gazet. Co prawda z gazet wyszukuje się dane o pogodzie i programie kin, które to dane byłoby trudno odnaleźć w powieściach, ale i tak różnica zasięgu jest już sama w sobie ogromna. Niemniej występuje tu pewna osobliwa różnica w sposobie oddziaływania. Otóż o środkach masowego przekazu, pozwalających na zaznajomienie się — niemal równoczesne lub całkowicie równoczesne — z wieloma wydarzeniami znajdującymi się poza zasięgiem zmysłowej rejestracji jednostki, można powiedzieć, że podobnie jak fotografia zwiększają one poczucie prawdopodobieństwa oferowanego obrazu świata, poczucie subiektywnej pewności, że to właśnie, a nie coś innego, miało miejsce, że nie zwiększają obiektywnej wiedzy jednostki o świecie, nie przyczyniają się do wzrostu wiedzy obiektywnej. Aranżacja wiadomości, konieczna już nie tylko z przyczyn ideologicznych, ale z prostych i zrozumiałych powodów technicznych, powoduje, że wszystkie wiadomości są konstruowane tak, by jednostka wierzyła, że tak właśnie się rzeczy miały. Tymczasem jednak jednostka może mieć przed taką wiarą opory wszelkiego typu — znany jest powszechnie fakt, że wiadomości nie sprzyjające naszemu nastawieniu po prostu odrzucamy.

Innego typu poznanie oferuje nam powieść: nie daje nam poczucia subiektywnej prawdziwości, ale pozwala nam odbierać możliwe reakcje wiarygodnej osobowości kulturalnej. Powieść nie pozwala odróżnić faktu od fikcji, ale pozwala zobaczyć, w jaki sposób nastawienie, pewien typ postawy, będzie wpływał na sposób życia, na los jednostki.

Wszelka polityka kulturalna będzie zawsze dążyła do tego, by punktem ciężkości swoich oddziaływań uczynić środki masowego przekazu. Tyko nieliczne rodzaje polityki kulturalnej mogą być nastawione raczej na ten typ oddziaływania, jaki oferuje literatura. Cały problem polega jednak na tym, że polityka kulturalna, która ze środków masowego przekazu uczyniła swoje podstawowe narzędzie oddziaływania, stanowi politykę prekulturalną raczej, niż kulturalną sensu stricto. Środki masowego przekazu są bowiem w stanie upowszechniać pewne rodzaje wytworów artystycznych i przekazywać „prefabrykaty” do rozwoju kulturalnego grup społecznych i jednostek. Ale tworzenie kultury i budowa własnej osobowości kulturalnej to procesy, w które środki masowego przekazu ingerować mogą wyłącznie jako pomocnicze i drugorzędne w gruncie rzeczy udogodnienia komunikacyjne (zarówno konstrukcja własnej osobowości kulturalnej, jak i twórczość w jakiegokolwiek dziedzinie, w tym także twórczość literacka, odbywają się raczej dzięki komunikacji bezpośredniej, typu „face to face”, niż dzięki produktom masowym).

Powyższe, raczej mało odkrywcze stwierdzenia, mogą jednak posłużyć do objaśnienia następującej osobliwości polskiej sytuacji kulturalnej: na etapach bardzo wstępnych enkultracji dużych mas ludzkich dokonujących w okresie powojennym tzw. „awansu” społecznego (a więc — przynajmniej w pewnym zakresie — także kulturalnego) posługiwano się w ramach ówczesnej polityki kulturalnej przede wszystkim tradycyjnymi dziedzinami twórczości, takimi jak właśnie literatura, której nakazywano bezpośrednie ingerowanie, sterowanie tym procesem. Natomiast w okresie, w którym enkultracja powinna była wejść w okres mniej ekstensywny, a bardziej intensywny, w okresie, w którym można by się pokusić o formułowanie bardziej subtelnych i mniej „bezpłodnych” celów dla literatury, w tym okresie jak gdyby zrezygnowano z niej i postawiono całą stawkę na środki masowego przekazu. Tak więc do niepowodzeń wczesnego okresu enkultracji (bo przecież, wyjąwszy albo naginanie literatury, które jest dla niej groźne, albo snobistyczne naginanie nieprzygotowanych odbiorców, które jest dla nich sztuczne i nieskuteczne, literatura nie towarzyszyła wówczas społeczeństwu (harmonijnie dołączono niepowodzenia drugiego, dojrzałego i mniej „ruchliwego społeczeństwa” okresu enkultracji, kiedy to poziom środków masowego przekazu dla bardzo poważnej części odbiorców, i to przede wszystkim tych, którzy najbardziej są związani z polityką kulturalną, bo dzięki niej dokonali faktycznego awansu, jest zbyt niski).

Powodzenie pisarzy takich jak Parnicki czy Wojciechowski — Parnicki jest już ylmowany, a Kamienne pszczoły niechybnie sfilmowane zostaną — powinno być dla polityki kulturalnego sygnałem, że środki masowego przekazu to zdecydowanie zbyt mało. Ponieważ jednak zajmujemy się tu prozą najmłodszą, zwróćmy uwagę na Donata Kirscha, i jako autora *Liści Croatan*. Potraktujemy tę powieść jako katalog środowiska kulturalnej konsumpcji, jako spis wyposażenia nisz ekologicznej autora (jest to podejście cokolwiek barbarzyńskie, co, miejmy nadzieję, odkupi przekonywająca wartość tego cytatu w ramach całego wywodu):

Czas

przekona go, że spotka Virginie, tę samą, z którą został się w maju, chyba 4 maja 1979 roku. Nieporadny żal: co będzie wcześniej nim pożegna się z Virginą. Szklana taśla (jeziora?) lub szyby, wielka równina szyb — powietrza — ziemi.

A tymczasem już nad ranem: otworzy oczy, spojrzenie przyciągnie brunatny krzyż z metalowym Chrystusem — dziwnie nie pasujący do nowoczesnego pokoju. David spojrzy na niego, ledwo przebudzony, przypomni sobie piosenkę Leonarda Cohena o Zuzannie: o Chrystusie który patrzył z drewnianej wieży, samotnej wieży (s. 218)

Nie mając nic lepszego do roboty, patrzył w sufit. Ze względu na wszystkich ludzi, którzy robili to samo, można go było jakoś ładnie pomalować, myślał, czy w bogatszych domach można by wyświetlać filmy lub obrazy (jakby „Zezłego roku w Mariendalzie” mogło istnieć na suficie: przypadkowe arcydzieło) (s. 220)

W łagodnie ciepłym powietrzu szli przez dzielnicę (w której przecież mieszkali) domów, które wyglądały jak obrazy Pieta Mondriana. Kolorowe prostokąty ścian, właściwie ściany rozbite na szereg kolorowych prostokątów. Nawet niebo w tej części (swojej) wyjątkowo beczmurne pasowało do nich w wesoły sposób. Trawa na zieleńcach (nasi stwórcy) była trochę za wysoka. Ogrnął go żal: niedługo będzie skoszona.

Wyglądają jak obrazy Mondriana.

— Spóźniłeś się — odpowiedział jej. (s. 223)

Przytoczyłem powyższe cytaty, ponieważ ukazują one, w jakim kontekście skojarzeń kulturowych autor umieszcza przeżycia swoich bohaterów (autor urodzony w 1953 roku): przynajmniej jedno z tej klasy skojarzeń wynika — to mianowicie, że ich autorzy i bohaterowie nie mogą mieć żadnych korzyści ze skojarzeń, które niesie ze sobą fala mass mediów (nawet jeżeli tematycznie skojarzenia te są równorzędne — wystarczy jednak obejrzeć program w „Pegazie” o, powiedzmy, wystawie Mondriana albo o architekturze, by się natychmiast przekonać, że zawartość informacyjna programu i stopień wewnętrznej jego organizacji są zbyt niskie i ubogie dla narratora powyższych fragmentów).

Literatura jednak dysponuje jeszcze jednym „niefiguralnym”, że tak powiem, sposobem reagowania na rzeczywistość i zdawania sprawy z jej osadu. Miast konstruować świat przedstawiony jako płaszczyznę akcji utworu, może świat przedstawiony niejako zawrzeć w składni i leksyce języka, w jego idiolektach i frazeologii. W tym zakresie w młodej polskiej prozie pojawiły się ostatnio (tj. na przestrzeni drugiej połowy lat siedemdziesiątych) przynajmniej trzy bardzo ważne propozycje. Mam na myśli W baraszc przygód Marka Słyka, *Pannę Liliankę* Ryszarda Schuberta i *Skrzęc Janusza Głowackiego*.

Schubert dokonał zabiegów najbardziej chyba oryginalnego, bo wykorzystał — po raz pierwszy w naszej literaturze — stereotypizację drobniomieszczańsko-kobiecego punktu widzenia oraz gwargę poznańską, do której posiada słuch niemal absolutny (do tego stopnia, że dopiero czytając jego powieści na głos można się zorientować, że pozornie niezrozumiałe zwroty czy skróty są w gruncie rzeczy bardzo trafnym oddaniem fonetycznych osobliwości „pознаńszczyzny”, jak np. wznoszącej się intonacji w zdaniach oznajmujących, a nie tylko pytających, jak skrótołów typu „padam” zamiast „powiadam” itd.). Natomiast i Słyk i Głowacki zdecydowali się na sparodiowanie obrazu świata poprzez kompromitację języka, jakim narrator zdaje z tego świata sprawę (w przypadku Głowackiego jest to bardzo twórcze wykorzystanie jego ciekawych eksperymentów z publicystyką — niby — felietonem na łamach „Kultury” pisanym przez narratorka miała być wypowiadającego się po linii i na bazie), zaś obraz świata pełen demonicznych przywaciarzy, mistycznych hodowli i eksperymentów z Zachodem, dziwacznych i pokracznych przygód i halucynacji, jest drugorzędny. Bo też istnieje tylko jako „wrzaskliwa opowieść idioty”, i po to wyłącznie, by idiotę kompromitować. Nie muszę chyba dodawać, że spora dawka autematyczności i autoironii towarzyszy temu przedsięwzięciu.

Strategie fabulacji można więc w prozie młodszej porządkować albo według światopoglądowych wyznaczników rekonstruowanych na podstawie interpretacji świata przedstawionego, albo na podstawie formalnych przekształceń dokonywanych na języku: w przypadku pierwszym krytyk mówi o ontologii świata przedstawionego (lub nie), w przypadku drugim — o jego epistemologii.

Sławomir Magala

PAWEŁ GEMBAL

Historia

Jestem zawsze z wami Nigdy was nie
Opuszcę Mówi Prezentując pełną
Galanterii tajemniczość Taka jest
Moja rola Nauka o dziejach A my
Słyszymy trzepotliwy lot własnych
Przestraszonych myśli Przebiegamy
Wspomnienia W błysku wzmnożonej
Jasności umysłu Myślimy Oszła
Wyzbyta uczuć Jeszcze przypomni nam
O błędach Poznamy Który to raz z rzędu
Chłopięcy strach i śpiewność języka
Jestem zawsze z wami Nigdy was nie
Opuszcę Mówi Z francuska przez nos
Pod powiekami tuli zimne marzenia
O nowych wyprawach Napoleona Dniu
Wczorajszym Literaturze libertyfńskiej
Rewolucji francuskiej Powstaniach
I ona odczuwa kłopotliwość sytuacji
W onieśmieniu rozciąga uśmiech
Jak akty dyplomatyczne państw neutralnych
W czasie drugiej wojny światowej

Znam niektóre szczegóły

Znam niektóre szczegóły Nie bój się
Ciszo To jest właśnie to Wyglądasz
Na najbardziej zdziwioną tą sceną
Pełna zwątpień kręcisz głową W tej
Chwili jesteś kimś bardzo bliskim
Wolisz myśleć że to się nigdy nie
Stało Ale wtedy wzrasta niechęć do
Samej siebie Nie nalegam Chcesz abym
Pozwolił ci odejść Nie mówiąc już nic
Więcej Nie bój się To jest właśnie to
Ta rozmowa rozdrapała na nowo nasze
Rany Znam niektóre szczegóły Nic więcej

Czasem Jak dziś Wolisz myśleć że to się
Nigdy nie stało Nie bój się Ciszo To
Jest właśnie to kiedy spowiadasz tych
Co chcieli przystąpić do komunii Boję się
Tylko żebyś nie zakłóciła porządku nie-
Oczekiwany wrzaskiem

Pani poezja

Tak Tak tak Jestem tylko narzędziem
Do wypowiadania myśli Mówi skromnie
Tylko narzędziem Tak Niczym więcej
Cóż z tego że nim Awitus Flaminiusz
Dowódca rzymskich legionów rozpoczął
Studia nad sztuką wojenną ja z pomocą
Heksametrów Wergiliusza zawiadnęłam
Światem Sprawiałam że pod Grunwaldem
Wojska polsko-litewskie wkraczały do
Walki niczym niesione na skrzydłach
Wiatru Nie zapomniałam o wzniosłości
Cnoty i wymogach piękna gdy młodzieńcy
Zabiegali usilnie o względy panien
Niepowstrzymanie roslam kiedy naród
Rozgłaszał swoje czyny Tak Moja sława
Nabrała swoistego rozgłosu Cóż z tego
Jestem jednak nadal tylko narzędziem
Do wypowiadania myśli Mówi skromnie
Pani poezja Może ochrą świata Może
Może czymś więcej Ale o tym
Boi się już pomyśleć

W każdym z nas

Pewnego sierpniowego wieczora
Czyta pamiętnik Anny G. Pożółkłe
Kartki papieru zapisane zielonym
Atramentem Gdzieniegdzie upstrzone
Przez muchy Polszczyzna daleka
Od doskonałości Myśli że mógłby
Poprawić styl Rozwlekłej narracji
Przeszłych zdarzeń nadać zwartość
Myśli o wartościach przypisywanych
Tego typu literaturze Zatrzymuje się
Przy ostatniej linijce Po chwili znów
Widzi do oczu skaczące litery Anna G.

Pod podpisem dziura wypalona popiołem
 Z papierosa W chwili roztargnienia
 Spadł Annie Może komuś gdy w sytuacji
 Podobnej do jego czytał ten pamiętnik
 Dziwne mu jest wyobrażenie sobie tego
 Kogoś W dziedzinie przypuszczeń nie ma
 Granic Nie ma się co oszukiwać Myśli
 To niewątpliwa kłęsa podobna do wielu
 Innych Przypomina szukanie wolności
 Która nie jest w jakimś miejscu tylko
 W każdym z nas

Ten dom

Któregoś dnia zobaczysz
 Ten dom Od frontu pokryty
 Całą mapą świata Splątane
 Kontynenty morza oceany
 Z błękitnymi chmurami nieba
 Z tyłu ogarniała go jakaś
 Szarość i był zaniedbany
 Zapuszczał się łobuzersko
 W ogród z porzeczkami
 I posiadł bezruch
 Całych stuleci życia Jego
 Powolny i harmonijny oddech
 Zwarte milczenie jakby
 Odmiennym rytmem mierzyło
 Czas naszej epoki Wszystko
 Przebiegało w nim ze zwykłym
 Spokojem Gdzieś daleko
 Przelatywały pociągi W ścianach
 Domu czuć było ich drżenie
 Jak gdyby dające nam coś
 Do zrozumienia

Vincent van Gogh

Jesienny ranek Ostatnie pianie
 Koguta idzie jeszcze ścieżkami
 Ogrodu Zamiera w krzakachazu
 Berberysu i dzikiej róży Wiatr
 Za oknem tarłosi gałęzie drzew
 Niesie barwne liście buku i dębu
 Van Gogh całkowicie rozbudzony

Myśli o pierzchłym niedawno śnie
 Tylko żeby słówkiem nie potracić
 Teraz tak bardzo pragnie ciszy
 Malej i dyskretniej ciszy W niej
 Szuka ratunku Rozproszone światła
 Splatają się na rzęsach Widzi
 Nierówne refleksy Usiłuje schwytać
 Choćby jeden obraz ze snu Słyszy
 Krzyżujące się zdania Niby to
 Pieszczotliwe niby użalające się
 Później zdecydowane twarde i ostre
 Jak brzytwa golarza Malesherbes'a
 Nie... Nie nie... Niemożliwe Czy
 To poczucie jakiegoś nieszczęścia
 Nie wie jeszcze że jego postępowanie
 Jest takie samo jak Anny Arnauld
 W przypływach dobrego humoru z ręką
 Opartą na biodrze śpiewała mu arie
 Olimpii „Oiseaux dans la charmille”
 Z „Opowieści Hoffmanna” Offenbacha
 I bez najmniejszego skrupułu omijała
 Trudniejsze miejsca Szuka ratunku
 Nie... Nie nie... Niemożliwe Czy
 To poczucie jakiegoś nieszczęścia
 Słyszy rozmaite zdania Niby to
 Pieszczotliwe niby użalające się
 Później zdecydowane twarde i ostre
 Jak brzytwa golarza Malesherbes'a
 Rozgląda się dookoła Widzi promienie
 Słoneczne zaciskające się na lustrze
 Nie... Nie nie... Nie jest czymś blahym
 To lustro Widzę przecież w nim krew
 Kapie po kropli jak krople waleriany

Niepokój zbyt późnej godziny

Niepokój zbyt późnej godziny
 Śpieszy się Jakby nie nadążał.
 Za biegiem spraw Zapala lampę
 Otwiera książkę lub album
 W nich historia rozbiera się
 Zostaje dziwką Pije z nią wino
 Świat oddala się w swoją przyszłość
 Bez niego On robi wszystko aby
 Zawęzić go do potrzeby zatrzymania
 Chwili Zwodnicza próżnia
 Aleksandryjska cisza i śpiew Anny
 Widok lśniącej brzytwy Uśmiecha się

Czy uśmiech oznacza zawieszenie broni
W ulamkach udaje mu się zdobyć...
Nie jest tego dużo Gdy już posiada
Przyjmuje jak napis pod obrazem
Guercina „Et in Arcadia ego”
Jak kark gilotynę Jak grymas twarzy
Bardzo się śpieszy Nawet zapomina że
Milczenie grobów nie jest zbyt wymowne
Coś nowego zawsze się rozgrywa Rozgrywa

Rozpoznać blask słońca

Powoli Jak ktoś Kto stara się
Nie zakłócić ciszy delikatnie
Trzepoczącej się w promieniach
Powiedziałaby W blasku miecza
Rozpoznać można blask słońca
Zrobić wysiłek Przypomnieć
Wszystko od początku Byłe blaha
Wskazówka zasadnicze odkrywa
Sprawy Kapitałne znaczenie ma
Najdrobniejszy incydent Skrótowo
Choćby przypomnieć Plac Teatralny
Warszawa... Dzień... Godzina...
Warunki atmosferyczne Przechodzić
Po kolei wszystkie sceny...
Prawdziwe znaczenie... Gdyby ni-
Czego nie zostawić przypadkowi...
Gdyby... Powoli Jak ktoś Kto

Erazm (1467-1536)

Jest wczesny ranek 1496 roku
Szczekanie psów które wyladowywały
Swoją złość z powodu rychłego
Końca nocy i ciepły wiosenny wiatr
Wpadały przez lekko uchylone okno
Erazm kładzie się spać Przymknął
Powieki Intencjonalna czystość
Z przebiegłym uśmiechem bierze go
W swe posiadanie Nadchodzi pora
Bawienia się w prorocтва chwili
Urodziliśmy się i żyjemy w złym
Czasie Trzeba na niego zwracać
Baczną uwagę Też pewnie na swój

Sposób jest nieszczęśliwy...
Dopiero teraz zasypia Z wyrazem
Twarzy sugerującym iż jest panem
Skarbu o nieznaney nikomu wartości
Jeszcze nie wie że od tej chwili
Świat przyspieszył aby dotrzeć
Pod adres wskazany przez niego

Zrób to na przestrzał

To uczyn Tak tak Zrób to na przestrzał
W tej dobrze wygarbowanej skórze oglądaj
Dokładniej Jeszcze dokładniej Obejrzyj
Wnętrze rozległe jak mapa tego kraju
Pocięte gościńcami strachów lęków dźwięków
Myśli Czego tam nie ma Czego Obejrzyj
Jest kwestią sporną jaki ten jeden z drugim
Strach Blady jak opłatek Cichy jak komża
Po mszy świętej zdjęta Jaki jego kształt
Jakie lęki wewnętrzne Ze świata dzieciństwa
Jak przed płaszczem co wisi zamazany zmierzchem
Jak zamknięcie oczu i wyobrażenie że jest się
Nieżywym Czy tak jak śnić że w dół się jest
Strąconym A jakie dźwięki Dźwięki Złowróbnie
Warczenie Melodyjne mruczenie łagodnego snu
W tej dobrze wygarbowanej skórze oglądaj
Dokładniej Jeszcze dokładniej Obejrzyj
Chcesz minąć czym prędzej i nie słyszeć jęku
Nienawiści Jakie myśli płyną ku tobie Pełne
Mądrości i wyrozumienia Pełne pośpiechu
Zawsze w drodze Zaprzątnięte własnymi sprawami
W połowie drogi chcesz poniechać swojego
Zamiaru Dokładniej Tak tak Dokładniej obejrzyj
Wnętrze rozległe jak mapa tego kraju

List ze świata

Mikłósowi Perge

Zawsze mnie pytasz o nowiny stąd
Z Puław Nareszcie mogą ci donieść
Coś interesującego Wiedz że mamy
Tutaj świat Trzepocze u nas jak
Przyćmione światło Rośnie niczym
Wyrzut sumienia Jest przedmiotem
Zainteresowania i entuzjazmu Nikt

Jeszcze nie pokłócił się z jego
Przyczyny Skupieni obserwujemy gdy
Porusza się jak żółw ociężale i
Rozpaczliwie Niekiedy wydaje mi się
Do tego stopnia urzeczony tubylcami
Że aż jest nieuważny Jak gdyby nie
Potrzebował już nas przyjacielu aby
W końcu na siebie się nie zgodzić

Paweł Gembal

Artysta porusza się między dwiema przepaściami, którymi są
beztroska i propaganda.

Albert Camus

ADAM FIALA

MOKRE WAKACJE

W życiu Adama Apostola nastąpiły zmiany, które można by uznać za pomyślne. Przede wszystkim dyplom. Uzyskał go na wydziale historii lokalnego uniwersytetu. Uzyskał, ale osobiście nie odebrał, więc dyplom: elegancko oprawiona, zgrabnie przyścieta książeczka, oczekiwał na Apostołą w dziekanacie. Okaże się zresztą, że oczekiwał bezskutecznie.

Praca dyplomowa Apostola była w pewnym sensie odkrywcza, tak przynajmniej twierdził promotor. Ujmowała pewien wycinek naszej historii najnowszej, ze szczególnym uwzględnieniem lokalnych, czyli wschodnich w tym wypadku, terenów naszego kraju. Była pisana z brawurą, erudycją, i Apostoł, jak każdy Polak, nawet w tym wypadku nie unikał improwizacji. Otóż część bibliografii oraz dokumentów źródłowych po prostu stworzył w czasie długich wieczornych rozmyślań w miniaturowym pokoiku wynajmowanym u pewnej kobiety (Adam nigdy nie mieszkał w domu studenckim, tak zwanym akademiku, zawsze podnajmował coś w miarę małego i samodzielnego). Zdolności kreatywne Apostola były tak duże, że właśnie najbardziej przekonującą była bibliografia przez niego wymyślona, zaś dokumenty źródłowe jego pomysłu przewyższały siłą realizmu i ogólną wymową autentyki, szare, postrzępione, zaczytane do ostatnich granic, nikomu poza archiwistami nie potrzebne, nawet historycy lokalnego uniwersytetu wyrażali się o nich, oczywiście w prywatnych rozmowach, lekceważąco, obrzydliwie im jak potrawy uniwersyteckiej stołówki.

Jakieś pojęcie o tej pracy dyplomowej również i ja mam, z tej prostej przyczyny, że ja pracowicie wystukiwałem na maszynie z rękopisu Adama (niektóre fragmenty, gdy urywał się rękopis, dyktował mi osobiście, z głowy, syjąc datami, liczbami cytowanych stron, nazwiskami, całym tym arsenalem a równocześnie balastem naukowym, tak miłym dla profesora, a tak niestrawnym dla studenta, czyhającego, by kolorowym flamastrem podkreślić jedynie najważniejsze, kluczowe zdanka).

O ile dobrze pamiętam, Apostoł napomknął, że profesor proponuje mu stanowisko asystenta i ma już dla niego konkretny temat rozprawy doktorskiej. Adam przez grzeczność się wahał. Wiedział jednak doskonale, że uposażenie asystenta, nawet starszego asystenta, jest zbyt szczupłe. Ponieważ profesor miał bar-

dzo rozległe w lokalnym świątku znajomości, Apostołem wkrótce zainteresowała się miejscowa rozgłośnia radiowa. Jeszcze przed obroną dyplomu i egzaminem magisterskim zaczął chodzić do radia, praktykować, jak mówił (później został stażystą). Kręcił się trochę przy redakcji słuchowisk literackich, ale bardziej interesowała go społeczna, bo więcej można było zarobić: mnóstwo reportażyków na gorąco, aktualny temat, niekoniecznie zaraz wielka polityka, ot, po prostu gdzieś trwały roboty drogowe, zostały zakończone, a znaki ograniczające ruch pozostały. Wdzięcznym tematem była również miejscowa cukrownia, starszuszka, z przedpotopowymi maszynami, ale wielce zasłużona, nawet chyba jej jakiś order nadano, a także przedszkola, pełne rozświergotanej dzieciarni (kolorystyka dźwięków zarejestrowana na taśmie magnetofonu była przebogata, mogła konkurować z utworami Messiaena Oliviera). Reportażyk dochodził do reportażyku, płetczka radiowa do płetczki, przerywnik do przerywnika, i Adamowi Apostołowi, już jako stażysta, zbierało się co miesiąc wielotysięczne, niebotyczne dla świeżo upieczonych absolwentów historii uposażenie (choć Bogiem a prawdą nie był jeszcze świeżo upieczonym, piekł się po prostu, bo jak już zaznaczyłem, przygotowywał dyplom, pracując równocześnie w rozgłośli).

Adam Apostoł, zupełnie przypadkowo, zaangażował się w jeszcze jedno, bardzo zresztą korzystne pod względem materialnym przedsięwzięcie. O co chodzi? Wierzę to on już pisywał dawniej, miał łatwość tworzenia skomplikowanej, barokowej metafory, założył nawet lokalną grupę poetycką, studencką, która miała okienko, co dwa tygodnie, w miejscowej prasie, honorariów jednak, nawet symbolicznych, nie płacono, bowiem redaktorzy uważali, że już samo udostępnienie miejsca do druku jest wystarczającą nagrodą dla studenta. Otóż Adam pisywał te wierszyki, ale tak się zbiegło, że skoro tylko zaczął pracować w radiu, zgłosił się do niego kierownik lokalnego zespołu gitarowego „Chatka Puchatka” z propozycją współpracy w zakresie pisywania tekstów dla zespołu. Kierownik „Chatki” miał w tym swój cel. Wprawdzie wiedział, że Apostoł ma z redakcją muzyczną niewiele wspólnego, ale liczył na to, że świeżo upieczony redaktor postara się, by jego teksty latały na antenie, a tym samym lansowały muzykę kierownictwa „Chatki Puchatka”. Jak się okazało, kierownik artystyczny, a równocześnie główny basista „Chatki”, nie pomylił się w swoich przewidywaniach, zespół został wylansowany najpierw lokalnie, później centralnie, nagrał płytę, później kilka płyt, a to już się wiązało ze znacznymi zarobkami zarówno dla muzyków „Chatki” jak i tekściarza, Adama Apostoła.

W radiu więc pozostał, dyplom ukończenia studiów jednak nie odebrał. Namawiano go w rozgłośli: „Wiemy, że pan, panie Adamie, ukończył już studia, zapłacimy panu wyższą stawkę, ale nie mamy podkładki, musimy mieć dyplom bądź jego odpis,

niech pan nam to w najbliższym czasie dostarczy”. Adam kiwał ze zrozumieniem głową, ale była jakaś siła fatalna, której nie mógł przezwyciężyć: nie wiadomo, z jakich powodów wzbraniał się przed przestąpieniem progu dziekanatu i złożenia podpisu w odpowiedniej księdze jako dowodu pobrania. W ten oto sposób dyplom nie odebrany, po pewnym czasie powędrował do archiwum wraz z dyplomową pracą Apostoła, a także pracą z egzaminu wstępnego na wyższą uczelnię, i Adam, choć wszyscy w mieście wiedzieli, że ukończył studia, i to znakomicie, formalnie był uważany za człowieka z niepełnym wyższym wykształceniem. Co mu oczywiście w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało w dalszej karierze, bowiem w rozgłośli pracowali ludzie również ze średnim wykształceniem, nie licząc strażnika w czarnym mundurze, z karabinem zwanym kabek, który miał jedynie podstawowe.

Nawet prywatne życie sobie ułożył, no, może na pewien okres. Otóż jeszcze w trakcie pisania pracy dyplomowej (Apostoł potrafił ciągnąć kilkanaście rzeczy na raz, miał niezwykle rozwiniętą podzielność uwagi), poznał piękną czarną dziewczynę, Iwonettę, córkę miejscowego adwokata, notabla zasłużonego w pracy społecznej jako współorganizator życia muzycznego w mieście (chodziło o muzykę poważną). Właściwie słowo „poznał” nie oddaje plastycznie zaistniałej sytuacji. Iwonetta, jak każda piękna dziewczyna, nigdy nie była wolna, zawsze miała kogoś na etacie. Etaty się zmieniały, ale na ogół z zachowaniem ciągłości. Aktualnie, w momencie poznania Apostoła, chodziła z chłopakiem w dużych rogowych okularach, ze szklami minus osiem, bodajże, dioptrii, więc już z daleka błyszczały trochę jak spodki z solidnego, grubego szkła. Chłopak był trochę rozwichrzony wewnętrznie, formalnie studiował polonistykę, marzył jednak o karierze piosenkarza literackiego, zwał się Amigo. Oczywiście miał już pewne sukcesy (w przeciwnym wypadku Iwonetta by w ogóle z nim nie chodziła), nagrał w miejscowej rozgłośli wiersz „W malinowym chruśniaku”, bodajże Leśmiana, z własną muzyką gitarową, z zastosowaniem kamery pogłosowej i efektów perkusyjnych, które wydobywał za pomocą buta i drewnianej pałeczki. „Stary, zaaranżowałem zupełnie jak Rolling Stonsi, a tekst nawet znacznie lepszy, bo ambitny” — chwalił się Amigo. Kilka wierszyków wydrukowała mu lokalna prasa. Zbierał więc równocześnie materiał na pierwszy tomik i na pierwszą płytę, która zamierzał wydać w „Veritonie”, zapisał się nawet na to konto do organizacji PAX i w skrytości przygotowywał kolędę, bowiem twierdził, że największe indywidualności brały się za kolędy, choćby Elvis Presley bądź Piotr Szczępanik.

Amigo jednak nie miał tej podzielności uwagi, lub też miał ją w znacznie mniejszym stopniu niż Apostoł. Zaabsorbowany do zdechu sprawami artystycznymi (kręcił też chyba z miejsco-

wym teatrykiem studenckim), zaniedbał zupełnie Iwonettę, poczuła się urażona, i na miejsce Amigo wskoczył Apostoł.

Amigo, tak mówiąc nawiasem, po tym zdarzeniu to w ogóle zszedł na psy. Wprawdzie chwalił się, że jeździ na studenckie konkursy piosenki do Krakowa, i choć nie zdobywa głównych nagród, to jednak tym chruśniakiem à la Rolling Stonsi budzi furorę za kulisami, wprawdzie wreszcie zebrał tomik wierszy i złożył w lokalnym wydawnictwie, ale z płyty nic nie wyszło. Jak i z zeszytiku poezji, bo wydawnictwo orzekło, że utwory są zbyt mało związane z regionem. Amigo wziął sobie to do serca i żeby bardziej związać się z regionem, powrócił tam, skąd przyjechał, to znaczy na południowo-zachodni kraniec Polski. Podobno tam działał, krążyła nawet o nim legenda, ale tak na dobre słuch o Amigu zaginął. Ostatecznie, mając osiem dioptrii na liczniku, nie musiał brać pod uwagę, że zostanie powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej.

Apostoł zaczął chodzić z Iwonettą, choć to chodzenie z jedną tylko dziewczyną nie było w jego stylu. Znowu ta rozwinięta do granic absurdu podzielnosc uwagi. W tym wypadku jednak stłamsił się wewnętrznie. Iwonetta była dziewczyną dumną, z dobrego domu, nie znosiła żadnych kompromisów.

Tak się złożyło, że i ona kończyła wyższe studia, polonistykę. Zawdzięczam jej poznanie dzieła Cypriana Kamila Norwida pod tytułem „Vade-mecum”, choć w tej chwili głowy nie dałbym za to, że cytuję poprawnie. Gdyby nie Iwonetta, najprawdopodobniej nigdy bym tego nie miał w ręku. Przepisywałem jej pracę dyplomową na maszynie, była to rozprawka analityczna na zapodany wyżej temat. Praca Iwonetty bardzo mi się podobała, Norwid mniej, odniosłem wrażenie, że jest to rozgoryczony, sterany życiem starzec, który się dosłownie czepia wszystkiego i każdemu nawet najmniej istotny drobiazg ma za złe. Dziwnie kontrastowały ze sobą, ta zgrzytliwość rozżalonego, przemądrzałego starca (być może nawet wielkiego, ale to już nie moja sprawa lecz krytyków) ze słoneczną, moztartowską rzec można, pogodą Iwonetty. „Tylko staraj się robić jak najmniej błędów i nie poprawiaj stylu” — zalecała. O stylu napomknęła dlatego, że byłem znanym lokalnym przepisywaczem na maszynie, przepisywałem dużo prac pewnemu starszemu asystentowi, a w konsekwencji adiunktowi, i ten zawsze mnie prosił: „Stary, postawię ci dużą kawę, popraw mi w miarę możliwości styl”.

Ironia losu sprawiła, że Iwonetta nigdy się nie dowiedziała, jak bardzo mi się podoba. Przegrałem z Adamem Apostołem, nawet nie stając z nim w szranki. Byłem tylko przepisywaczem, nawet wypełniając rachunki za przepisywanie dla uniwersytetu, zatajałem swój dyplom prawniczy („tak będzie lepiej” — tłumaczył adiunkt) i w rubryce „zawód” wpisywałem: „pracownik umysłowy”, choć w owym okresie w ogóle nie pracowałem.

Na ślubie Apostoła i Iwonetty nie byłem. Fama głosiła, że był znakomity, z wszelkimi niezbędnymi akcesoriami, to znaczy z mercedesem. Mercedes — było tu ustępstwo na rzecz miejsco-

wej palestry. Apostoł snobował się na młodego gniewnego, walczącego z mieszczańskim stylem życia. Jeszcze przed dyplomem kupił za kilka tysięcy samochód, stary, pordzewiały wóz terenowy, chyba był to gazik, Adam krzywił się trochę, bo wolał willysa z demobilu. Sam go wyremontował i pomalował w żółto-czarne pasy. Pordzewiały, a następnie pokryty czarno-żółtymi pasami (miał coś z opasłego trzmiela) samochód stał przy garażach, wynajmowanych przez naukowców miejscowego uniwersytetu. Adam nazywał ich straszynami mieszczańskimi. Nienagannie ubrani w codziennie zmieniane koszule non-ironowe i krawaty, prowadzili na smyczach strzyżone pudle, prorektor widział z okna pordzewiałe Adamowe żelastwo i osobiście zażądał, żeby Adam je usunął, bowiem psuje estetykę osiedla. Prorektor wrócił z rocznego pobytu na stypendium w Paryżu, napisał opasłą pracę o czwartej republice, z entuzjazmem przyjętą przez lokalną fachową krytykę. Podkreślał wszędzie „lokalną”, „lokalnie”, ponieważ miasto było samowystarczalne i odcinało się od kontaktów zewnętrznych. Lokalny patriotyzm był dumą prorektora, regionalna tematyka utworów (trochę pejzażu, trochę wiejskich spraw oraz zaduma nad losem człowieka na tle pejzażu i wiejskich spraw) była oczkiem w głowie dyrektora miejscowego wydawnictwa.

Adam Apostoł musiał więc usunąć samochód. Postawił go oczywiście na parkingu przed rozgłośnią i tam już nikt się pojazdu nie czepiał, tym bardziej że po otrzymaniu czarno-żółtych pasów farbą nitro, zaczął wyraźnie harmonizować z budynkiem rozgłośni.

Ze strojem jednak nie był w zupełnym porządku. To znaczy powstawał pewien rozdźwięk między nim a rozgłośnią, ścisłej, jej kierownictwem. Rozgłośnią była instytucja, Adam Apostoł, jako redaktor-stażysta, jej pracownikiem. Coś znaczył, równocześnie reprezentował instytucję na zewnątrz. Szef rozgłośni, który bardzo lubił Apostoła, w prywatnych rozmowach często z uśmiechem podkreślał: „Jak to dobrze, że jeszcze nie mamy telewizji, bo nigdy bym ci nie pozwolił pokazać się z tymi włosami”. Powiedzenie, że „nie mamy telewizji”, częściowo tylko odpowiadało prawdzie. Owszem, na rozgłośni była już czerwona tabliczka, że znajduje się tu Telewizja Polska. Tak samo nakręcano reportażyki, na przykład z akcji buraczanej i po dużych skrótach, bo ileż w końcu można pokazać tych buraków, leciały w programie centralnym, w dzienniku. Miejscowy komentator, pokazywany przy okazji tych buraków był nienaganny: w ogóle nie miał włosów, po prostu lysa, starannie ogolona z odrostów czaszka. Niżej znakomity garnitur oraz znakomity krawat i jako łącznik między tymi elementami, koszula, niemająca, perłowa.

Apostoł, przy okazji służbowego wyjazdu, kupił w komisje

skórzane mongolskie spodnie. Do tego biały golfik, na to wszystko kudłaty kożuch. Nawet kjerownik „Chatki Puchatka”, dochodzący do radia muzyki, nie pracujący na etacie lecz zleceniu, i tym samym, przez swój zawód i funkcję zobowiązany niejako do ekstrawaganckiego stroju, ustępował Apostołowi. Bo właściwie poza konopiastą, płową czupryną a la Piast Kolodziej i koszułkami bawełnianymi z idiotycznymi napisami i rysunkami, nie miał nic do zaproponowania.

Adam Apostoł był niepowtarzalny. Nie jestem tego stuprocentowo pewien, ale wtedy kiedy nagrywał reportaży wiosenny ze mną jako przypadkowym przechodniem w parku, był ubrany właśnie w mongolskie spodnie, biały golf, kudłaty kożuch, zaś na nogach miał sandały, rzymki. Nie było to zresztą w parku, lecz na cmentarzu, Adam się jednak cieszył, że krzaczce wrony na wysokich cmentarnych drzewach stwarzają efekty godne kilkusetletniego miejskiego parku. Mówiłem chyba wtedy coś o wiosnie, budzącym się życiu oraz budownictwie. Reportażyk polecał, Apostoł dostał za niego kilkaset złotych, część z tych pieniędzy poszło na benzynę do odremontowanego gazika („pali, kochany, jak smok”), resztę przepiliśmy w sposób bardzo kulturalny, to znaczy kupując dwa koniaczki (pół lamki wypadło na głowę) w barku rozgłośni radiowej u agentki.

W tym okresie dochody moje wały się w granicach jednego tysiąca na miesiąc, dochody Apostołowe w granicach sześciu, siedmiu tysięcy. „Właściwie nic to nie zmieniło, jak żyłem, tak żyję — śmiał się Adam Apostoł. — Ciuchy te same, kożuch ze studenckich czasów, skórzane spodnie tylko dokupiłem, bo już mnie trochę zaczyna reumatyzm kręcić, nie mów tylko o tym nikomu. Jako student płem owocowe wino, teraz tylko koniak. Owocowe wino jest mniej więcej w takiej proporcji do koniaku jak moje studenckie kilkusetzłotowe miesięczne uposażenie (Apostoł nie miał stypendium, dostawał kieszonkowe od rodziców) do obecnego wynagrodzenia, które w końcu też nie jest takie wysokie. Ten łysy wyciąga kilkanaście, ale on potrafi zrobić reportaży dosłownie ze wszystkiego, kiedyś przyłapał się na tym, że przypadkową rozmowę z babką kłozetową w szalecie miejskim zaczął odruchowo nagrywać, i oblał sobie spodnie, bo jego uwaga była skupiona głównie na mikrofonie”.

Podaję, że te koniaczki, wypijane w nadmiernych ilościach u sympatycznej agentki, były w pewnym sensie kląpą bezpieczeństwa, pobawiały bowiem Apostoła zbędnych finansowych nadwyżek, które w przeciwnym wypadku, chcąc nie chcąc, mogłyby zostać przeznaczone na ów zniechęcony przez Adama mieszczański styl życia: pralkę automatyczną, sokowirówkę, szafę wielodrzwiową, wygodniejsze mieszkanie i w końcu, o zgrozo, na polskiego fiata 125 p, bo „maluchy” jeszcze nie były wtedy popularne, produkcja miała dopiero w przyszłości się rozkręcić.

Oczywiście pierwsze rodzinne konflikty. Teś, znakomity miejscowy adwokat, patrzył na Adama z dużym pobażaniem, i można nawet powiedzieć życzliwoscia. W pewnym momencie

postawił swego zięcia przed faktem dokonanym: jako prezent ślubny kupił mu sportowy zagraniczny samochód nie zidentyfikowanej przeze mnie marki. Adam całą noc nie spał, wiercił się na małżeńskim tapczniku, nad ranem jednak zdecydował: sprzeda gazika pewnemu znajomemu badylarzowi, sam zaś przestawi się na jazdę sportową, bo przecież maleńki, elegancki, dwuosobowy kabriolet nie może być w żadnym wypadku pojazdem strasznego mieszczaństwa. Teściowa była jednak bardziej ostra. Nie wiadomo dlaczego, mimo, że przecież Apostoł nigdy nie był prawnikiem, wyobrażała sobie, że jej zięć jest aplikantem adwokackim i obieime potężne rozbudowaną kancelarię, prowadzoną na dwa fronty, w zespole adwokackim i w domu. Nie pomagały uwagi Iwonetty: „Mamo, przecież Adam jest radiowcem, w pewnym sensie artystą, musi mieć margines swobody”. Strój, niefrasobliwość w formułowaniu sądów, niechlujstwo językowe (Adam twierdził, że to choroba zawodowa każdego radiowca), wszystko to nie zgadzało się z wyidealizowanym obrazem aplikanta adwokackiego: człowieka nienagannie grzecznego, spokojnego, ukladnego, ubranego koniecznie w popielaty garnitur na co dzień i w ciemny, wizytowy, z okazji różnych przyjęć i egzaminów w radzie adwokackiej. Tak, brak prawdziwego następcy, była to niewątpliwie troska solidnego adwokackiego rodu, cóż, tak się złożyło, że małżeństwo mecenasów (teściowa też była adwokatem, specjalistą od spraw rozwodowych) miało cztery córki, wyłącznie, i te córki zdradziły profesję, ponieważ wszystkie, w regularnych odstępach czasu, równych odstępom, w jakich przychodziły na świat, pokończyły filologię polską, czyli bardziej towarzysko rzecz ujmując: polonistykę. W dodatku unikały prawników: jedna wyszła za inżyniera elektronika, druga za historyka-radiowca, zaś trzeciej i czwartej powodziło się tak dobrze, że w ogóle nie myślały o obarczeniu się mężem, i w konsekwencji przynajmniej dwójką dzieci (mąż i dziecko) na początek.

Początkowo Apostoł wraz z żoną zamieszkał u teściów, odstąpiono młodemu małżeństwu mikroskopijski pokój, wypełniony bez reszty regałami z książkami, tapczanem i prostym cepeliowskim stolikiem, założonym prawie pod sufit maszynopisami. Okazało się, że każda, nawet najkrótsza audycja, musiała być od strony tekstu, przed nadaniem, wielokrotnie przepisana na maszynę. W ten sposób straciłem nadzieję, że radio pozwala nam w jakiś sposób zaoszczędzić papier. Potok słów, niefrasobliwość, pozornie, płynących w eter, utrwalał się podwójnie: na taśmach oraz papierze.

Do maszynopisów Apostoła, z reguły krótkich, kilkustronicowych, błyszczących w porannym słońcu baterią spinaczy (pokoik miał okno od wschodu), dochodziły maszynopisy Iwonetty, to znaczy te, które przynosiła z wydawnictwa regionalnego. Szczę-

śliwy zbieg okoliczności spowodował, że została przyjęta do pracy w redakcji wydawnictwa.

Trochę czuli się zagubieni w tym małym pokoiku. Całe mieszkanie było bowiem ogromne, solidne, spółdzielczo-własnościowe. Ale Adam chwalił sobie małeńkie pomieszczenie, przyzwyczaił się, od lat zamieszkiwał w takich pokojkach, w których kilka butelek po winie pod tapczanikiem, stary adapter i parę płyt z nagraniami romanów Wertyńskiego dopełniało nastroju.

Dobrych kilka lat trwała sielanka. Kolejno w tekstach Adama zapalały się znicze, szeleściły opadające liście i warczały werble z okazji Święta Umarłych (te dwa ostatnie efekty można było bezpośrednio oddać na antenie, żeby oddać pierwszy efekt należało dofinansować instytucję o kilkanaście milionów), rozbrzmiewały dźwięki kołęd (znowu kołopoty z tym zapaleniem), pierwsze wiosenne krakania wron w miejskim parku, a konkretnie na cmentarzu (cmentarz w tym wypadku w reportażach Apostoła był incognito, bowiem obowiązujący stereotyp nakazywał, żeby radio prezentowało cmentarz jedynie z okazji święta Umarłych). Adam zresztą przerzucał się na mniej liryczną tematykę. Prywatnie mi wyznał, że osiągnął już takie mistrzostwo, że wcale nie musi jeździć na reportaż, sam go wymyśli i stworzy, przewyższając siłą oddziaływania autentyczny. Powstał w ten sposób cykl reportaży z dziedziny marginesu społecznego o chuliganie Siwym. Ludzie pisali listy do rozgłośni, oznajmiali, że na każdym kroku spotykają się z działalnością Siwego, i takich osobników w rodzaju Siwego należy eliminować ze zdrowego społeczeństwa. Adam Apostoł śmiał się perliście, nawet polubił swojego Siwego, bo zarobił na nim немало. Wykrył też kilka afer gospodarczych: otóż jakaś instytucja topiła po kryjomu stare opony samochodowe w jeziorku, Adam zrobił chyba z tego nawet radiowy serial, wykorzystując efekty kumkania żab (nawet wrony wypożyczył z tych cmentarnych nagrań). Słowem jego zarobki kształtowały się w latach 71—72 w granicach kilkunastu tysięcy miesięcznie, ale nie wiadomo, co z tymi pieniędzami robił, bowiem nie inwestował w siebie (poza tymi koniackami) i w najbliższe otoczenie.

Dawny profesor Adama, któremu udało się objąć katedrę w bardziej atrakcyjnym mieście, namawiał swojego byłego studenta, żeby się zapisał na seminarium doktoranckie. Być może Apostoł, genialny improwizator, skorzystałby z tej propozycji, ale do tego potrzebny był dyplom, spoczywający już w archiwum; dyplomu Adam nie chciał, czy też nie mógł odebrać.

Rozgłośnia i samochód stawały się zdecydowanie pierwszą pasją Apostoła. Iwonna schodziła na drugi plan. Zresztą widywali się rzadko, wydawnictwo regionalne było zarzucone maszynopisami, Iwonna dostała wkrótce własny dział, pokój, biurko, na początek przygotowywała kilka tomików debiutujących poetów.

Apostoł zdecydował, że właściwie nie ma czasu, by wracać do domu. Zaczął nocować w rozgłośni, rozstawił sobie w ciasnym

korytarzu składane, brezentowe łóżeczko i czuł się szczęśliwy jak nigdy. Brał możliwie sporo nocnych dyżurów i najdłużej przesiadywał w redakcji muzycznej. W wyobraźni Adama, a ponieważ w rzeczywistości, morze wypitego koniaku, burzliwe, brązowe, na swej fali powolutku windowało w górę papierową łódeczkę z napisem „Chatka Puchatka”. Chłopcy, grający jak sami to nazywali: „symfoniczny rock”, cieszyli się coraz większym powodzeniem i mieli już wyraźną propozycję nagrania pierwszej płyty (longplaya oczywiście, nie było czasu, by nagrywać singelki).

Ale Prusia Gold poznał dopiero z początkiem roku 1977, wtedy, kiedy popularność „Chatki Puchatka”, naturalną koleją rzeczy, zaczynała nieco słabnąć (do roku 1977 nagrali kilka płyt, których współautorem był Apostoł, nazywali się bardziej uczenie: grupą muzyczną i objeżdżili młodzieżowe kluby państw ościennych, gdzie podobno spotykali się z entuzjastycznym przyjęciem).

Prusia Gold to już odrębny rozdział w historii Apostoła. Przedniego małżeństwa, powodowany wstętem do załatwiania jakichkolwiek formalności, nie rozwiązał.

Prusia Gold była początkującą piosenkareczką. Tak ją przynajmniej nazywał pewien złośliwiec w rozgłośni. Było to sformułowanie w odniesieniu do Prusi niesłuszne i bardzo uproszczone. Początkująca piosenkareczka kojarzy się z dziewczyną po szkole podstawowej, średniej, bądź z zarwanym studium, jakąś architekturą, polonistyką czy nawet rolnictwem, nie mówiąc już o medycynie, śpiewającą po różnych klubach. Prusia Gold miała ukończone konserwatorium, klasę śpiewu solowego u pewnej znakomitości. Tuż po dyplomie wróciła do rodzinnego miasta, bowiem rodzice nie chcieli się rozstać z jedyną córką. W nagrodę, na otarcie łez, ofiarowali jej małego fiata. Prusia każdemu, czy chciał, czy nie chciał, streszczała w kilku zdaniach swoją historię osobistą: „Miałam możliwości pozostania w operze, rodzice jednak tak bardzo przeżywali moje kilkuletnie rozstanie się z nimi, że postanowiłam wrócić do prowincjonalnego miasta”. Prawda była jednak inna. Prusia zdawała sobie sprawę, że jest zbyt przeciętna, by zabłysnąć w operze, czy też w kameralnym śpiewie solowym z towarzyszeniem fortepianu, ze szczególnym uwzględnieniem w ramach tournée krajów Ameryki Południowej. Była po prostu nijaka, choć bardzo poprawna. Jako piosenkarka, mając ukończone konserwatorium, co jest w tym zawodzie rzadkim ewenementem, była od razu objawieniem dla instytucji, a one są przecież najważniejsze, publiczność schodzi zawsze na drugi plan. Żeby było zupełnie znakomicie, Prusia postanowiła zostać ambintą, literacką piosenkarką. Miała już za sobą jeden konkurs, który oczywiście wygrała. Jury przyznało jej drugą główną nagrodę co, jak na początek, znaczy bardzo dużo. Piosenka Prusi z tekstem poetyckim Apostoła i muzyką zbliżoną do najbardziej awangardowych okresów „Warszawskiej Jesieni”, skomponowaną przez kierownika „Chatki”,

który spowaźniał i dał się poznać w nowym tworzywie, spotykała się ze zdecydowanym protestem niewyrobionej publiczności, która gwizdała i tupiała na widok Prusi. Prusia, z lekceważącym uśmiechem, wymusiła na publiczności, tej niewyrobionej, bis. Otóż po zakończeniu utworu w ogóle nie zeszła z estrady, stała przy mikrofonie i konferansjer zapowiedział bis. Odspiewała ponownie przydługą, nudnawą utwór, który od strony muzycznej przypominał strojenie instrumentów przed koncertem w filharmonii. Ludzie początkowo protestowali, usiłując zagłuszyć zgrzyty i piski instrumentów napędzanych elektrycznie, później dali spokój, słusznie rozumując, że piosenka nie trwa wieki i trzeba wziąć na przetrwanie.

Wytrwałość Prusi przy mikrofonie spowodowała same dobre dla niej zjawiska: fachowcy okrzyknęli ją fenomenem i obiecali longplaya. Tym, jak będą sprzedawane longplaye Prusi Gold, nie martwili się fachowcy ani sama Prusia, bowiem, jak wiadomo, nagrywanie płyt jest w pewnym sensie działalnością charytatywną, głównie chodzi o przerób.

Pierwsze wakacje spędzali razem. Tak się złożyło, że w lecie 1977 roku wybrałem się znowu na Wybrzeże, konkretnie na wyspę Sobieszewką. Tym razem jednak, po wyjściu z pociągu z plecakiem i namiotem typu „mikus”, tuż po przejechaniu trasy z centrum Gdańska czerwonym autobusem, oczywiście na gape, i po przejściu drewnianego mostu przez Martwą Wisłę, skierowałem się w lewą stronę, przechodząc obok ronda z wyschniętym trawnikiem w środku i strzęcącą lampą jarzeniową. Szedłem ulicą Nadwiślańską, wzdłuż Martwej Wisły. Ulica miała urozmaiconą zabudowę. Obok nowobogackich willi ze azkalanymi zadaszeniami tarasów i alpinariami w ogródkach napotykałem skromne drewniane domki, a po pewnym czasie wręcz budy ze sklejek i płyt paździerzowych, pomalowane na zielono, żółto albo wszystkimi farbami we wzorki, słowem tak zwane prywatne domki kempingowe. Nie zastanawiałem się, czy któraś z tych bud na początku sezonu jest jeszcze wolna, interesowało mnie głównie miejsce pod namiot w pobliżu budy i wewnątrz ogrodzonego terenu oczywiście. Od pewnego czasu źle znosiłem publiczne kempingi, te wszystkie hałasy, brzęki butelek, skrzeczenia tranzystorów, wieczny tłok przy kranach i sanitariatach. Umyśliłem sobie, że najlepiej będzie wynająć miejsce pod namiot zupełnie prywatnie.

Wędrowałem tak sobie ulicą Nadwiślańską, pojadłem drożdżówkę i byłoby wszystko dobrze, gdyby nie bezustannie kropiący drobny deszczyk, tak zwany nekajający. Jako optymistą liczyłem jednak na to, że przedzej czy później niebo się przetrze i zaświeci ostre słońce, zresztą już chyba przed deszczkiem dość długo świeciło, bo trawa na rondzie była marna, bardziej żółta-wa niż zielona.

Szedłem na nosa. Przed jedną bramką instynktownie się zatrzymałem. Była niziutka, drewniana, zamykana na poczerwieniały od rdzy skobelek. Zorientowałem się, że nie trzeba nadużywać klamki z olbrzymią żelazną rączką, żeby otworzyć bramkę, jak w muzeum historycznym. Wystarczy unieść lekko bramkę, a przy zamykaniu unieść ją i dodusić. Płotek był też oczywiście rozpadający się, drewniany, niziutki, ledwo stał, opierając się o pieńki wisierek i śliweczek. Od razu zrobił na mnie sympatyczne wrażenie (nie znoszę tych ogrodzeń nowobogackich willi, tego pseudoartystycznego kowalstwa i szkła wprawionego w otwory).

Postawiłem na trawie plecak i namiot, a następnie dodusiłem bramkę. Miałem wrażenie, że znajduję się w skansenie. W obejściu stało kilka bud wkomponowanych w zielen, utworzoną przez karłowate wisielki, śliweczki i bardzo bujną trawę, która od razu mnie ucieszyła, bowiem nie ma nic gorszego, niż piaszczyste podłoże pod namiot. Jednak buda, z frontu pomalowana na zielono, była połączona ścianą z chalupą. Domyśliłem się, że w chacie mieszka właściciel obejścia, konkretnie była to właścicielka, kobieta zawsze chodząca w granatowej sukience i granatowym fartuchu, nazwana przeze mnie od pierwszego wejrzenia Babą Sabą. Okazała się bardzo sympatyczna, poinformowała od razu, że wzdłuż całej Nadwiślańskiej nie ma ani jednego wolnego kempingu, że jeszcze w zimie zostały zarezerwowane, i że ewentualnie u niej może się znaleźć jeden domek, bo ci państwo wyjechali do Bułgarii, jeszcze nie wrócili i może już tu nie przyjadą...

Rozbiłem namiot tuż przy płocie, pod starym kasztanowcem wyrastającym z sąsiedniego ogródka. Jak to bywa już w moim zwyczaju, jako samotnik z natury, nie nawiązywałem kontaktów, przynajmniej w pierwszej fazie pobytu, ze współmieszkańcami. Było już kilka rodzin, jedna wielodzietna, ze Śląska, upodobała sobie wyprawę na pontonie po Martwej Wisle. Nad morze nie chodzono, bo było daleko. A poza tym na plaży wiał silny wiatr.

Zbieg okoliczności chyba zdecydował, że pewnego popołudnia na początku lipca (zniechęcony drobnym deszczkiem nie poszedłem na plażę, a pozostałem na namiotowym gospodarstwie, szyjąc, i wyganiając jakieś owady, podobne do skorków czy też stonóg, tylko o wiele mniej natrętne, takie lokalne, zakompleksione skorpiony północy) zająchał przed obejściem Baby Saby warczący samochód, warczący jakoś inaczej, bardziej szlachetnie, niż te wszystkie małe i duże fiaty oraz czeskie škody. Zaciekawiony spojrzałem w lusterko wsteczne, tfu, w okienko namiotu, zupełnie odruchowo, niestety, zobaczyłem tylko zieloną ścianę domku. Tak mnie ruszyło to warczenie (a może tknęło przecudzie), że odłożyłem igłę, nicy i zapasowe spodnie, polskie dżinsy, które właśnie zsywałem, i wypelzłem na zewnątrz. Ja-

kież było moje zdumienie, gdy w niziutkim, sportowym samochodzie (BMW nie BMW?) rozpoznałem Adama Apostoła, siedzącego obok nieznannej mi dziewczyny (kobiety?). Adam też mnie rozpoznał od razu, jako że po ucieczce z rodzinnego miasta nie bardzo się zmieniłem. Wyskoczył z samochodu, klapnął drzwiczkami: „Cześć, stary, co tu robisz, jak leci?” Jego partnerka obrzuciła mnie zimnym, konkretnym spojrzeniem, coś blondynkowego to było, nawet milego, tylko nos jakby trochę za duży i orli na dodatek, „musi być straszna żyła” — od razu pomyślałem.

Nie powiem, żeby w pierwszym momencie czuł się zadowolony z tego niespodziewanego spotkania. Kępowało mnie trochę. Przyjechałem tu jak gdyby incognito, diabeł wiedział, skąd jestem i co robię: clochar, student, urzędnik państwowy na wakacjach czy poeta. Apostoł chcąc nie chcąc upychał mnie w konkretną szufladkę, wykrzykując kordialnie: „A ładnie to tak, zdrójco, zdradziłeś nasze miasto, zaparłeś się jego, a ładnie to tak, i co, lepiej masz, lepiej na tym wyszedłeś, a wspominając cię niezbyt mlie, tak się nie robi, to nie fair, opisać dokładnie scenę w Muzeum, sparodiować rozdanie laurów literackich...”

— Adam, zorientuj się, czy choć jeden domek jest wolny — miękkim, modulowanym głosem przerwała to cale gadanie dziewczyna, i z wazlutkiego, i ciasnego jak prawidłowo skrojone dzinsy samochodu wydostała się na zewnątrz. — Prusia Gold jestem, znana piosenkarka — wyciągnęła do mnie rękę. — Adam nigdy nie umie się odpowiednio zachować i mnie przedstawić. Taki oryginał...

Apostoł lypnął na dziewczynę wściekłym spojrzeniem, na szczęście na schodkach pojawiła się główna królowa tego obejścia, w granatach, czyli w granatowej sukience i granatowym fartuchu. Baba Saba we własnej osobie.

Baba Saba, która, jak się później zwierzyła, cierpiała na nadciśnienie, miała z natury usposobienie sennie, łagodne, męczył ją każdy znaczniejszy wysiłek, cały czas umierała, takie uczucie i te bóle głowy, żyła jednak długo i najprawdopodobniej jeszcze wszystkich nas przeżyje.

Adam, jak przystało na lokalnego radiowca, podbiegł do Baby Saby (prawie z mikrofonem) i przedstawił się:

— Jestem dziennikarzem z L., Adam Apostoł, wraz ze swoją narzeczoną. Szukam wolnego domku kempingowego, z możliwością zaparkowania dwóch samochodów...

Spojrzałem na Adama jak na wariata. Skąd drugi samochód? Na Babie Sabie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Opiekuńczym gestem wyciągnęła do Apostoła ramiona, jakby go chciała przyciągnąć w swoim obejściu nawet z autokarem.

— Widzi pan, jeden domek rzeczywiście wolny stoi, ale jest zajęty, bo zaliczka zapłacona. Za dwie doby upływa termin, i jak ci państwo nie przyjadą, to proszę bardzo. Tymczasem można w namiocie...

Wiadomość ta ucieszyła bardzo Adama (z Prusią było trochę

inaczej). Od razu zaczął wyrzucać z siebie potoki słów: „ty, stary, też na pewno jesteś w namiocie, no, jakże by inaczej, to w twoim stylu, wiesz Prusiu, nasze miasto straciło człowieka, który miał własny styl, był nieodłącznym elementem miejskiego pejzażu, z niewytłumaczalnych jednak przyczyn zbiegł, zubożając nasz gród, taka strata, taka poważna strata. I jak się z nim dobrze współpracowało, ile nakreślił reportażyków, teraz to już nie ma z kim porozmawiać, nie warto nawet chodzić na ementarz, idealny do nagrywania, bo położony tak blisko rozgłośni. Ale, ale, jaki masz namiot, ten który gwizdnął w Bieszczadach, z dziurami po nożu?”

— Tamten spaliłem w łazience pod kotłem, w starym mieszkaniu. Szarpnąłem się na nowy. Teraz dostaniesz go za podwójną cenę. Słowem: „mikrus” — powiedziałem niedbale.

Radość Adama Apostoła była bezgraniczna.

Noc jednak zapowiadała się niespokojna. Bardzo silne zachmurzenie, krople deszczu prawie wisiały w powietrzu. Już od kilku lat nie wcierałem w płótno „mikrusa” świecy. Wydawało mi się, że jest w dostateczny sposób zaimpregnowane, gorące bułgaraki słońce roztopiło stearynę i każdy skrawek dachu był dokładnie nasiąknięty. Raz nawet spadł w Bułgarii gwałtowny deszcz, do namiotu jednak nie przedostała się ani kropelka. Teraz jednak byłem mniej pewny. Codziennie padało, namiot nie miał możliwości, by dokładnie przeschnąć. Wcierałem świecę za świecą, ale niewiele to pomagało, ponieważ z reguły nie świeciło słońce (jedynie pokazywało się na kilka godzin we wczesnych godzinach rannych). W dniu dzisiejszym, dniu przyjazdu Adama Apostoła z dziewczyną i dwoma samochodami, deszcz odpadał swoją normę: taki drobniutki, jesienny kapuśniaczek, cale szczęście, że niezbyt zimny, a wiatr zupełnie do wieczora się nie pojawiał, powietrze było wilgotne, parne, duszone, dość ciepło, namiot oklapły, lekko nawilgocony, nie miał okazji przeschnąć. Byłem prawie pewien, że jak lunie w nocy, to dach już nie wytrzyma i zostanie zalany, bądź, jak kto woli, zakropiony.

Adam rozbil swojego „mikrusa” w pobliżu, niedaleko ścieżki prowadzącej do drewnianego wychodka, ukrytego za śliweczkami. Za wychodkiem był wykopany na ten sezon dół sanitarny, już prawie napelniony do połowy puszkami po konserwach, odpadkami jedzenia, kawałkami suchego chleba i kolorowymi kubeczkami plastikowymi po jogurtach. Dół będzie zasypany przez męża Baby Saby po zakończeniu sezonu. Teraz krążyły tam zielone, kosmate muchy, ich brzęk był zwielokrotniony przez rezonator blaszanych puszek. Na plus trzeba jednak zaliczyć fakt, że w wychodku była zawsze świeża rolka papieru toaletowego, zachwyciło to Adama, już chciał nagrać okolicznościowy reportaż na temat źródeł i sposobów zdobywania papieru toaletowego dla prywatnego kempingu.

W ogóle Adam był zachwycony, twierdził, że zbliżamy się do natury. Prusia, ogólnie mówiąc, była prawie cały czas wściekła. Kilka godzin molestowała Babę Sabę, ta ostatnia pozostała jednak przy swoim zdaniu i powiedziała, że wpuści Prusie do domku, kiedy upłynie termin zaliczki.

Prusia chcąc nie chcąc musiała się położyć w „mikrusie” obok Adama. Grymasiła jeszcze trochę, szamotała się, aż wreszcie zasnęła.

Zaniepokojony zupełnym brakiem wiatru wyszedłem przed namiot. Niebo już prawie puszczało w szwach, takie było ciężkie od chmur. Uniosłem zardzewiały haczyk i starając się, by jak najmniej skrzypiała bramka, wyszedłem na kamienny bulwar nad Martwą Wisłą. Od zachodu, niby płomyk gązowy, paliła się tak zwana awaryjna świeczka rafinerii, w dzień ogień niewidoczny, w nocy jednak bardzo wyraźny i rozpoznawalny ze znacznych odległości. Martwa Wisła stała zupełnie uspokojona, prawie bez żadnego plusku. Słychać było dudniące po drewnianym moście samochody, od czasu do czasu rozlegały się syreny pchaczy holujących barki z piaskiem, obsługa pchaczy dawała obsłudze mostu sygnały, by rozsunięto śródkowe przesłania.

Deszcz zaczął padać jak zwykle drobniutki. Mimo że takie ciężkie, czarne chmury. Uspokojony wróciłem do namiotu, zaciągnąłem zamki błyskawiczne wejścia i śpiworu, wkrótce zasnąłem.

Obudził mnie gwałtowny plusk deszczu o dach namiotu. Równocześnie słyszałem, że Martwa Wisła jakby ożyła, zerwał się gwałtowny wiatr. Zaświeciłem latarkę, przywiązaną do tylnego masztu i skierowałem strumień światła na dach. Tkliło się kilka przerażonych komarów, grube, nie stopione kawałki stearyny wyglądały jak stalaktyty w jaskini. Między warstwami stearyny pojawiły się pierwsze krople, grube, wiszące jeszcze o stropu. Sporo czasu upłynęło, zanim pierwsza z nich kapnęła na śpiwór. Najtrudniejszy jak zwykle był początek...

W sąsiednim namiocie usłyszałem szamotaninę, a po chwili groteskowo-dramatyczny, lekko nosowy głos Apostoła: „Zatapia nas”. Prusia w ogóle nie wydawała głosu artykułowanego, dochodziło tylko wściekle warczenie, złośliwie usatysfakcjonowany pomyślałem, że w ten oto sposób powstaje nowy cykl w piosenkowaniu, po fiukaniu następuje kolej na warczenie, choć to przecież sprawa nie nowa, kiedyś, bodajże w początkach kariery, nazywano Boba Dylana ujadającym, wściekłym psem.

Byłem już prawie kompletnie nasiąknięty, kiedy Adam zdecydował się na decyzję: „uciekamy do samochodu”. Prusia zagadkała triumfalnie. Jedynym samochodem nadającym się do odwrotu w takiej sytuacji był „maluch”, zresztą i to nie było wyjście idealne, ale zawsze lepszy „maluch”, niż dwuosobowa, niziuteńka wyścigówka Adama.

Otrząsnęliśmy się w „maluchu” jak zmokłe koty. Śpiwory, materace zostały w namiotach. Prusia, mimo zarwanej nocy i ogólnego nawilgotnienia, triumfowała:

— Walczy z mieszczańskim, konsumpcyjnym stylem życia. Maluch mu się nie podoba, duży fiat mu się nie podoba, a co warta jest jego wyścigoweczka? Nawet szybkości przyzwolonej na tych drogach nie może rozwinąć. Stale tylko płaci mandaty...

— Mam z czego — obruszył się Adam.

— Masz z czego, tak? A jak przyjdą obowiązki, żona, dzieci, rodzina, wyjazdy do Włoch i Grecji na wakacje?

Adam przybrał cierpienniczy wyraz twarzy:

— Nie truj, dziewczyno, nie nudź.

Szukałem gorączkowo kompromisu. Postanowiłem, iż przekonam Adama, że jest w błędzie. Ostatecznie sportowy wóz nie świadczy jeszcze o artystycznych aspiracjach właściciela. Każdy przeciętny milioner naftowy z Teksasu, oprócz rodzinnego, wielkosobowego krążownika szos posiada jeszcze wóz sportowy oraz kolekcję Modiglianich, namalowanych przez bardzo zręcznego fałszerza. Wóz artysty wygląda zupełnie inaczej. Kiedyś teatr Grotowskiego dawał kilka spektakli, wprawdzie przedstawień nie widziałem, ale to nie najważniejsze, widziałem artystów, jak wchodzili i wychodzili, i jeden z nich wszedł do takiej blaszanki z pourywany błotnikami, od Citroena 2CV, z naklejonym afiszem przedstawienia, na którym to afiszu jakiś złośliwiec dopisał flamastrem: „wymaga generalnego remontu, składajmy dobrowolne datki”. Od tego momentu zrozumiałem, że tak powinien wyglądać prawdziwy artystyczny wóz. Albo ten Niemiec zachodni w Bułgarii z namalowanymi pawimi okami na volks-wagenie garbusie? Może też być coś większego. Na przykład ten Amerykanin z brodą, żoną w dżinsach i dzieckiem w mikrobusie z łazienką i prysznicem oraz kolekcją drewnianych polskich światełków.

Żupełnie już nad ranem, z kolanami prawie przy uszach, powiedziałem słabym głosem:

— Adamie, ja zarabiam podłe, poza tym mam tyły, bo jak sam mówisz: miasto mnie wykleło. Ale tobie powodzi się świetnie jako dziennikarzowi radiowemu, a w przyszłości niewątpliwie i telewizyjnemu, nie mógłbyś kupić porządnego mikrobusu? Sprzedaj te dwa, niepotrzebne moim zdaniem samochody...

Prusia Gold, po raz pierwszy od początku naszej znajomości, popatrzyła na mnie z entuzjazmem.

A deszcz, ten ulewny, ustał. Już do końca wakacji kropiło umiarkowanie, znośnie, czyli jesienno. To znaczy do końca lipca, bo w sierpniu przyszły powodzie. Ale do końca lipca było w porządku. O godzinie szóstej nad ranem tego dnia pokazało się nawet słońce. Świeciło i trochę grzało przez trzy godziny, aż do następnego kapuśniaczku. Poduszaliśmy śpiwory, materace i namioty.

Na kempingu u Baby nastąpiły pewne zmiany, powiedziałabym: przetasowania. Otóż dla wszystkich zupełnie niespodzie-

wanie wyjechała rodzina grubasów z pontonem, dochodząc zapewne do słusznego wniosku, że Martwa Wisła nie jest idealnym miejscem do łowienia ryb. Wprawdzie jeszcze się trafiają, ale czuć je strasznie, tak że trzeba smażyć na oleju słonecznikowym z wkrojoną cebulą. Więc jeden domek, czyli kemping, jak mówiła Baba, a właściwie buda, była wolna. Druga też opróżniła się niebawem. W drugiej mieszkała pewna przygodna para, której bardzo odpowiadała deszczowa pogoda i niezwykła tolerancja Baby: nie wymagała wypełniania druków, meldunków, całego tego nieznośnego administracyjnego kramu, nie żądała dowodów osobistych, nie interesowała się nazwiskami. Brała jedynie z góry pieniądze, a i to nie zawsze, bo wielokrotnie polegała na zaufaniu. Przygodna para, tym razem był to jakiś chłopak i dziewczyna, prawie nie wychodziła z domku (space-rowali) czasami do wychodka, owinięci tylko w pasie brudnymi ręcznikami).

Prusia od razu pobiegła do Baby po klucze do domku. Wróciła rozentuzjasmowana, kręcąc kluczami nanizanymi na palec. Adam Apostoł nie podzielał jej entuzjazmu.

Ja zaś trzymałem się na uboczu, nie wyrażając jeszcze opinii.

— Adamie, zwiżamy namiot, hotel na nas czeka.

— Kiedy zupełnie, ale to już naprawdę zupełnie przestał padać deszcz — powiedział Apostoł, rozczesując palcami kudły.

Dla pewności spojrzałem w niebo. Na krańcach było lekko sine, a w środku białawe jak katarakta ślepa. Ale rzeczywiście nie padało. Od Martwej Wisły, a równocześnie chyba i od wychodka, wiatr przynosił ożywczy fetorek. Stokroć bardziej wolałem już zapach benzyny, dochodzący od rafinerii, ale do tego potrzeba było silnego zachodniego wiatru.

— Ja się nie ruszam — zaznaczył Apostoł. — Wolę w namiocie. Nie dlatego, żeby zaoszczędzić. Chatka wprawdzie kosztuje 50 złotych za dobę, a namiot nic, albo prawie nic, lecz powtarzam: to dla mnie nieważne, chcę być bliżej natury.

Przyznawałem Apostołowi rację, ale w duchu nie zgadzałem się z jego argumentami. Przeliczałem dobowy koszt budy na te wszystkie jogurty, rybne kielbaski, szaszłyki i pizzy, nie mówiąc już o soczkach owocowych, słowem: same delikacje dla podniebienia. Nie byłem niestety dziennikarzem (nikt mnie do tego zawodu nie zapraszał, a i sam się nie wpychałem), moja pisanina była pracą chaluportniczą, coś tak jak wyrabianie misiów pluszowych z dostarczonych gotowych elementów. Adam ciągle mnie namawiał, żebym raz na zawsze skończył z fikcją artystyczną, choć ja z uporem odpowiadałem, że to właśnie on zajmuje się fikcją artystyczną, wymyślając reportażyki, bowiem pisze, czy też notuje na taśmie rzeczywistość spreparowaną na użytek swojego radiowego przełożonego, który doskonale wie, jak powinno być a jak nie powinno.

Prusia, Złota Prusia, czyli Gold, odęła zmysłowe w jej mniemaniu usta:

— W takim razie ja sama wprowadzam się do domku. Jesz-

cze, będziecie pukali, jeden za drugim, w nocy, w drzwi. Nie otworzę...

Biedaczka nie przewidywała, że i ona będzie bliżej natury, może jeszcze bliżej niż my obydwa w namiotach. Natura bowiem sama pchała się do budy i zadomowiła się w niej na dobre, nawet wiosenne, spodziewam się, malowania farbą nitro i emulsji nie pomagały. Chodziło znowu o te nie szczypiące, zakompleksione szczypawki i o komary. Kierowani jedynie czysto humanitarnymi pobudkami, wybijaliśmy je wszystkie wieczorem, przy zapalanej żarówce i dokładnie zamkniętych oknach i drzwiach. Pozostali wczasowicze działali w identyczny sposób: łomotanie we wszystkie ściany z pilśni narastało do potężnego grzmotu i stanowiło pewne zagrożenie budowlane, bagatelizowane zresztą przez Babę. Odnosiłem wrażenie, że jestem w zupełnie wariackim więzieniu, gdzie skazańcy z sąsiednich cel porozumiewają się w absolutnie chaotyczny, nie do rozszyfrowania sposób.

Licho wie, może dlatego Prusia nie chciała nas w nocy wpuszczać (w ten okres przedłużający się już dawno przestaliśmy wierzyć — jeden z kobiecych wybiegów), że każde najmniejsze uchylenie drzwi lub okien powodowało natychmiastową inwazję komarów do budy.

W namiotach czuliśmy się doskonale. Nie trzeba było dokładnie zamykać: u dołu pozostawialiśmy sporą szparę a i okienko z płótna, przykrzykujące plastykową siateczką, było uchylone. Komary w namiocie nie stanowiły problemu.

A był to rok dobry dla komarów i miejsce idealne. Nawet rafineria im nie przeszkadzała: te benzynowe zapachy. Już nie było wiadomo, czy się kłębią przed deszczem, czy tuż po deszczu, bo, wbrew zapewnieniom Baby, codziennie musiało trochę pokropić.

— Co za rok, dawno już takiego nie było, w ogóle mi nie wysycha bielizna — martwiła się Baba Saba.

Pierwszy załamał się Adam Apostoł, nazywany już od pewnego czasu przeze mnie, oczywiście w myślach, Adamem Autostopem (obawiałem się, że nie tyle się obrazi, co wykipi mój kalam-burek). Mimo zażyłości, która nas łączyła w latach studenckich, teraz wyczuwałem pewien dystans, pewien mur nie do przebycia, choć przecież stanowiły go jedynie płóciene ścianki obu „mikusów”. Otóż Adam, nic nie mówiąc i nic nie zapowiadając, opuścił namiot. Późnym wieczorem podszedł pod budę, zastukał w okno i został wpuszczony. Okazało się później, że próbe ze stukaniem wielokrotnie powtarzał, gdy ja już spałem, dopiero za którymś tam razem Prusia zdecydowała się go wpuścić.

Buda zmieniła się nie do poznania. Całe okno było od wewnętrznej zastawione pudełeczkami, słóczkami po kremach, dezodorantami, przestraszone tą drogerią szczypawki i komary po-

woli zaczęły opuszczać budę, przeprowadzając się do bardziej znosnych warunków. Namiot Adama pozostał na placu nie złożony. Zamykali się na noc haczykiem. Prusia znowu wyglądała na szczęśliwą kobietę i spoglądała na mnie lekceważąco.

Czułem się w moralnym obowiązku przed tą dwójką, by w jakiś sposób wypełnić, przynajmniej na noc, mojego „mikrusa”. Niestety, do Sobieszewa przyjeżdżali przeważnie rodziny, z dwójką lub trójką dzieci, głównie ze Śląska, oraz obozy harcerskie. I jedne i drugie towarzystwo trochę mnie krępowało i oniesmielało, i co najważniejsze, dawało prawie znikome szanse na wypalenie namiotu.

Na kempingu też nic nie można było poderwać, Kacper pilnował, zresztą układy były już zastane i w pewnym sensie skostniałe. Choćby z zimna, które w tym lipcu dawało się we znaki.

Zbliżenie Adama z Prusią (myślę przede wszystkim o kontakcie psychicznym), fakt, że obydwójce zamieszkał w budzie, czyli w domku kempingowym, a ja tylko w namiocie, stworzyło lekko wyczuwalną hierarchię, oni byli na górze (i w sensie dosłownym, bo domek stał na ceglach), a ja na dole, czyli na trawie. Najprawdopodobniej w czasie nocnych rozmów, kiedy wypadało już trochę pogadać, Adam naopowiadał Prusi mnóstwo rzeczy o mnie. Razu pewnego, kiedy poszliśmy we trójkę na plażę, dotknął spraw istotnych. Na plażę zaczęliśmy chodzić regularnie, szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że przy wydmach było mnóstwo nawieszonych i przykrytych papą deseczek, widocznie był zaplanowany jakiś obiekt rekreacyjny, najprawdopodobniej punkt gastronomiczny, nie zrealizowany w tym sezonie z powodu trudności. Sterta deseczek miała i tę wielką zaletę, że ochraniała od wiatru. Wczasowicze mieli już upatrzone miejsca i zaklepane, niekiedy zaznaczali swoje siedziska inicjałami. Trudno było usiedzieć na wiecznie mokrym piasku bez podłożenia deski. Otóż Adam wtedy powiedział:

— Przebywasz teraz na emigracji.

Początkowo nie zrozumiałem, o co mu chodzi, patrzyłem na niego z zakłopotaniem.

— Nie masz jednak możliwości powrotu.

W tym momencie Prusia uśmiechnęła się lekceważąco.

— Gdybyś wrócił, jesteś spalony. Gazeta już nigdy nie wydrukuje ci żadnego artykułu czy opowiadanka, w ogóle nie zamieści o tobie przychylniej wzmianki. Wydawnictwo zwróci ci każdy maszynopis. Nawet gdyby ci się kiedyś udało coś napisać ciepłego, humanistycznego i otrzymałbyś nagrodę Nobla, na domu, w którym się urodziłeś, przy ulicy Orlej, nie będzie żadnej tablicy...

Apostol zaskoczył mnie trochę. Nie wiedziałem, czy kpi, czy też mówi poważnie. Wracając do starych spraw, stwarzał pewnego rodzaju fałsz, żeby się przypodobać Prusi... Udałem, że niby nic, że niby kupilem i beztrudno zapytałem o moich dawnych znajomych i przyjaciół, którzy pozostali w mieście, publi-

kowali w gazetce i na antenie rozgłośni, zanosili maszynopisy przyszłych tomików poetyckich, zbiorzków opowiadań i powieści do wydawnictwa, z prośbą o ocenę i ewentualne wydanie. Adam wprawdzie tego nie mówił, lecz domyślałem się, że miasto straciło na znaczeniu. Z dumnej stolicy regionu w wyniku reformy administracyjnej stało się tylko jednym z kilku miast wojewódzkich.

Okazało się, że wszyscy są na swoich miejscach. Olo Rozy nawet wydal w PIW-ie tomik, i co najważniejsze, stał się za moznym człowiekiem, ponieważ objął stanowisko wydajny w miejscowej restauracji. Przytył trochę, stracił resztę zębów, ale dorobienie protez odkładał na dalszy plan („jako wykidało czuje się najlepiej z takim uzębieniem, jakie mam — mawiał — wtedy nic nie stracę”). Grauman pracował przy koszeniu trawników spalinowymi motorkami, miał pewne szanse na samodzielny tomik i samodzielne stanowisko, lecz zachował się nieładnie, bo pobił, czy też usiłował pobić brygadzystę. Za swój postępek został oczywiście dyscyplinarnie zwolniony...

— A Iwonetta — ni stąd, ni zowąd zapytałem.

Apostol się nieco speszył, zerknął szybko na Prusie.

— Cóż, ma stanowisko, pracuje w wydawnictwie. Nie mamy do siebie wzajemnych pretensji...

Nie ujawniłem tego przed Adamem i Prusią, ale ze starych wspomnień związanych z moim poprzednim życiem, miastem, najżywsze było wspomnienie Iwonetty, Iwy, jak ją nazywałem. Zazdrościłem wtedy początkowo piosenkarzowi Amigo, a później Adamowi Apostolowi. Iwa była fascynującą dziewczyną, a równocześnie chyba zdolną do tolerowania ekstrawagancji, najprawdopodobniej tak, jeżeli w ogóle zgodziła się chodzić z Amigo i Apostolem w dalszej kolejności. Obecnie, jak mnie-małem, Iwa była znowu wolna. Gdyby nie pewna paralizująca wszystkie moje kroki i trudna do przezwyciężenia nieśmiałość...

Adam Fiala

Czy nie jest rzeczą niemoralną odkrywanie sposobów manipulowania ludźmi?

Elliot Aronson

MACIEJ CIŚLO

Sztuka przekładu

Po—życiu,
przetłumaczony — na język obcy
nieobecności: obecny, ale inaczej;
jak tamto dziecko we mnie dorosłym. Równoważne
dramaty istnień: pilki i księżycy,
ryby noża wody —
czasu noża monady...

Gdy będę drzewem, po Tamtej stronie
wszystko będzie jak po tej: I a s
ma swoje stolice, Hamleta
i arsenały, domy dla obłąkanych,
historię Egiptu.

Kto te wszystkie czyjeś życiorysy przeżyje?

Pełzną płaska cyfra
bändera chodnika
maszyna dostukuje papierowych mijaczy
nawija — tnie:
Się odkleić! na sztorc, w niepojęte;
przecznica — myślNIK:
po co wam tyle nowych liczb?
Nikt nie zsumował wszystkich starych.
Co komu przyjdzie z tyłu nas?
Jutro będziemy dawni, a ten nowy
wspaniały świat — zawsze będzie nowy?...

Obcy

Gdzie odejdę gdy odejdą moje kroki —
Do widzenia wadzenie do usłyszenia,
w milczeniu tak głębokim. Deszcz,

Wszystko zmyje; czerwone włosy dziewczyny
Wylot ulicy. I myśli. Myśli. Boże,
czy ty nim żyjesz — życiem? Tak bez adresu
tęskniłem tylko w dzieciństwie. Samotność —
jakbyś rankiem spojrzal w okno,
i obłoki dojrzał szybujące,
w pustce, i nic więcej.

Serial pod tytułem

Ciąg Dalszy (który zna tylko Bóg.
więc współczujemy mu w jego wiekuiestej
Nudzie Oczekiwania Na nic); O n a:
lampa elektronowa — puls
dojrzałego organu nadstoty; my
atomy jej metabolizmu; dwa programy wyborcze:
do koloru!

Ekrazy na nasze święte obrazy.

Dom to jest miejsce na ziemi
poznane nie do poznania.

W podwórzu ślepa latarnia
zredukowana do światła;

klamka wytarta z uchwytu
od nazbyt częstych dotknięć

i powierzchnia obecność
podłóg sufitów i drzwi.

TO NIELUDZKIE

— stawać się człowiekiem!
Powstawać, wyrastać
z objąć pierwszej —
z łagodnego snu natury — matki;
i przez furtkę niepewnej,
drugiej — umierać,
przychodzić na ten nasz
Tamten świat —

Choinka: święta drabina, po której aniołowie
zstępują w Jakubowy sen
ludzkości — świecidła na piętrach sfer — o logicznej budowie
wszechświata;
o bezkresie
— i Progu, o bezładzie — i Bogu;
w niby-rajach na piętrach naszych sztucznych domów
dziś — plastykowe Drzewka

Wiadomości

... z ostatnich chwil: Chrystus
schodzi z choinki, porzuca swój krzyż
kosmiczny!

Budzi
nas cisza, ranek
jakbyśmy pomarli i zaspali
w śnie, w zaspie śnieżnej
rzeźbionej w sarkofagi.

... Nieswój. Dlatego, że nie Twój, Panie?
Wymknąłeś nam się. „Umarłeś” — w przedmiotach;
ożywasz — w przemianie? R u c h
jest gęsty jak stal, a jak mgła są jego Osoby i Tramwaje.

Praca:
wyciągnięta szorstka ręka
świata: otwiera Przewrót.
... nie zamyka Znikania!
Ucisz się moje serce,
prowadzę nasłuch Jedyne
— i wszystkie stacje zagłuszania!

Nadawco myśli
elektryczny — wewnętrzne roje małych planet —
nie odpłyniemy na obłoku,
my osuniemy się w głąb
siebie. Punkt abstrakcyjny Brama —
Straceń? czy
nieobliczalnych zysków? Ból.
Strach, Bóg.

— O której godzinie jest to miejsce?

Świat jeszcze
trwa. Lecz jeśli Wielki Żyrandol
zabłyśnie — kto przeżyje wyświeetlenie
największej zagadki epok?

...Czyciele maszyn, litosferycznych zwierząt
karmionych olejem skalnym...

My nic nie rozumiemy,
my jeszcze nic nie wiemy,
„jesteśmy tutaj od wczoraj
i nasze dni są ciemne na tej ziemi”.

Noc. Inny Ład
niesiony na bagnietach gwiazd. I tyle
miejąc, pełnych śmierci
mojej w nich j e s z c z e nieobecności:
czy nie znudziłem ci się, przestrzeni?

Pionowo. Świat,
nieć przecięta, ptaka wzlot:
Boże, zamorduj mnie pod narkozą.

„ja”

1

Nawet fala jest „ja”,
światło, ten welon i oddech, w osobnej sinusoidzie
tożsamości. Lawica person, korpuskuł.

Świt; stojąc
na napelniającej się blaskiem ziemskiej scenie, widzę —
o krok — błyskawiczną taśmę ogromnych symboli:

Komunikat cienia krawędzi chmury.
Dalekopis Osobowości Przyrody.

2

Miedzy dwoma uderzeniami serca — śmierć,
i znowu myśl,
która moje wnętrze nawiedza jak promień.

Puls podziemnego źródła: „ja” — szczyt
góry lodowej.

3

Bez jednej myśli — stałem w oknie
a przecież byłem zupełnie. Ile jest w tobie
mnie, moje ciało

gdy stoję w ciemnym oknie snu — zupełnie
 bezcielesny? Moje — nasze — najgłębsze „ja”
 prześwieca przez nas — tkaninę
 tkanek, wzruszeń, słów — różowi końce palców —

4

„ Staranowany przez śmierć — podąża wyżej?
 do swego silniejszego „ja”? Obudzony,
 wydestylowany do jawy —
 do alkoholu wyższej świadomości —
 słysze:
 „przyszeli do siebie”. — Z jakiego nieświata?

— ILUMINACJA: ILUMINATORÓW!

i metafizyczna. Wysoka burtą miasta, Wiała, noc —
 kręgi na wodzie
 aż po skraj, kraj śmierci — zwany brzegiem.

Strzaskane płyty kry,

płyty gry
 w rezonans

pod stalowym mostem. Czarne myśli
 i tym wyraźniejsze wiersze!

Nad ranem

dusza wkłada ciało jak robocze ubranie. Praca —
 ten lek na Lęk

i pytanie o Sens... obrony sprawy wyklętych:
 w kraju, którym rządzi rządzeni!

My, dawne dzieci, co wyrastamy ledwie na starych
 ludzi;

to mniej od drzew,
 które po wiekach

pną się wciąż jeszcze do góry —

Ona dla mnie

Żeńska — rzeka
 lania łąka noc
 poezja — to są wszystko siostry
 mojej żony.

Jej bratem, ludzkim,
 był może Cezar! Kepler,
 — sam Bóg...



Jan Poppek ZADZIWIĄJĄCY WYKOP



Jan Poppek EPITAFIUM DLA BENIA



Jan Popek *SONDA VIKING NA MARSIE*



Jan Popek *PEJZAŻ VII*

Ale to przecież im bardziej nie on
a rzeka —
tym bardziej ona...
Ona dla mnie...

Z ULGĄ ODDECH —

gdy ta dziewczyna na przystanku pokazała mi swój drugi,
bardziej pospolity profil. Piękno jest tylko
„przerażenia początkiem...”

„Każdy człowiek przez samodoskonalenie
może zostać Jao i Szunem”, mówi Stary Chińczyk.
Lecz który z rzymskich papieży

odważyłby się ogłosić:
„przez samodoskonalenie każdy może zostać
Bogiem”?

UPRZEMYSŁOWIONE.

Poeta zwiedzając
wertuje książkę możliwych myśli:
poploch! Dajcie mu młot,
będzie kul litery stalowe. Zachmurzenie,
co za wysilek!
bibuła mgły winduje morze,
ołów leżenia — wzwyż
i wstecz, ku źródłom
rzek —

Świadomie! Wszystko się trudzi.
Karbowany liść natury, mózg
eugleny zielonej... Dziś już na wpół zwierzęcej,
jutro ludzkiej,
pojutrze może boskiej! —
Sprawiedliwie — to znaczy związki zawodowe
ludzkie i mineralne;
deszczu, roślin; piasku i monet. Wzajemnie
przejęte
punkty widzenia. Zaznanie
obok Poznania:
nazwa miasta, na które mapa
czeka.

UTYTULOWANY TYTUŁ...

stan średnik:
proletariat petitu. Myślnik —
czasownik na szyk przestawny!
Zdania podrzędne
na urząd, mała na początek —
wielka

litera na koniec:
okoliczniki są sprzyjające!

Ujrzałem ja

Złoto-biel, sandał
na wysmukłej szpilce,
stopa w cieniutkich paskach — balans
bioder — ramię: weź
mnie! Usta —
język-zęby: zjedź!
I te dwie —
sterczące zaczepnie
zezująco rozbieżnie —
o!
esownice profilu

Uniwersytet

— Zdałem, ale nie zostałem przyjęty —
Tylko w naturze wszyscy są przyjęci:
szare chmury, niesione przez wiatr liście
pył i planety
na uniwersytet
nieskończoności,
gdzie najwyższej wykształceni
— i utytułowani —
muszą wciąż od nowa zdawać na Zwyczajne Życie:
Bóg jest człowiekiem,
noc światłością,
ocean — lza.

Maciej Cicho

JANUSZ OLCZAK

JANUSZ OLCZAK*

Tego całego Janusza Olczaka Pijak spotkał sam już nie pamięta gdzie. Zdaje się, że to było tam, gdzie samochód ciężarowy uderzył w autobus i w wyniku tego zderzenia odpadł fragment ściany frontowej domu odsłaniając mieszczańskie wnętrze. Czasami, kiedy to Pijak wspominał ten dzień, wydawało mu się, że ten cały Janusz O. wymaszerował z tego dotkniętego kataklizmem pejzażu, spomiędzy przybrudzonej bieliżny zaścielonej na żelaznym łóżku, spod obrazów o nieustalonej treści. Jego żona miałaby kupę roboty z takim nieporządkiem i całymi kilogramami tynku zalegającego wisząca nad trotuarem podłogę. Ten cały Janusz O. wziął się nie wiadomo skąd, ale był już całkiem gotowy. Może skądś przyjechał, a może go skądś przysłali, może nawet wyłaził z tego rozwalonego domu, w którym kiedyś straszylło, przynajmniej baby, a już szczególnie te w kolejce u rzeźnika, potężnego, uspołecznionego przywaciarza, na którym czerwień przechodziła we fioleto, rozkwit w przekwit.

Janusz O. stał już w barze szybkiej obsługi „Błyskawica”, wtedy gdy Pijak wstąpił do tego lokalu. Stał tam pod swoim wymiętoszonym kapeluszem. Pijak zwrócił na niego uwagę i postanowił więcej tej uwagi nie zwracać. W barze szybkiej obsługi „Błyskawica” trafiało się wielu nieznanym facetów i wielu z nich, prawie wszyscy, zwracali na siebie uwagę. Niektórzy byli nawet w kapeluszach, którym to nakryciem głowy imponował Janusz Olczak, nie tyle z racji jego posiadania, co wymiętoszenia. Można było sądzić, że brał udział w takiej awanturze, na której najgorzej wychodzi kapelusz. Z powodu tego kapelusza Pijak o mało mu się nie uklonił.

Pijak, gdy wchodził do baru szybkiej obsługi, nie wiedział, co ma właściwie robić, taka tam była szybka obsługa. Polegała ona na ustawieniu klientów w odpowiednim systemie kolejek, wpiętych po zakasce, potem po sztućce, a wreszcie po alkohol, który wydawano na podstawie zakupionej zagrychy. Pobyt Pijaka w tym lokalu polegał na płataniu się między kolejkami, w którym to systemie był bezużyteczny. Personel tolerował go dlatego, że mieszkał w pobliżu, w małej uliczce, uwędzonej w zapachach baru szybkiej obsługi „Błyskawica”, który reklamował się głównie zapachem.

* Fragment powieści pt. „Encyklopedia”.

Pijk wszedłszy wyplątał się szybko z systemu kolejek, które tarasowały mu drogę i zajął pewien punkt obserwacyjny z widokiem na Janusza O., który palił papierosa, choć palenie było tu wzbronione. Taki Janusz O. jest wspaniałym obiektem obserwacyjnym, wtedy gdy nie ma się przed sobą ni jedzenia, ni picia. Wtedy to człowiek stoi i obserwuje coraz to bardziej zaabsorbowany dostreżonym zjawiskiem. Pijk ciekawy był, co to za jeden, ten facet w kapeluszu. Ciekawość jego wzrosła, gdy tamten zaczął coś opowiadać, choć nigdy nie słuchał tego, co inni mówią. Facet ten mówił bez ustanku, widocznie nie miał przed kim serca otworzyć. Ale co to za facet, który pozwala sobie na takie gadanie, na takie nieliczenie się ze słowami? Widocznie to wysoka figura i trzeba to sprawdzić. Do prawdy docierał często metodą pytań, więc i teraz postawił pytanie.

— Kto pan jest?

— Jestem mongolski ambasador! — warknął mężczyzna, któremu wyraźnie nie spodobało się pytanie Pijaka. Zdenerwowany przestał mówić i przez jakiś czas ukrywał się w chmurach przemądralęgo odosobnienia, jakby demonstrując światu, jakim będzie, gdy zostanie królem, gdy już zasiądzie na tronie. Może ma rzeczywiście coś wspólnego z Mongolią — pomyślał Pijk cicho i w przestrachu.

— Czy jest pan Mongołem? — spytał.

— Jestem chiński uczony — roześmiał się wspaniałością faceta w kapeluszu i jakby roztąjał w chińskiej uprzejmości, w mądrości Państwa Smoka. Wyraźnie się nawet zaokrąglił, stał się pulchniutki, miły jak Chińczyk i nie wiadomo było tylko, czy naprawdę jest uczonym. Chińszczyzna biła z niego wszystkimi pulsacjami, jakby wypromieniowując z siebie wesołość złotych ludzi z Dalekiego Wschodu.

Chiński uczony — pomyślał Pijk, choć nie wiedział, czy to jest możliwe o tej porze dnia.

— Jestem amerykański specjalista — zakończył mężczyzna swoją wątpliwą prezentację i po raz pierwszy spojrzał na Pijaka, który patrzył teraz na niego jak na swojego najlepszego kumpla, za którym poszedłby w ogień. Ten facet bardziej był związany ze sprawami tego świata niż Encyklopedysta, choć też przebywał czasami jakby metafizycznie.

— Kim pan jest właściwie? — radośnie dopytywał się Pijk swojego nowego kumpla.

— Jestem Janusz Olczak — przedstawił się mężczyzna i Pijkowi nagle zrobiło się strasznie. Znów spotkał na swojej drodze coś bliżej nieokreślonego, jak ten tu facet, który tak go przstraszył, że Pijk czuł dygotanie w portkach. Coś mrocznego w szarym kapeluszu stało na jego drodze i usiłuje być jego kumplem, prowadząc go jakby na skraj przepaści. Co to znaczy Janusz Olczak, czy to czasami nie ma jakichś perfidnych podtekstów, jakichś połykających kolory zabarwień? W najwyższym hierarchicznie punkcie uczuciowym Pijaka stało się przerażenie

I runęło stamtąd akurat w tym momencie, gdy jego nowy kumpel klepnął go po ramieniu. Teraz już mógł z nim konie kraść. „Chodźmy konie kraść” — chciał już powiedzieć, ale zapomniał z radości. Zmienił się cały w słuch i czekał, co tamten powie. Nie słuchał go mówiącego, ale CZEKAŁ, taki był zniecierpliwiony i przejęty. Tymczasem Janusz O. opowiadał mu o kumplu z tego miasta, wielkim zgrywusie. Jako wielkiego zgrywusa pochłonięty go inne, większe miasta, bo świat czeka na zgrywusów, szykuje im wspaniałe kariery, rozsyła do coraz większych metropolii, aż giną gdzieś wreszcie w mroku złotych miast rozdeptani na miagie. Ten facet zaczynał tu swoją karierę i to zaczynał jako pierwszoklasny zgrywusiak. Zaczynała się ta kariera od Klubu Botticellego, który właściwie nie istniał, bo przecież oparty był na zgrywie, na pierwszoklasnym numerze. Była to chimera równie dobra jak każda inna. Chodził po mieście i opowiadał, że założył oto taki a taki klub i że można być jego członkiem bez żadnych innych obowiązków, można nawet nie wiedzieć, kto to taki był Botticelli. Przynależność do klubu nie dawała żadnych przywilejów, żadnych uprawnień. Oczywiście, że został prezesem takiego klubu. Ale to wszystko było takie tajemnicze i takie pełne rozmachu, że szeptane wieści o jego działalności straszły po nocach najpracowitszych działaczy, którzy nigdy nie osiągnęli takiej masowości, takiego rozmachu spolecznikowstwa.

Rozpoczął swoją wielką karierę opierając ją na fikcji i zaszedł tak wysoko tam gdzieś, skąd nawet nie docierają listy do jego starej matki, która nie widzi od niego nic więcej oprócz pieniędzy.

Janusz O. przyjechał tu w perfidnym zamiarze, chce zbadać siłę fundamentów, na których opiera się mit o jego kumplu. Chciał podstawić mu nogę udowadniając, że nigdy nie istniało nic takiego jak Klub Botticellego. Chce zachwiać zaufaniem, jakim świat obdarzył swojego proroka, który jeszcze raz w dziejach oparł się na fikcji. Czy słyszał pan kiedyś o czymś takim w tym mieście, jak Klub Botticellego?

Pijk był od urodzenia obywatelem tego miasta, ale nic o tym nie słyszał.

— Tak — powiedział Janusz Olczak — własną ideowość oparł na fikcji. To całe miasto wydaje mi się bezideowe.

— Jak to? — zaoponował Pijk. — Czy nigdy nie słyszał o akcji budowy pomnika, która bierze w łeb? Całe miasto było poruszone, a teraz zamarło. To sprawa Encyklopedysty i jego prawej ręki, Amanta.

Janusz O. uważał, że to sprawa jego perfidnego kumpla i zgrai jego popleczników. Tworzą nową fikcję, żeby ratować starą. Nie wierzył w żadne pozytywne, prywatne idee, w których nie maczalbym palców jacyś diaboliczni kumplowie. On, J. O. nie myśli być partaczem. Jest i chce być zwykłym zjadaczem chleba, którymś są Januszowie O. w milionowych zastępach. I im to podsuwa się na kumpli jakichś diabolicznych prze-

sów klubu imienia Sandro Botticellego, którzy barwią świat bajkowymi kolorami dostępnymi jedynie fizyce eksperymentalnej. Oczka J. O. spoglądały złośliwie znad stołu baru szybkiej obsługi „Błyskawica”. Jego kumpel chce teraz świat zapaskudzić pomnikami. Dobrze by było obejrzeć projekty.

Pijkak czuł się ubóstwiony, że zdobył jeszcze jednego zwolennika i to w barze szybkiej obsługi. Sam Pijkak też nigdy nie widział projektu pomnika, takie rzeczy go nie obchodziły, ale zaprowadził go do Amanta, choć być może, iż on go widział. Tylko że do Amanta trzeba iść jeźdźnią, bo reperują chodniki, z samochodami trzeba się wyklękać po drodze, trzeba umieć odskakiwać. Amant dlatego teraz siedzi w domu, bo boi się wymazać lakierki w błocie wykopów. Amant to jest gość pierwsza klasa, kobiety go lubią.

A może ten Amant jest typem amantoidalnym i nie ma ochoty taplać się po drodze w błocie, może trzeba go będzie przewieźć tramwajem? Nadjechał właśnie na przystanek roztrzęsiony emeryt z fałszywym numerem. O kabalistykę miejskiej komunikacji! Ilez fałszywych liczb podsuwasz i odsuwasz sprzed oczu! Też jeszcze nikt na podstawie twoich liczb nie usiłował wnieść się w rejon sferyczny! W gronie oczekujących na przystanku panowały jeszcze jakie takie manieri, może dlatego, że stało tu wielu czytelników ilustrowanych magazynów, które zalecały swym abonentom wytworne manieri. Ślepy, świeżo ożeniony z pewną kobietą, która rozpoznała w nim swego męża, który przed dziesięć laty wyszedł na piwo, grzecznie uchylił papierosa przed Pijakiem, choć to nie było w jego zwyczajach! Pijkak patrykanem w szyję chciał rozpaczliwie zasynalizować mu, co stracił wstępując w związku małżeńskie, ale Ślepy był ślepy i głuchy na tego rodzaju pokusy, jako że nowa żona, która rozpoznała w nim starego męża, kupowała mu co dzień do obladu ćwiarteczkę słodkiej wódki. Ślepy w tej sytuacji czuł się trochę jak szczur, ale jak szczur był też zadowolony. W kumpli Pijakę rozpoznał swego dawnego kumpla, Janusza O., z którym pracował kiedyś w melioracji. Kopali wtedy w Rzeczypospolitej wspaniałe rowy odwadniające i Janusz O. raczej nie nadawał się do tej roboty. Nie z racji lenistwa, bo przecież każdy jest czasami leniwy, ale dlatego, że przy robocie stawał się nadepty, naburmuszony jak Nabuchodonozor i wszyscy mówili „patrzcie, jaka naburmuszona morda wisi nad łopatą”. Gdy się pracowało z Januszem O. przy jednym rowie, to majster odliczał od wykonanej normy piętnaście procent, a potem jeszcze inżynier, chudy, przepity też coś potracił i człowiek wychodził na współpracy z Januszem O. jak Zabłocki na swoim mydle. Ślepy ucieszył się, że zdołał wejść do tramwaju dużo wcześniej od Pijaki i jego kumpla — nie przyniosli oni bowiem szczęścia finansowego, a Ślepy był teraz człowiekiem zamożnym, miał nawet akwarium ze złotymi rybkami.

W tramwaju panowała nachalna samoobsługa, wszyscy pchali się do automatu jakby po trupach. Protest poszkodowanych gi-

nał w ogólnym proteście, wszyscy tu bowiem protestowali, nawet zofer. Jedni protestanci wprawdzie wysiadali, ale na ich miejsce wsiadali nowi. Tramwaj przypominał zmotoryzowaną manifestację zmierzającą określoną trasą do nieokreślonego celu. Każda manifestacja wymaga ofiar. Z jednego przystanku tramwaj ruszył zabierając tylko rękę jakiegoś mężczyzny, który plakał i przeklinał. Podróżni krzyknęli ostro na szofera, który wprawdzie nie wiedział, o co chodzi, ale na wszelki wypadek stanął. Mężczyzna odzyskał po dwudziestu metrach pogoni swoją prawicę, ale był zbyt przestraszony, żeby odważył się wsiąść do tramwaju. Pijkak rozpoznał w nim Opuchłego. Facet nie miał takiego szczęścia jak jego kumpel Ślepy, który szczęśliwie dostał się do wnętrza wozu, zajął miejsce siedzące i butnie spoglądał przez okno, jakby gardząc wszystkim tym, co widzi swoim jedynym okiem. Dojechali wreszcie na przystanek, na którym trzeba było wysiąść i sama czynność wysiadania była epopeją godną bohaterów. Ofiarą padali jednostki słabsze, emerytalne, które wprawdzie miały osobne miejsca, ale zajęte przez rosnących młodzieńców, podróżujących od kawiarni do kawiarni.

Pijkak zastukał do mieszkania Amanta, a kiedy mu otworono, pochwycony został przez odbicia w dziesiątkach luster.

Amant spojrzał na buty Janusza O. i uznał, że są brudne, widząc nie był to człowiek deptający po kwiatach. Kiedy zdjął kapelusz okazało się, że część lysiejącego czerepu rubasznego pokrytą miał drobnymi kropelkami potu. Amant bał się poruszyć nosem, żeby nie zacerpnąć jakiejś złowrogiej woni; starał się więc oddychać ustami, co ustokrotnie wyraz melancholii na jego twarzy, żółtej, zbudowanej jakby z żółtych trójkątów. Taki zresztą tytuł „Żółte trójkąty” nosił wydany kiedyś przez niego arkusz petycki, wydany z funduszu firmy, w której był referentem reklamy. Firma ta więc jakby reklamowała swojego specja od reklamy, żeby mieć z niego choćby ten jedyny pożytek.

— To jest Janusz Oleczak — powiedział Pijkak. — Przyprowaździłem go w sprawie pomnika.

Amant spojrzał pytająco na swojego gościa wyczekując, co on powie, ale tamten zajął się gorączkowym szperaniem po kieszeniach, jakby to był trochę dziwaczny wstęp do wielkiej wypowiedzi, której nie starał się jednak wyjaśnić. Wskutek tego szperania po wszystkich kieszeniach jego palce i paznokcie stały się coraz brudniejsze, co nasuwało Amantowi uwagę, że kieszenie jego pełne są paprochów. Przecież ten człowiek nie przyszedł tu chyba, żeby zademonstrować mu różne sposoby grzebania w kieszeniach.

— Czego pan szuka? — spytał go wreszcie, ale Pijkak udzielił odpowiedzi za tamtego.

— Papierosów.

W tym domu nie było papierosów, bo Amant był wrogiem tytoniu żółcącego palce, więc Pijkak, jako typowy altruista, zgłosił się na ochotnika do zakupienia i dostarczenia papierosów. Do wykonania tego przedsięwzięcia brakowało mu tylko pienię-

dzy, w które został niezwłocznie zaopatrzony i odkomenderowany do drzwi. Wybiegli więc jakby z ważnym rozkazem w doniosłej misji, bo sam był tak namiętnym palaczem, że nawet zasypiał z niedopalkiem przyklepionym do warg i gdyby nie czułość wiecznie z nim skłóconej żony, dawno zgorzałby jako uzupełnienie i dalszy ciąg trzymanego w zębach papierosa, z którym zrastał się w trudno rozdzielną całość. Żona zawsze przed położeniem się do łóżka wymawiała smoczek swojemu najmłodszemu gluptaskowi, a potem najstarszemu — papierosa.

Janusz O. wydał mu jednak polecenie kupna jakichś egzotycznych marki papierosów, których nie było w żadnym kiosku. Pijak podejrzewał z niesmakiem, że będą to jakieś perfumy z ustnikiem.

Kioskarze, którzy znali grzechy Pijaka lepiej od swoich grzechów, dziwili się, że posiada pieniądze na coś tak kosztownego jak te papierosy, o które się dopytywał płacząc język w zamorskiej nazwie, którą oni wymawiali prawidłowo, jako że musieli spisywać różne zagraniczne tytuły gazet w czasie remanentów i rozliczeń. Pijak wreszcie dopadł kiosku w najbardziej zjeżdżalni dzielnicy i kupił tam elegancko owiniętą paczkę, która kosztowała majątek. Miał zapalki przy sobie i postanowił spróbować jednego papierosa wiedząc, że to wolno mu zrobić, że to jest przyjęte w kręgach palaczy. Kupionej dla zespołu butelki nie wolno pod żadnym pozorem napocząć lub rozpieczętować, ale rozerwać paczkę papierosów wolno nawet w wytwornym towarzystwie. Smak wydał mu się trochę stęchły i przypominał skrety, które sobie sporządzał w najgorszych chwilach życia, ale wizualnie papieros prezentował się znakomicie. Był długi, grubawy jak cygaro, ze złotym ustnikiem barwy miodu. Ludzie oglądali się za nim nie z racji papierosa, ale po prostu dlatego, że zawsze się za nim oglądali, jednakże on był przekonany, że wykręcają szyję po to, żeby obejrzeć w jego zębach wspaniały dymiący przyrząd.

Nagle ktoś wezwał go po imieniu i zbleszał natychmiast. Co jest, do cholery! Już inaczej nie może powiedzieć. Są teraz godziny pracy, za którą mu się płaci stałą pensję, a on szwenda się z papieroskiem w zębach dokoła swojej macierzystej fabryki siekier, ale nawet nie zajrzy do środka. Natychmiast wracać na swoje stanowisko!

Przed Pijakiem stał rozwścieczony Dyrektor i machał rękami, jakby nakazując kierunek. Okazuje się, że nawaliła wielka szwajcarska obrabiarka, którą tylko on, Pijak, potrafi wprawić w ruch.

Tymczasem Janusz O. z Amanem siedzieli naprzeciwko siebie, pouszadani w fotelach i pierwszy z nich słuchał, jak drugi narzekał. Nagle Janusz O. ze zdumieniem usłyszał, że Amant z sympatią wspomina swoje członkostwo nie istniejącego Klubu Botticellogo.

— Ale na czym polegała jego działalność? — dopytuje się Janusz O.

— To nic, że na niczym, ale sam klub był wspaniały.

— Przecież go w ogóle nie było! Chwycił was na wspaniały przynętę — patetyczność, pustkę.

— To nic — upierał się Amant. — Widocznie był niezbędny. Ze też świat musi się ratować za pomocą takich śmiesznych facetów jak Amant. Postanowił unurzać jego zapal w rynsztoku, żeby tamten trochę ochłoniął.

— Kiedyś ten wasz cały fikcyjny prezes był wspaniałym bawiarzem. Pamiętam jedną taką, nazywała się Marucha Bez Kiszek. To on nadal jej to obraźliwa nazwę.

— Czy ma pan coś przeciwko pani Marusi? — spytał Amant, ale tamten odparł, że nie, skądże, przypomina ją sobie z dawnych lat.

— Ludzie, o których się nie zapomina, godni są szacunku — wypalił Amant retorycznie. — Pani Marusia prowadzi u nas coś w rodzaju salonu politycznego. Mogę tam pana zaprowadzić.

Chętnie poszli obydwa drobnymi uliczkami, które wbiegały do olbrzymiego parku, raju emerytów i wagarowiczów. Amant posadził swego gościa na laweczce i poszedł zapowiedzieć jego wizytę u Maruchy. Emeryci spoglądali na Janusza O. lękając się ciekawości, która potroiła się na starość, choć kiedyś, w młodości tak pilnie uczyli się manier obojętności do świata. Dzieci też zakreśliły się wokół niego w nadziei zabrania wypróżnionej butelki.

W pewnym momencie powrócił Amant i oznajmił załamany głosem, że Marucha chyba umarła, skoro jemu, Amantowi, nie chce otworzyć drzwi. Poszli więc jeszcze raz do niej, ale już razem, jakby wspólnymi siłami, trzeba było bowiem wydobyc kobietę z zamknięcia, jak to się zwykle robi. Z powodu braku reakcji na pukanie Amant zagroził wyłamaniem drzwi. Na groźbę tę otrzymał odpowiedź Maruchy, że jest zajęta, ma gości.

— Jest tu jeszcze dwu gości — odparł Amant uważający, że liczba gości zwiększa honor gospodarza.

— Otwórz, bo wyłamiemy drzwi! — krzyknął Janusz O.

Groźba ta widocznie podziałała, skoro drzwi otworzyły się z trzaskiem i wypadł z nich olbrzymi, czerwony mężczyzna, zapięty nie na te co trzeba guziki. Cechował go jeszcze obłądny wyraz paniki na nieznanym obliczu. Popędził w boczną uliczkę, ale kiedy uciekał, to jakby jeszcze na plecach miał wypisany przestrach. Widocznie ten pan miał w życiu do czynienia tylko z ludźmi brutalnymi, którzy podawali mu ręce wyłącznie w formie zaciśniętych pięści. Chwila jego ucieczki trwała krótko, ale przemięła z taką energią, że podobna była eksplozji. Gdyby choć połowę tej energii włożył nie w ucieczkę ale w atak, niewątpliwie zdobyłby laury w niejednej kampanii. Uciekał gubiąc coś po drodze.

— Wystraszyście go tak, że zapomniał się nawet pożegnać — powiedziała Marucha.

Po ucieczce tamtego jej salon polityczny był pusty, poza gospodynią nie było nikogo.

— Co to za polityk uciekał? — spytał Amant.
— To cudzoziemiec. Przywiózł mi pozdrowienia od przyjaciela, który wyjechał na wycieczkę orbisowska.

— Czy trzymasz już z emigrantami?

— Nie, ale kupiłam sobie bilet turystyczny.

Ciekawe, co też ona sądzi o pomniku, pomyślał Janusz O., chcąc wiedzieć, jak daleko zaszyły wpływy jego demonicznego kumpla. Ale ona uważała, że do niej sąd nie należy, bo sąd to działalność raczej kontemplacyjna, a ona jest zwolenniczką czynu, lepszego czy gorszego, ale czynu.

— Czy pani reprezentuje oficjalną ideologię Ligi Kobiet? — spytał Janusz Olczak sceptycznie.

— Co do picia alkoholu to tak — stwierdziła Marucha bez specjalnego nacisku.

Ale trudno z nią było rozmawiać politycznie, bo ona myślała goniła przestraszonego emigranta, który czai się gdzieś pewnie w sąsiednim zaułku, czekając na wyjście nieoczekiwanych gości. Spoglądała więc tęsknie w okno, co oni odczytywali jako nakazany im kierunek wyjścia i dostosowali się do życzenia, a Janusz O. zrzępnął nawet palcami w rondo kapelusza, choć nie pożegnał się tak szarmancko jak Amant.

Żółtawy uwoodzielił wymienił nazwę swojego rodzinnego miasta. Czy pan je zna, panie Janku?

Oczywiście, był tam w wojsku, biegł często po okolicach z karabinem, strzelał do różnych desek wyobrażających twarz wroga, twarz bez oblicza. Zielone kosze parowały na nim od potu. Aha, jeszcze pamięta, że był tam bar szybkiej obsługi „Rakieta”, bardzo nowoczesny w tym zrujnowanym mieście.

— A czy pan pamięta, panie Olczak, pomnik na rynku?

— Ależ wy tutaj nabiliście sobie głowy pomnikami, wy tu jeszcze kiedyś założyście fabrykę pomników. Będzie większa od fabryki siekier, po której oprowadza się zagraniczne wycieczki złożone z grupki ludzi maszerujących z otwartą buzią. Podobno eksportujecie siekiery nawet na Wyspy Wielkanocne.

Gdy tylko Janusz O. wspomniał bar szybkiej obsługi „Rakieta” od razu poczuł się wygłodzony i zdecydowany na konsumpcję. Amant jadł bardzo mało, bo bał się utracić romantyczną żółtawość cery. Januszowi O. natomiast portki wydymał niewielki brzuszek, który nie ujmował mu powagi, niezbyt zresztą pożądanej.

Jadłodajnia, do której weszli, miała wygórowane ambicje i wyrażała je w cenach. Kelnerzy cenili się mniej, ale równie skrupulatnie. Wyraźnie dbali o jednego konsumenta, który praktykował napiwki równie swej żarłoczności. Był to Golonkożerca, honorowy gość lokalu. Poruszał szczękami pośród żwawej obsługi i dławił się wtedy, gdy widelec nie miał się już o co zaczepić na talerzu. Wtedy podnosił głowę i rozglądał się dokoła z wyrazem jakby obiecującym pożarcie każdego, kto znajdzie się w zasięgu jego rąk. Podniósł właśnie głowę jeszcze z ostatnim kęsem w przełyku i zobaczył Amanta z jakimś człowiekiem,

który od razu zaczął mu wyglądać na rasowego kasiarza. Po paru sekundach utwierdził się w swym przekonaniu co do niego i postanowił wejść z nim w kontakt rozmowy, a potem się już zobaczy co dalej. Kiwnął na Amanta swoją olbrzymią łapą i tak przywiódł ich obu do swojego stolika.

Amant, jak wielu mężczyzn, niedoszłych kleryków i klerków, hoduujących siebie w moralnej czystości dziecka, nie widział nic złego w towarzystwie Golonkożercy, choć mógłby mu mieć za złe zbyt dużą zamaszystość w kontaktach ze światem — ale z drugiej strony świat jest wytrzymały na tego typu traktowanie. Często właśnie tego typu rękami bywa skutecznie formowany.

— Polecam golonkę — powiedział Golonkożerca, jakby siedział tu w celach reklamowych. Rzeczywiście, od paru dni, od kiedy tu zaczął przychodzić, spożycie golonki wyraźnie wzrosło, a kierownictwo spod wywieszki „specjalność zakładu” wyjęło zrudziałą kartkę „KOTLETY MIELONE” i wsunęło „GOLONKĘ” z bardzo ciekawie potraktowanym liternictwem.

— Ja nic nie jem — powiedział Amant, jak zawsze budząc zdumienie Golonkożercy, który nie bez racji uważał jedzenie za motor żywota.

— A ja nie jem golonki — oświadczył Janusz O. budząc jeszcze większe zdumienie Golonkożercy, bliskie już niemal szacunku. Facet nie lubił wprawdzie golonki, ale po łapczywości, z jaką złożył zamówienie, widać było, że lubi jeść, a to już jest jakiś wspólny mianownik. O ile to nie jest kasiarz, to może być człowiekiem interesu i lepiej go mieć na oku, bo może dalej bez naszego udziału prowadzić swoje wysokodochodowe świadstwa.

Amant spoglądał z zacięciem na dwu godnych siebie pożeraczy. Nagle Golonkożerca przestraszył się, że może ten cały Janusz O. to tylko łapczywa odmiana idealisty, skoro tak się skumał z Amantem nie mającym w sobie nic z łapczywości. A przecież chłop ma warunki, zna wszystkie kucharki w mieście.

Amant dalej był świadkiem dwu łapczywości, cwaniackiej i antycwaniackiej. Jeden marzy o przebudowie świata na zasadzie golonkożerstwa, a drugi siedzi w niemodnym kapeluszu i pożera nieaktualną już specjalność zakładu, kotlet mielony.

Kiedy skończyli jeść, obaj dyszeli jeszcze jak po zwycięstwie. Janusz O. zaproponował we własnym interesie, dla pomocy w trawieniu — piwo, jednak Golonkożerca nie przystał na ten półrodek i zaznaczył, że jest beztętnym zwolennikiem zawsze trzeźwej i bieglej myśli. Zmylony tą ripostą Janusz O. wziął go za jeszcze jednego idealistę budującego pomnik Botticlego.

— Czy pan też buduje pomnik? — spytał.

Golonkożerca spojrział na niego pijącego piwo i uznał go za wybitnego kombinatora od pomników. Zresztą w związku z pomnikiem nie wierzył w niczyją czystość. Pijak, według

niego, ludzi się nadzieją wypicia, amant flirtu. W wyniku tych zamierzeń stanie pośrodku miasta pomnik ludzkich słabostek i jednej czystej duszy, ale istoty księżycowej. W tej konstelacji Janusz O. wyglądał mu na cholernego cwaniaka, który chce się szybko dorobić i dmuchać ludziom w nos, jak to już robi teraz pałac papierosy. Żeby więc zdobyć jego względy, dał mu do zrozumienia, że nie ma nic przeciwko pomnikom, skoro będzie można na nich zarobić.

Janusz O. nie zglębiając się w subtelne konteksty uznał, że i ten olbrzymi człowiek, wyglądający na wroga ludzkości jest zwolennikiem wstawienia pomnika dla Botticellego, czyli pomnika z twarzą jego kumpla. Nawet potwory uaktywniły się — pomyślał z przestachem i roześmiał się.

Golonkoźerca słysząc śmiech ryknął swoim nieumiarkowanym, dynamicznym bulgotem. Facet się śmieje, a więc już jest urobiony. Najlepiej z takimi ważnymi facetami załatwiać interesy przy stole biesiadnym. Żeby biesiadność utrwaliła się między nimi, zaproponował znowu golonkę i sam ją skonsu-mował, gdy inni odmówili. Łapczywość Janusza O. przejawiała się w inny sposób — nieumiarkowanie chęplawy napoje.

Amant przyglądał się temu wszystkiemu bliski pęknięcia żołądka. Próbował przemykać oczy, ale wtedy atakowały go jeszcze straszniejsze obrazy wyobraźni. Z tych właśnie powodów nie stłował się nigdy w zakładowej stołówce. Wreszcie Janusz O. został jako tako napojony i znowu powrócił do rozmowy.

— Ależ ten Pseudobotticelli podpuścił was z tymi pomnikami.

— Nikt tu nikogo nie podpuszczał — zaprzeczył Amant. — Przynajmniej co do pomnika.

— No więc ten cwaniaczek przygotował odpowiedni grunt w robocie klubowej.

Golonkoźerca przysłuchiwał się, o jakim to cwaniaku mowa. Każdy cwaniak był dla niego jakby bratem. Kiedy usłyszał nazwisko, wiedział już o kim mowa.

— To była wysoka figura, nawet jak siedział w więzieniu. Okazało się, że razem siedzieli na jednym korytarzu, tylko w osobnych celach. To był funkcyjny facet, wysoko funkcyjny. Spotykał się z samym dyrektorem, choć musiał stawać przed nim na baczność. Zawsze umiał sobie wszystko załatwić i wszyscy stawiali go za wzór. Sam Światowy mówił, że siedzi tu przez pomyłkę i że chciałby mieć samych takich więźniów, taki miał ideał sprawiedliwości. Już ten kumpel tak potrafił wykręcić tę sprawiedliwość, że okazywała się wobec niego niesprawiedliwa, a on w jej świetle stawał się niewinnym męczennikiem chwilowo przebywającym w zamknięciu.

— A jednak poglaskała go ręka sprawiedliwości — pomyślał Janusz O. — Nie ucapiała, ale poglaskała pod włos. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazał się teraz tym całym Encyklopedystą, tym cholernym profesorem, który wziął się za pomniki,

żeby zmasać swoje wiezione grzechy. Mógł zmienić wiek i udawać profesora. On potrafiłby nawet zmienić pleć. Wszystko potrafi wykorzystywać do maksimum, z wszystkiego mieć uciechę. Nawet kiedy umrze, to zrobi to z pożytkiem dla siebie, a nie z biologicznej potrzeby. To jest jasne jak słońce, dopóki on jeszcze kiedyś nie przyćmi tego słońca jakąś cholerną kosmiczną eksplozją. Takich miało się kumpli, tacy są nasi kumplowie. Oto taki na przykład Golonkoźerca, kumpel tamtego z kibla. Facet wprost prosi się o powieszenie, a żyje nad stan kosztem świńskiego mięsa.

Tymczasem Golonkoźerca był przekonany, że skoro jest kumplem kumpla Janusza O., to sprawa jest obgadana do ostatniego punktu. Z takim żarłocznym mężczyzną można się dogadać. Skoro spotka się ze sobą dwoje żarłocznych ludzi, to potrafią świat pożreć, przetrwać go w ciągu żywota. A co to jest życie, jak nie skonsu-mowanie i przetrwanie świata. Z chwilą gdy człowiek zeżre planetę i zaczyna myśleć o zjawiskach pozaświatowych, zaczyna się jego niechybna śmierć. Spoglądał z oddaniem na swego nowego kumpla opitego piwem i wódką.

Amant siedział obok nich wstrzemięźliwie abstynentujący i spoglądał w okno, gdzie było wesele od kobiet i słońca. Dzień miał się tak bardzo ku zenitowi, a i kobiety coraz dalsze były od poranka, kiedy są bardziej gospodyniami niżeli kobietami.

Trzeba było wstać od stołu, a że najlepiej to było zrobić Amantowi, więc też to on zaproponował wyjście z wykwintej jadłodajni w naturę może trochę mniej wykwintną, ale jakoś bliższą jego sercu.

Zbliżył się kelner, niecierpliwy jak przed ciągnięciem loterii, na której złożył swój los. Zdenerwowanie jego wynikało stąd, że nie wiedział, kto i ile złoży mu napiwku. Najhojniejszy okazał się Golonkoźerca, który czuł się już posiadaczem przyszych milionów, wykombinowanych do spółki z Januszem O. ze skarbów ludzkości. Gdy wyszli na ulicę, Golonkoźerca spytał, dokąd idą, bo był pewien, że do banku i przestraszył się, gdy usłyszał, że idą do Encyklopedysty. Był to jedyny człowiek, którego bał się panicznie. Ciagle go odpędzał od siebie jak widmo, a on powracał jak widmo. Miasto to byłoby całkiem żośnie, gdyby w nim nie straszło widmo. Pożegnał się więc i skręcił w boczną uliczkę, stając cicho jak kot, choć cierpiał na odciski.

Amant, znawca Hiszpanii, szczególnie Andaluzji, wysunął poroniony pomysł. Skoro już mowa o działalności regionalnej, to można by zaaranżować coś w rodzaju walenckich „Fallas”. Są to ogromnych rozmiarów figury z kartonu lub drewna, ustawione na ulicach. Setki pomników, które można przenosić z miasta do miasta, aż do zużycia materiału. Koszty papieru czy drewna są niewielkie. Fallas mogłyby zawierać pewne aluzje heroiczne czy satyryczne, co jest odwrotną stroną heroizmu.

Ala sam Amant przyznawał, że równie trudno byłoby rozpogawiać walkę byków na wschód od Pirenejów. Janusz O. dziwił się w duchu, jak to miasto żyje pod terrorem plastyki. Przed paru laty po knajpach mówiono tylko o klubie Botticellogo założonym przez jego kumpla.

Amant spojrział na Janusza O., zwolennika walki byków i zrozumiał, że ten obyczaj przywędrował do Hiszpanii razem z barbarzyńcami. Dziwił się też, że J. O. do wzystkiego ustosunkowany był krytycznie jak student. To pokazowy egzemplarz wiecnego studentwa, wiecnego narzekania. Całą siłę młodości skierował na bunt przeciwko drobiazgom. Mógłby je po prostu wyrzucić do kosza na śmieci, ale on buntował się chyba nawet przeciwko koszu na śmieci. Taki człowiek powinien być poddany powtarznej edukacji.

Gdy zapukano do drzwi Profesora, powitał ich gniewny głos jakiejś jędry, która niebawem osobiście zjawiała się we drzwiach oświadczać, że jej pan nikogo nie przyjmuje, ani nikogo przyjmować nie będzie, ponieważ jest zajęty ważną dla ludzkości hodowlą.

— My właśnie w tej sprawie — powiedział Amant, a że jego słowa wyglądały jak umizgi, toteż zostali wpuszczeni do środka.

Encyklopedysta siedział pośród swych ksiąg ze wrokiem napiętym do niezwykłej ostrości. Wyglądał tak, jakby miał zamiar napisać broszurę o silnej woli. Spojrział w rozmarzone oczy Amanta takim wrokiem, jakby zamierzał mu gwałtem, dla jego dobra sprzedać tę broszurkę. Amant zamrugał oczami i przedstawił swego kolegę, który przyglądał się raczej kątem niż właścicielowi. Encyklopedysta przywitał się z jego odbiciem w lustrze.

— Jak tam pomnik, Profesorze?

— Zmieniłem plany, dałem malarzowi nowe zamówienie. Pomnik jest na razie formą z gliny i glina pozostanie. Zamówiłem u malarza swój portret trójcy. Maluje się go przy kałęczu mieszając farby z trucizną. Jak stwierdzono, potem się umiera, po trzech latach. Długie lata życia zbyt rozleniwiają, musiałem się twórczo zdopingować.

Janusz O. wiedział już, że ta sprawa nie ma nic wspólnego z jego kumplem, że w ogóle nie ma nic wspólnego ani ze złem, którego ten kumpel był drobnym detalistą, ani z dobrem, które też w handlu słabo idzie. Spojrział za okno, był piękny dzień, szkoda by go było marnować w mieszkaniu szaleńca.

Czuł się teraz tak, jakby doszedł do normy. Tak! Doszedł do normy! Jest jednym z miliona ludzi i nic go już nie dręczy.

Tylko Amant wyglądał jakby stał z zalanymi rękami. Próbował wpływać na Encyklopedystę trochę po harsersku, ale ten siedział zapatrzony w stos książek. Za oknem tymczasem z krzykiem biegali dzieci, a dorośli wierzszeli na nich wielkimi głosami. Janusz O. żałował, że nie został nauczycielem, to dawałoby mu przywilej ciągłego przebywania z dziećmi, prowadzenia ich

interesów, uczestniczenia w ich wesołych pokrzykiwaniach. Wszystko inne było jakby mniej ważne.

— Czasami nie mogę już polegać na własnym rozsądku — powiedział nieoczekiwanie Encyklopedysta. — Chętnie złożyłbym decyzję w ręce losu. Panowie są za pomnikiem, a ja przeciwko. Zagrajmy w „chińczyka”. Mądrość Wachodu zawarta jest w regułach tej gry.

Amant wybił czerwone pionki w kolorze namietności, Janusz O. nie wiadomo dlaczego, ni to niebieskie ni to szare, nijakie, też zapewne z racji swych przekonań. Profesorowi zostały czarne, jak jego garnitur. Czerwone były już daleko na czele, niemal u celu, kiedy spostrzeżono, że Encyklopedysta szuleruje. Nie leżało to dotąd w jego zwyczajach. Amant tym był zachwycony. Profesor ma na tyle jeszcze rozsądku, żeby oszukiwać. Pomimo to Amant, jako idealista, zażądał powtórzenia gry. Pilnowano Encyklopedystę, żeby powrócił do swej nieposzlakowanej opinii i nie oszukiwał. Czerwone znów wyforsowały się na czoło, mając za sobą szaroniebieską gromadę. Zwycięski Amant jaśniał w skromności swojego uśmiechu.

Janusz O. dawno już nie grał w chińczyka. Ostatnio z własną babką, która zdziwnie akurat na tyle, że grała ta spodobała się jej bardziej niżeli wnukowi, któremu ją kupiono na imieniny. Babcia wspaniale nauczyła się oszukiwać, choć przez całe życie szczyliła się tym, że nigdy nie popełniła żadnego szalibierstwa. Widocznie już mówiąc to, oszukiwała ludzi. Dzięki niej i jej pasji do gry w chińczyka J. O. nauczył się w życiu drobnych matactw i choć uchodził raczej za uczciwego człowieka, to jednak czasami było widać, że wyszedł ze szkoły swojej babki.

Teraz nagle ogarnęło go mroczne uczucie, że tu za chwilę nauczą go jeszcze gorszych świństw niż te babcine i postanowił uciekać. Nie wierzył ludziom zinfantylozowanym. Przekonał się, że złowrogł pomysł z pomnikiem nie pochodził od jego kumpla i wszystko inne stało się dla niego obojętne. Mógł odjeżdżać, ale właśnie Encyklopedysta zastanawiał się patrząc na niego, czy przypadkiem nie byłby on wspaniałym współpracownikiem naukowym.

Umysł Profesora pracował intensywnie. Czy biologia jest nauką dziewiętnastego czy dwudziestego pierwszego wieku? A gdyby tak napromieniować ludzkość energią jądrową? Czasami mu się wydawało, że wszyscy cierpią na raka, strasliwego raka znieczulicy. Zamiast statystycznych pomników zdynamizuje ludzkość. Może to dziecię dwudziestego wieku, Janusz O. mógłby być jego współpracownikiem?

Gość, słysząc to, roześmiał się silnym głosem człowieka absolutnie niezaangażowanego. Odpowiedział Profesorowi tylko, że za godzinę odjeżdża jego pociąg, jakby godziny odjazdu były najważniejszym punktem jego ideologii.

Tak! Encyklopedysta poczuł się skazany na samotność pośród milionów ludzi poruszających się po planecie, a nawet usiłujących wywędrować gdzieś w zaświaty. Nie pamiętał nawet, kiedy

obaj przybyłszy wyszli z jego mieszkania. Doszedł do takiego napięcia intelektu, że popadł w rodzaj snu, choć oczy miał otwarte i widzące pewien fragment sufitu.

Amant próbował rozpałcić wyobraźnię Janusza O. swoim projektem kurateli nad intelektem Encyklopedysty, ale Janusz O. myślał tylko o godzinie odjazdu swojego pociągu. Jest po prostu człowiekiem niezaangażowanym w sprawy idiotów. Przyśpieszył kroku, żeby zmusić Amanta do szybszego oddechu i zamilknięcia. Amant łapał powietrze szybko jak ryba, a kiedy Janusz O. odjeżdżał, pomachał mu ręką.

Janusz Olczak

Patos kretynów jest szkodliwy, bo ośmiesza emocję, która jest niezbędnym warunkiem czynu.

Ludwik Hirszfeld

ZDZISŁAW SMEKTAŁA

Skrzypce pełne jazzowego bólu

jak skrzypce przyrosłe do dłoni gdy smyczek po nich wodzi
do wnętrza ciała jędrne dźwięki przemykają
twarz pod niewielką brodą szczelnie wypełnia muzyka
talent w studenckim klubie fanom za darmo rozdawał
nawet gdy zamiast obiecanego dynacorda
na scenie stało nadłamane krzesło gięte
nad salą siła niewyczerpanego muzycznego tchnienia
pełno przygniecionych petów niektóre czerwona szminka

utyłane

kiedy przyszło stawać wzrokiem z publicznością
z odsłuchem skrzypiec elektrycznych wah wah
krok obok jeana luca pontiego
z odsłuchem wypełnionej sali kongresowej
był najważniejszym człowiekiem jazz jamboree
gdzie każdy muzyk zuje swoje święto
już wtedy drażyła rdzeń witalnych treści
bestia rozzuchwalona szorstkością przebytych dni
melodia z parku battery w brudnym bronxie
w trawie leżały puste puszki po carlsbergu
polish music zgadywali kolorowi słuchacze
skandując dziękuję co brzmiało jane koo yeh
albo krzyczeli jak się masz czyli jack sheh mosh
park nijaki bardziej jeszcze zszarzał
przy dźwiękach man of the light albo solo violin
nawet muzycy oregonu nalaadowani ekstatycznym brzmieniem
pragnęli grać z tobą jak najwięcej
mc coy tyner rzucił słowa jakby od niechcenia
jest dobry i znaczyło to więcej
niż długa drukowana antykwa recenzja
a kiedy drzwi do jazzu szeroko zostały otwarte
piętnastego lutego 1979 roku wystąpił jako bandleader
w najważniejszym festiwalu życia
z niebieskim big bandem szalonego piotra
grali temat gdy wszyscy święci idą do nieba
powie to każdy z tej wielkiej orkiestry

potwierdził to stary luis
graleś dobrze od dzisiaj będziesz szefem
tej wiecznej orkiestry z pękniętym sercem

1 listopad 1979

tysiąc osiemset złotych za parę butów

była to poważna przeszkoda w zaręczynach
a zamiary nad wyraz poważne
tak na oko (chłop w szpitalu oddał ducha)
atuty ścisłał w rękę nie do obalenia
wieczorami czarował przyszłych teściów w pokoju stołowym
na koncercie anglika erica claptona
siedział w siódmym rzędzie (miękkie czerwone obicie)
przez całą minutę w powietrzu (jak boga kocham)
trzymał w dłoniach stery samolotu wilga
a teraz najgorsze —
w złotych wysokich juchtowych sztylpach
kupionych w hofflandzie (domy towarowe centrum)
miał gnój

dwie zdrowe dupy żywcem z mód żurnala

naprzeciw okna w szarym dużym bloku
codziennie wychodzą na balkon dwie grube kobiety
wieszają to pranie które zdjęły wczoraj
czyszczą sprzęt domowy dopełniany wczoraj
głowy cale w walkach prawie identyczne
koszulce nocne brudne w tychże samych miejscach
jedna dużo młodsza córka pewnie będzie
świeci słońcem w dłoniach polyskuje drutem
którym w lipcu szalik za kąt do mieszkania
pilnie wykonuje tak zwanej teściowej
tak jak w karuzeli schemacie codziowym
niedzielę ubarwia lisy w siatkowej koszulce
dupy obskakują poklepując czule
więc w najbliższą środę obok walków z góry
z dołu będzie pieniądż
lisy to załatwi
kurtyna

stawy stawy za wszelką cenę stawy

jedno tylko marzenie franciszka myśl obezwładnia
w arbajcie popychają najgorsze mam normy
marzeniem tym franek po pracy godziny wypełnia
leżąc na małym tapczanie podbitym służbową pieczęcią
w pościeli przygniecionej ta również państwowa
frank jednak nikomu pomysłu nie zdradza
nawet kiedy z majstrem gardło przepłukuje
myśl jest moja i do mnie jedynie należy
chciałbym żeby dziś no jutro wreszcie się to stało
normalnie wszystko jest głupie i aż śmiechu warte
nie dla zajdła jednak franka z krasieczyna

chciałbym dać sanitariuszowi z karetki
tej z nowoczesnym sygnałem nazywa się erka
tysiąc złotych
może jeszcze kierowcy powtórzyć tę sumę
a oni jęczeliby trochę po wrocławiu
kilka polonezów wygonili
na chodniki
albo sprzed autobusów popędzili paru
dyrektorów brygadzystów kierowników
nawet przypuszczam milicjant na placu czerwonym
dalby mi pierwszeństwo
wtedy stanę do konkursu telewizyjnego
najważniejszy dzień mojego życia
za jedyne dwa kolasy

istoty słabe mają skłonność do gromadnego życia

dzielny mieszkaniowiec podgórze sudeckiego tereny gryfowa
którego przerósł własny rozlazły bandzioch
łapał promienie słoneczne rozebrany od głowy po pasek spodni
na pokładzie spacerowej lajby z obowiązkowym bufetem
kiwał się w krótkich spodniach obnażał zylaki
w czerstwej lapie kwitną butelki z wojewódzkim piwem
na odciskach serdecznych elastyczne seryjne skarpety
mieniące się kolorowym haftem interkosmos
ogół zamknięty w czarne lśniące lakiarki
bez zwyczajowych sznurówek
po dobrej chwili
nie oglądając się na surowy regulamin pokładowy
rozmyty przez mazurski dokuczliwy deszcz
przelazł przez zardzewiały reling usiadł na śmietniku
indywidualnie

zrealizował takim zachowaniem
mit niespełniony o wolnym odważnym bosmanie
działo się to na tle czwartego turnusu z gryfowa śląskiego
funduszu wczasów pracowniczych
odpłatność za widowisko placono w zależności
od tabeli zarobków w macierzystej fabryce

teczka nigdy nie była symbolem miłości

teczka w mieszkaniu kochanej kobiety
szczególnie kiedy uszkodzoną ma jedną rączkę
glupio stoi pod oknem niefortunny świadek
szydlerco brzuchem świeci wytartym o podłogę
jest w porządku pozornie konwenans już gra
spojrzysz pod zardzewiałym kaloryferem rekwizyt
zardzewiały śmiech
jakże w tym rechocie wybraną dziewczynę w ramionach
zamykać
teczka ciągnie łańcha na korytarzu zazwyczaj się nie wybiera
może być zabierze teczkę zubożały sąsiad
razem z zakupami papierem toaletowym
w kolejce wystanym ze specjalnej puli
nawet się zdarzyć może ktoś teczkę podmieni
papiery fałszywe życiorys nie taki
sposobem wtedy trzeba po ulicach chodzić
mówić cześć kiedy trzeba a innym dzień dobry
dziewczyna jak to ona nie myślała przytomnie
do roboty nosi na ramieniu chlebak
tutaj z teczką zgrywa głupka udaje wariata
każdy stwierdzi jasna jest ta sprawa
teczka bladego wyglądu ubogo się mieni
w domu kochanej dziewczyny
teczka nigdy nie była symbolem miłości

mimo wszystko

doceń małżeństwo noszenie obrączki
cowieczorne żony korzystanie z famu
robi to zmyślnie dla twojej wygody
ogarnie ramieniem sytą gospodarkę
naboje do syfonu spod ziemi wykroi
obiad niedzielny z hufnala spitrası
kiedy pijany leżysz na podłodze
pod czupryną troskliwie poduszkę przymości

gdy na dziecko pyskujesz szukając dziurkacza
żona ofiarnie wyzwiska pod koszulę wmiata
za złośliwe grymasy bawarki naleje
jazzu z głośnika nigdy nie przycisza
kiedy ze spódnicami przechero walcujesz
odwraca głowę uważnie obserwując sufit
dlatego znawco globusa kobiet perfektorze
przyjrzyj się jej oczom jak będziesz w sypialni
a zobaczysz ślimaka winniczka

ślimak ślimak wystaw rogi
dam ci sera na pierogi

szatański wynalazek bella wspomnienie dzieciństwa

zabawa w głuchy telefon
w słuchawce trzaski szmery
jak z dalekiej nieznannej ulicy
słychać wyraźnie głos niemowlęcia
placz znajomy pewnie kwilenie mojego dzieciństwa
dziecko spłodzone zatem moja wina
o którym jednak nic nie wiem
głos płaczącego malca chwilami śmiech przytłacza
brzmienie w słuchawce na odwrót chichocze
przenosi pamięci okrucy do ucha
zabawa w głuchy telefon
czarny aparacik z tarczą oznaczony
ale jakimi cyframi jakim kluczem
wspomnienia lat szczenięcych
dziecko odgadnione

Zdzisław Smektała

STRATEGIA NARRACJI W POWIEŚCIACH MICHAŁA CHOROMAŃSKIEGO

Obszerna twórczość głośnego w latach 30-tych autora *Zazdrości i medycyny* rzadko właściwie bywa przedmiotem zainteresowania krytyki. Jest niedoceniana z tej chyba przyczyny, że na ogół kwalifikuje się ją jako literaturę popularną. Co prawda, niektórzy z recenzentów powieści Choromańskiego wyrażali wątpliwość, czy istotnie mieszczą się one w konwencji literatury kryminalnej lub też sensacyjnej, lecz poprzestali na pełnej niepokoju konstatacji: „Diabli wiedzą co, czyli Choromański”¹.

Nieporozumienia nawarstwione wokół piarstwa Choromańskiego wyjaśnia Seweryna Wyslouch, która w swej książce² ustala, że czytelnikiem badanej prozy nie jest na pewno odbiorca literatury popularnej. Adresat książek Choromańskiego to znawca literatury, kompetentny także w problemach filozofii i sztuki. Tylko spełniający te warunki czytelnik może podjąć grę, jaka toczy z nim narrator powieści Choromańskiego, przyjmie narzucone sobie role i jednocześnie potrafi rozszyfrować stosowane przez narratora chwytły.

Struktura narracyjna pierwszych powieści Choromańskiego (*Biali bracia*, *Zazdrość i medycyna*, *Szpital Czerwonego Krzyża*) nie dawała w zasadzie możliwości nawiązania gry z czytelnikiem. Od *Prolegomenów do wszelkich nauk hermetycznych* autor posługuje się konstrukcją narratora I-osobowego dzięki czemu coraz wyraźniej i w coraz szerszym zakresie manipuluje reakcjami odbiorcy. W pierwszych powieściach pisarz stosował technikę punktów widzenia, co daje w konsekwencji nieustanną zmianę optyki narracji wobec opisywanych zdarzeń. W późniejszych powieściach wprowadza narratora osobowego, który jest jednocześnie bohaterem opowiadanych zdarzeń. Narrator opowiada przygody z wczesnej młodości, w jakie wpłatał się wskutek zbiegu najprzedszywniejszych przypadków oraz ówczesnego braku doświadczenia życiowego. Narrator — bohater reprezentuje stały punkt widzenia, lecz jego pozycja w centrum wydarzeń wykazuje szereg niedogodności, jak np. ograniczoność wiedzy, brak koniecznej perspektywy wobec tego, co się dzieje. Dodatkowym źródłem informacji są relacje innych postaci zaangażowanych, bądź nieangażowanych w zdarzenia. Relacje te dotyczą wydarzeń rozgrywających się bez udziału narratora, a niekiedy stanowią jak gdyby inną, dodatkową wersję wydarzeń, już raz u niego opowiedzianych. Ta ciągła zmiana perspektyw poznawczych decyduje o niejednoznaczności obrazu świata w po-

wieściach Choromańskiego. Narrator skrzętnie gromadząc cudze relacje na temat jakiegos zdarzenia traktuje je równorzędnie, przytaczając nawet niekiedy wersje wzajemnie sprzeczne. Nie podejmuje próby ustalenia ostatecznej wizji zdarzeń. Nie potwierdza także w narracji dystansu, jaki dzieli go przecież od czasu zdarzeń i dzięki któremu mógł dotąd ustalić jakiś jeden kształt własnych przygód, powziąć o nich ostateczne mniemanie. Przeciwnie, unika wszelkiego porządkowania, wyjaśniania sensu zdarzeń z aktualnej pozycji. Podkreśla, że przyjmuje swój dawny punkt widzenia, że wszystkimi ograniczeniami i opowiadać będzie zdarzenia z pozycji bohatera, rezygnując z uprzednich zdystansowanego narratora. Nie utrzymuje się jednak konsekwentnie w tej roli i zdradza czasami, że wie więcej, niż mówi czytelnikowi. Uprzedza np. czytelnika o szczególnej ważności opowiadanych szczegółów, o konieczności wzmożenia uwagi, zapowiadając rychłe komplikacje.

Mimo iż narrator świadomie unika autorytatywnych stwierdzeń o zdarzeniach i pozostawia przytaczane relacje innych bohaterów nie uwiarytelniłone, jest on dla czytelnika głównym autorytetem wiedzy o powieściowym świecie. Odbiorca, wbrew uprzednim zastrzeżeniom narratora, wbrew jawnie deklarowanej niewiedzy, nie uwzględni możliwości dokonania przez niego błędnego rozpoznania sytuacji. Oczekuje, iż narrator w jakikolwiek sposób zdradzi stosunek do bohaterów, których relacje włączył w tok swojego opowiadania. Tymczasem przedstawia on czytelnikowi swobodę w orientowaniu się w przedstawionych zdarzeniach, skazuje go na niepewność, na konieczność błędzenia po omacku. Niekiedy nawet sam go kompletnie dezorientuje, poddając w wątpliwość swoje własne słowa!

Sposób, w jaki narrator buduje swą opowieść, wskazuje jednak na kontrolowany, wbrew pozorom, tok narracji. Przytaczane relacje, najczęściej plotki, traktuje z szacunkiem i powagą. Włącza je w swoją narrację albo na zasadzie cytatu albo też stosuje skróty, streszczenia, omówienia, przerebadowania, lecz o każdej tego typu ingerencji lojalnie powiadamia czytelnika. Jest to zresztą lojalność myląca, gdyż nie przynosi czytelnikowi żadnej korzyści. Błędem byłoby zawierzyć szczeroci poczyną narratora, który cytuje czyjąś relację, a po pewnym czasie, zupełnie nieoczekiwanie, poddaje ją w wątpliwość.

Plotkę traktuje instrumentalnie: zakładając, że nieoficjalne wersje zawierają niuanse zdarzeń, dąży do odtworzenia przy ich pomocy pełnej prawdy o tych zdarzeniach, wraz z klimatem, w jakim się rozgrywały. Klimat ten buduje nader skrupulatnie. Przytacza nie tylko cudze słowa, ale także towarzyszącą im reakcję opowiadającego, jego mimikę i gesty.

Nielinearność opowiadanych zdarzeń, zakłócenia toku narracji są konsekwencją przyjęcia przez narratora dwóch założeń, których jednoczesna realizacja okazuje się niemożliwa. Otóż narrator dążąc do wiernego odtworzenia opisywanej historii chce pokazać ją w takiej chronologii i w takim kształcie, w jakim widział ją przed laty. Z drugiej strony cały materiał fabularny po cichu kontroluje, świadomie komponując narrację tak, by utrzymać napięcie czytelnika i stopniowo pobudzać jego ciekawość. Pozorna chaotyczność narracji jest jakby uwidocznionym skutkiem próby dostosowania wypowiedzi do wymogów literackich. Wbrew zapewnieniom o skromnych celach podjętego opowiadania każdy z narratorów powieści Choromańskiego jest przekonany o swoich literackich kompetencjach. Własne przygody traktuje wyraźnie jak cenne tworzywo fabularne, które

¹ Pisała o tym Hanna Kirchner w artykule *Diabli wiedzą co, czyli Choromański*, „Teksty” 1973, nr 4.

² Seweryna Wyslouch: *Proza Michała Choromańskiego*, Wrocław 1977.

dzięki odpowiedniej obróbce zyskuje niezawodnie status literacki. Świadczy o tym chociażby pieczołowitość, z jaką traktuje swoją relację narrator *Miłosego atlasu anatomicznego* w niebezpiecznych warunkach wojny:

Zakopuję manuskrypt wraz ze zborem moich poezji „Zakochało się we mnie Gestapo”. Znajomi wiedzą gdzie mają te papiery pod gruzami odszukać i jak...³

O tym, że świadomość narratora to świadomość pisarza, świadczą refleksje narratora na temat warsztatu pisarskiego. Swą biegłość w problemach literatury uwiarytelnia on przytaczając liczne nazwiska twórców, anegdoty z ich życia. Narrator epatuje czytelnika swoim czytaniem, rzekomą erudycją, co stanowić ma rekompensatę za to, że kompromituje się w jego oczach jako bohater opowiadanej historii. Skryta chęć zaimponowania czytelnikowi znawstwem literatury czy sztuki jest taką samą słabością narratorów prozy Choromańskiego, jak ochoczość w wysłuchiwanie i powtarzaniu plotek. W sposób najbardziej wyrazisty obie te skłonności ujawnia narrator *Miłosego atlasu anatomicznego*. Jakby mimochodem przytacza kilka swoich wierszy odrzuconych przez złośliwego recenzenta „Wiadomości Literackich”, by niezawodnie oszłodzić czytelnika swoim talentem poetyckim. Jego plotkarska natura ujawnia się zaś chociażby w tym, że w intymnym dzienniku zamiast — jakby się można było spodziewać — opisywać własne przeżycia, poświęca uwagę wyłącznie rodzinnym skandalom swoich mocodawców. Afery członków rodziny Lajbów fascynują go do tego stopnia, że zapomina właściwie o sobie.

Każdy z narratorów powieści Choromańskiego najlepiej zna literaturę kryminalną, co znajduje potwierdzenie w przywoływanych nazwiskach Wallace'a, Conan Doyle'a, Leblanca lub Marczyńskiego, a także w sposobie kształtowania fabuły, gdzie znać wyraźny wpływ konsekwencji powieści kryminalnych. Jednakże niezborność wybranego wzorca gatunkowego z materiałem fabularnym oraz brak prawdziwej fachowości powodują przełamywanie rygorów przyjętej konwencji, nieustanne przekraczanie jej reguł. Nie jest to mankament kompozycji powieści autora *Zazdrości i medycyny*, jak często uważano, lecz świadomie zastosowany przez autora chwyt, mający na celu zasugerowanie czytelnikowi, że brak mu doświadczenia także i w tej dziedzinie. Jest to sygnał ostrzegający, że narracja nie jest wiarygodna, a narrator zmierza do wyprowadzenia czytelnika w pole⁴.

Literatura nie jest jedyną płaszczyzną odwołań w narracji utworów Choromańskiego. W *Kotlach beethovenowskich* struktura powieści kryminalnej budowana jest zgodnie z regułami wykonawczymi utworu muzycznego, w *Różowych krowach* i *szarych scandałach* wzorec powieści sensacyjnej zyskuje estetyczne upośadeżenie secesji. W powieści *Głównictwo*, *mołitwa* i *praktykarze* poza zainteresowaniami muzycznymi i malarskimi narrator ujawnia pasję językoznawczą i stylizuje swoją narrację na staropolszczyznę.

Bezpośrednie czy też aluzyjne przywoływanie różnych konwencji ma spełniać w powieściach Choromańskiego przede wszystkim funkcję perswazyjną. Narrator w ten sposób doku-



Jan Popek ZŁOTY ZEGAR



Jan Popek TRYPTYK POLSKI (część środkowa)

³ M. Choromański: *Miłosego atlas anatomiczny*, Poznań 1974, s. 344.

⁴ Termin S. Wysloucz z książki *Praca Michała Choromańskiego*, 96.



Jan Popiek KRZESLA XXI



Jan Popiek LIST

mentuje, że „nie jest pocziwcem, za jakiego go biorą”. Przy czym na pocziwca sam się uprzednio kreował! Czytelnik ostatecznie nie ma pewności czy narrator jest erudyta, czy też sprytnym dyletantem, która z tych autokreacji jest prawdziwa. Tymczasem ten zabieg narracyjny ma na celu zbicie czytelnika z tropu, obudzenie jego niepewności i czujności. Czujność zresztą nie na wiele się zda, gdyż, jak powiedziano wcześniej, czytelnik i tak zostanie wyprowadzony w pole. Nawet wtedy, gdy ustali ostatecznie, że kreacja narratora — miłośnika literatury kryminalnej nie dość zreżymie ukrywającego swe intelektualne braki jest fałszywa. Naprawdę ten rzekomy tropiciel wszelkich życiowych sensacji jest świetnym pisarzem, który mistrzowsko prowadzi przewrotną grę z czytelnikiem. Deklarowana szczerłość narratora, naiwność, podatność na sensację, ociężałość umysłowa czy też nieporadność w spełnianiu zadań narracyjnych to bluff, manewr w grze, w której każdy krok interpretacyjny czytelnika został odpowiednio zaprogramowany.

Narracja większości powieści Chormońskiego rozwija się według reguł wypowiedzi ustnej, mimo iż narrator akcentuje sytuację wypowiedzi konstruowanej piśmiennie. Sygnałem kolkwalności jest urwany tok narracji, powtórzenia, pomyłki językowe, metatekstowe wypowiedzi o doraźnych zmaganiach z materiałem anegdotycznym. Charakterystyczna dla improwizowanego toku opowiadania ustnego przypadkowość i fragmentaryczność wielu wątków, pojawiających się na zasadzie asocjacji lub dygresji i stanowiących często ślepy tor narracji, sugeruje na bieżąco konstruowane opowiadanie, nie poprzedzone selekcją materiału fabularnego. Narrator często zwalnia tempo akcji i łamie chronologię zdarzeń, wklajając się jakby w masie anegdot, aluzji i szczegółów. Wątki i tematy układają się w ciągi sekwencji i sprawiają wrażenie luźno powiązanych ze sobą, choć w istocie spełniają funkcję teleologiczną. Nawiązują ze sobą swoistą grę, a ponadto kierują uwagę odbiorcy ku samej narracji i manifestują jej ustny przebieg.

Konstrukcja narracji i narratora w powieściach Chormońskiego wykazuje wiele cech charakterystycznych dla wypowiedzi gawędowej¹. Dla gawędy, odznaczającej się właśnie luźnym powiązaniem wątków, ograniczeniem łańcuch sukcesywnych na rzecz niesukcesywnych, konstytutywne znaczenie ma struktura narratora. Jest to narrator konkretny, mocno osadzony w realiach opowiadanego świata. Rozwija swoją opowieść w ciągu asocjacyjnym, co powoduje rozluźnienie kompozycji i nierównomierne rozłożenie informatywności. Zagęszczenie szczegółów prowadzi do zatarcia się kryteriów ich ważności, tym bardziej, że narrator wprowadza często postaci i epizody nieumotywowane, o charakterze efemerycznym, nie mające dalszych konsekwencji. Czasem jednak te, poczytywane przez odbiorcę za przypadkowe, zdarzenia okazują się potem doniosłe dla przebiegu akcji. Struktura gawędy nie wykazuje obecności nadrzędnego systemu organizującego materiał fabularny, co sugeruje z jednej strony — dowolność i otwartość rzeczywistości, o której opowiada narrator, a jednocześnie stanowi o jego autentyczności, z drugiej — skazuje odbiorcę na orientowanie się w tym świecie drogą „prób i błędów”².

¹ Zagadnienia te omawia m.in.: K. Kartoszyński: *O amorfizmie gawędy*. (Uwagi na marginesie *Pamiętek Sołlej*) [w:] *Prace o literaturze i teatrze ofiarowane Zygmuntowi Szweykowskiemu*, Wrocław 1966. Marjan Maciejewski: *Gawęda jako słowo przedstawione* [w:] *Poetyka, ostatek — obraz. W kręgu poezji romantycznej*, Wrocław 1977.

² Termin St. Eile: *Światopogląd powieści*, Wrocław 1973.

W sytuacji komunikacyjnej, jaką jest gawęda, niezbędna jest obecność odbiorcy, aczkolwiek dialog jest tu fikcyjny, a więc łącząca go z nadawcą komunikatu jest jednostronna. Odbiorca bowiem milczy i faktycznie nie ma wpływu na przebieg narracji. Musi natomiast spełnić szereg wymogów, które projektuje dla niego nadawca i przyjąć narzucone reguły gry.

Prozę Choromańskiego charakteryzują niemal wszystkie wymienione tu cechy przekazu gawędowego, poza jednym: narratorzy nie są mocno osadzeni w środowisku, o którym opowiadają, lecz przeciwnie — są na ogół outsiderami. To ich jednak nie powstrzymuje od snucia relacji z gawędową właśnie rozlewnością. Niwelują ograniczenia własnej wiedzy o środowisku, w jakim się znaleźli, wspomagając się obficie relacjami postaci świetnie zorientowanych w przedstawionym świecie.

W powieściach autora *Zazdrości* i *medycyny* elementy gawędowe spaja naocześnie narracja typowa dla form reportaży. O ile narracja gawędowa charakteryzuje się m.in. rozluźnieniem wątków, dygresyjnością, a także zalamującymi tok akcji nawrotami i powtórzeniami, o tyle narracja reportażyowa odznacza się uporządkowaniem wątków, nieprzypadkowością szczegółów, ekonomiczną wypowiedzi oraz równomiernie rozłożoną informatywnością. Pierwszy typ narracji ma przebieg meandryczny i wpływa na zwolnienie tempa opowiadania. Odznacza się zwrotami do odbiorcy i koncentruje uwagę na samym akcie komunikacji. Drugi natomiast przywraca linearności akcji i przyspiesza jej tempo. Jest przekazem „przezoczysztem”¹: narrator usuwa się poza opowiadane zdarzenia, maskuje sytuację wypowiedzi. U Choromańskiego narracja gawędowa wprowadza nadmiar niewyselekcjonowanych szczegółów, trudnych albo niemożliwych do zwaloryzowania. Narracja reportażyowa odznacza się zaś rygiorem wypowiedzi, tzn. ekonomiczną, wyraźną eliminacją szczegółów zacierających główny przedmiot opowiadania. Stosowane przez Choromańskiego równocześnie, choć w różnych proporcjach, obie techniki uzupełniają się, ale także wchodzą ze sobą w kolizję, która jest elementem świadomie stosowanej przez narratora taktyki. Starcie ich powoduje w obrębie samej narracji grę znaczeń zasadzającą się na dyalektyce przypadkowości i rygoru, nadmiaru i elipsytności. W konsekwencji — elementy opowiadanego świata tracą konkretność i obiektywność, stają się wieloznaczne i trudno uchwytnie.

Technika reportażyowa dominowała w przedwojennej twórczości Choromańskiego. W powieściach powojennych — w miarę jak coraz wyraźniej eksponowany jest narrator, większe znaczenie ma typ narracji gawędowej, obok której występują także inne formy wypowiedzi ustnej i pisanej, takie jak: bezpośrednie sprawozdanie, przytoczenie, streszczenie, spowiedź intymna, list, dziennik, pamiętnik, kronika. Rozmaitość tych form przynosi w prozie Choromańskiego najrozmaitsze układy narracyjne. Każdy z nich wykazuje podporządkowanie jednej dla całego pisarstwa tego autora strategii — elipsytności i nadmiaru.

Nadmierna informatywność narracji omawianych powieści wynika ze specyficznej pozycji ich narratora. Pod pretekstem najsumienniejszego spełniania swolch powinności otwiera on opowieść w wielu perspektywach jednocześnie. Nagradzając czytelnikowi braki własnej relacji oświeca główny wątek opowieści z wielu stron naraz, sięga do dalszej i bliższej przeszłości, lokując go w panoramiczny układzie równoczesnych zdarzeń

towarzyszących. Narrator dostarcza czytelnikowi wielu szczegółów i sugeruje ważność każdego z nich². Przykuwa uwagę czytelnika do imponderabiliów, które rzekomo rozświetlają tajemnicze zdarzenia będące tematem opowieści. Gdy jednak informacji „ważnych” przybywa w nadmiarze, ważność ulega niwelacji. Jeśli wszystkie są jednakowo ważne, odbiorca dąży do wyróżnienia tych spośród reszty, które są najbardziej ważne. A zatem zachodzi konieczność, by dokonać on jakby poza narratorem koniecznej selekcji informacji, co oczywiście nie jest możliwe, gdyż nie zna do końca całej historii.

W *Kotlach beethowenowskich* czytelnik wyjątkowo pilnie śledzi szczegóły, które pozwolą mu zidentyfikować mordercę ciotki bohatera. Podejrzany jest on sam, a zatem jest najbardziej zainteresowany w tym, by się oczyścić z zarzutów. Czytelnik jest biernym uczestnikiem prywatnego śledztwa, jakie prowadzi bohater. Z doświadczenia wie, że w rozwiązywaniu zagadki kryminalnej najważniejsze są szczegóły pozornie bez znaczenia. Połącza więc za tokiem narracji pilnie śledząc właśnie detale. W końcu jednak gubi się zupełnie w masie plotek i traci rozeznanie w ich ważności. Podobnie narrator W *rzecz* wstąpić prowadzi rodzaj śledztwa dotyczącego własnej przemiany moralnej. W procesie autowiwisekcji narrator analizuje własne czyny i odczuca tak wnikliwie, że wreszcie niemożliwe staje się rozróżnienie przyczyn jego odnowy od sukcesów.

W *Różowych krowach* w toku narracji fabuła tak obrasta w uboczne wątki i epizody, że czytelnik traci z oczu główny temat zdarzeń. Nie jest w stanie nawet w przybliżeniu określić intencji narratora, a tym bardziej przewidzieć pointy, do której zmierza. Najbardziej chyba nasycona informacjami jest powieść *Słowański wysp tropikalnych*. Ponieważ narrator pisze o sprawach niebezpiecznych, zachowuje wyjątkową ostrożność. Rekompensuje czytelnikowi konieczne niedomówienia i wprowadza mnóstwo informacji drogą aluzji. Te same informacje pojawiają się w różnych kontekstach i w różnych wariantach, lecz mimo to czytelnik nie zawsze umie je rozszyfrować — dotyczy przecież skandali i plotek sprzed ponad 30 lat! Ważność informacji ulega zatarciu. Informacja utrzymuje swoją wyższą semantyczną nośność tylko w określonym kontekście informacji o niższej nośności, i tylko na ich tle zachowuje swoje dodatkowe znaczenie. Analogicznie: wyjątkową ważność epizodu podtrzymuje kontekst epizodów mało ważnych. Sygnał narratora o wzmożeniu uwagi czytelnika jest przez czytelnika odczytany tylko wtedy, gdy towarzyszą mu „wyciszone” miejsca narracji. Natomiast sygnał trwający permanentnie przestaje cokolwiek oznaczać i być odbierany jako sygnał. Szczególnie dużą informatywnością odznaczają się zdarzenia zaskakujące i one najczęściej w odbiorze zyskują kwalifikację znaczących. Narracja powieści Choromańskiego składa się jednak w większej części ze zdarzeń kuriozalnych, wobec czego kryterium niespodzianki, zaskoczenia, według którego czytelnik rozpoznaje ważność informacji jest w tym przypadku nieprzydatne. Zdarzenie zaskakujące także utrzymuje swą informatywność tylko w określonym systemie organizującym. W przeciwnym razie nie zostaje odczytane jako zaskakujące, bądź też bywa zapomniane w toku narracji.

Brak równowagi pomiędzy elementami nacechowanymi znaczeniowo a semantycznie obojętnymi i wynikająca stąd nierównomierność informacji, prowadząca do dezinformacji, ma w po-

¹ Określenie za Januszem Sławińskim: *Pozycja narratora w „Nocach : dniach” Marii Dąbrowskiej*, [w:] *Pięćdziesiąt lat twórczości Marii Dąbrowskiej* pod red. G. Korzeniowskiej, Warszawa 1963.

² Edward Balcerzan: *Zagadnienia „ważności” elementów świata przeistacza „one o”* [w:] *Styl i kompozycja* pod red. J. Trzynaślowskiego, Wrocław 1965.

wieściach Choromańskiego podwójne uzasadnienie. Wynika przede wszystkim z charakteru samej narracji o niskim stopniu selekcji materiału fabularnego i niejasnej hierarchii jego elementów. Ponadto jest implikacją braku przejrzystej organizacji samego świata przedstawionego.

W powieściach Choromańskiego, tak jak w gawędzie, deklarowanym celem narracji nie jest określenie zjawisk, uporządkowanie zdarzeń i wyjaśnienie ich do końca, lecz stopniowe przybliżanie ich odbiorcy w różnych stadiach i ujęciach, w subiektywnych relacjach, wariantach jakiejś jednej wersji. Gawędową strukturą narracji z całym jej amorfizmem przenikającym w sferę świata przedstawionego posługuje się współcześnie część prozy psychologicznej. Oczywiście elementy narracji gawędowej, która pojawia się w prozie XX w. np. u Conrada czy Faulknera spełniają inne funkcje, niż spełniała gawęda w czasach swego powstania. Współczesna proza, która unika schematów fabularnych ze względu na ich sztuczność i nieprzystawalność wobec stale zmieniającego się świata, dąży do odtworzenia rzeczywistości w jej nieciągłości i niekoherencji. Przekonanie o przypadkowości i alogiczności świata pozbawionego jakiegś nadrzędnej zasady porządkującej proza ta wyraża właśnie poprzez brak selekcji materiału, zachwianie sukcesywności zdarzeń, poprzez luźną strukturę narracji. Zaanektowana zatem przez nią narracja gawędowa spełnia ważne funkcje światopoglądowe.

Rolę elementów gawędowych w prozie Choromańskiego można by ocenić podobnie i taką ocenę sugeruje postawa narratora wobec świata, jako jawne deklaracje światopoglądowe. Byłaby to jednak ocena niepełna, gdyż uformowany (nie odtworzony!) przez narrację obraz świata nie jest ostatecznym celem. Przekonanie o tajemniczym charakterze zjawisk, o niespójności świata i jego wrogości wobec ludzi, to wynik określonej strategii narracyjnej, figura w grze, jaką toczy narrator z odbiorcą.

Zagadnienie informatywności narracji wiąże się z zastosowaniem przez Choromańskiego w narracji przekazów o niskim stopniu asercji. Do takiego typu wypowiedzi należy plotka, która stanowi dla narratorów pełnoprawną wersję zdarzenia. Plotki są w ich przekonaniu półprawdami i domniemaniami skutecznie wyjaśniającymi zdarzenie niż najszczerzowszy jego opis. Prawda obiektywna i bezwzględna w zasadzie nie istnieje, o świecie można co najwyżej snuć domniemania. Możemy do niej zbliżyć się tylko w ten sposób, że zdobędziemy o czymś lub o kimś możliwie dużo danych i zapewnimy sobie najszerszą perspektywę oglądu. Spisujemy kronikarską wersję wydarzeń z lat trzydziestych, w których brał niegdyś udział, narrator *Słowackiego wysp tropikalnych* pisze:

Książka ta pisana jest w plotkarski sposób, autor się tego nie wypiera i nad tym nie ubolewa. Bowiem w sprawach sprawozdań historycznych — szanuje plotki, plotkujących kronikarzy a nade wszystko plotkującą historię⁹. Ten swój pogląd narrator kształtuje w oparciu o przykład Swetoniusza, który „otwiera nam oczy na rzekmy bardziej niż sumienny Tacyt”. Swetoniusz dyszy plotką, gadkami a przeto autentyczność dzisiejszości tamtejszego okresu historycznego wraz z niejasnościami, półprawdami i nieścisłymi faktami. [...] sposób jego myślenia i obgadywania bliżni jest nam bliższy¹⁰.

Wartość plotki jako źródła informacji poświadcza w paradoksalny sposób pruderyjny stosunek do niej. Brak akceptacji plotki nie jest wynikiem zakwestionowania jej walorów, lecz bierze się ze wstydliwego poczucia, iż obnaża ona to, co chcielibyśmy ukryć. Jako specyficzny typ obiegowego przekazu funkcjonuje niejako na marginesie oficjalnych kanałów informacji. O tym, że wartość jej jako komunikatu bywa podważana, decyduje często nie sam przekaz, lecz sposób w jaki powstał. Plotka bowiem to wypowiedź uformowana „za plecami” zainteresowanego i powtarzana „na ucho”. Jej sens zawiera się zwykle nie w tym, co ujawnia, lecz w tym, co sugerują podteksty. Z tego też powodu nie uzyskuje jawnej sankcji, niemniej odgrywa w obiegu społecznym dużą rolę, a jej kod jest łatwo rozpoznawalny wśród innych form wypowiedzi. Jest wypowiedzią nacechowaną emocjonalnie i ma charakterystyczną konstrukcję językową. Jej znaczenie aktualizuje się dzięki temu, że krąży podawana z ust do ust. Jednocześnie w trakcie obiegu podlega deformacji, nie ma zatem ostatecznie obowiązującego zakresu semantycznego, ani tym bardziej stałej formy stylistycznej. W powieściach Choromańskiego plotka przyjmuje czasem kilka niezależnie od siebie funkcjonujących postaci, które zetknawszy się, wzajemnie na siebie wpływają. Wymiana informacji na zasadzie plotki jest najczęściej spotykanym sposobem komunikacji społecznej. Narrator *Słowackiego* nazywa ją wywiadem.

Każda pani domu, każdy urzędnik, właścicielka własnego dworu lub prosta dziewczynka zatrudniona jako kucharka, pani, pan ja — my wszyscy nie innego nie robimy, jak ustawicznie uprawiamy wywiad. My wszyscy jeden o drugim coś wiemy, czegoś się wywiadujemy.¹¹

Z konwencji plotki wynika, że jest to najczęściej komunikat dotyczący spraw pomijanych zazwyczaj w „oficjalnych” formach wypowiedzi. W strategii narracyjnej prozy Choromańskiego plotka odgrywa bardzo ważną rolę. Odnacza się dużą informatywnością, ale jednocześnie dużą zawartością „szumów w kanale”. Jej odbiór polega na oddzieleniu owych szumów i na dokonstrowaniu sugerowanej części komunikatu. W omawianej prozie plotka jest dla czytelnika gwarancją prawdziwości opowieści przez narratora historii. Opiera się na niedomówieniach, przypuszczeniach albo wręcz pomówieniach, ale jest w powszechnym odczuciu przysłówowym dymem, który nie istniałby bez ognia. Swoistą ilustracją roli plotki w życiu środowiska jest powieść *Dygresje na temat kaloszy*. Powieść ta jest zasztyfrowana teorią plotki i jednocześnie praktyczną jej realizacją. Domyśli i pomówienia stanowią o konstrukcyjną zdarzeń tej powieści, a także jej masę fabularną. Schemat akcji powieści jest następujący: w środowisku emigracji polskiej w Anglii ktoś widział porucznika Pluska-Zawilego, gdy przemierzał w sklepie kalosze. Ostatecznie kaloszy nie kupił, nie zabrał więc honoru Polaków, ale przy czynności przymierzania „stał się czerwoną”. Gdy plotka rozprzestrzeniła się, porucznik spotkał się z ostracyzmem swego środowiska. Jeden z „zasłużonych uchodźców” powiedział podobno do innego „zasłużonego uchodźcy”, że nie będzie siedział przy jednym stole z kimś, kto jest czerwony. Gdy jeszcze ktoś inny powtórzył to porucznikowi, ten postanowił zniewagę zmżyć krwią. Tak nakazywał mu honor i kodeks Bożlewicza, najwyższy w sprawach honorowych autorytet. Dalej zdarzenia toczą się lawinowo, choć na szczęście bez-

⁹ M. Choromański: *Słowacki wysp tropikalnych*, Poznań 1968, s. 12.

¹⁰ ibidem, s. 11.

¹¹ ibidem, s. 35.

krwawo, a wszystkie spowodowane plotką o kaloszach, a następnie plotkami na temat tamtej plotki. Plotka staje się piętrzącą ogarnia całe środowisko, to że paraliżując, to unerwiając. W konsekwencji Plusk-Zawily skazany został, także w myśl kodeksu, na włączenie w swoim własnym pokoju i ulaskawiony dopiero po pół roku. Paradoksalne skutki zdarzenie to wywarło także na całym środowisku emigracji. Podzieliło ją mianowicie na zwolenników MSZ i zwolenników wojska!

Narrator Choromańskiego posługuje się plotką bez zażenowania, traktuje ją z powagą, a nawet atencją. Wyrazem tego jest skrzętność, z jaką przytacza każdą taką „półoficjalną prawdę” z najdrobniejszymi szczegółami, a niekiedy — w kilku wersjach!

W powieści *Głównictwo, mogiłtwo i praktykarze* narrator konfrontuje trzy wersje biografii jednego z bohaterów zdarzeń — urzędnika konsulatu Naddwornego. Różnią się one zasadniczo, poczynając od kwestii urodzenia bohatera. Według pierwszej biografii matka Naddwornego „była Ukrainką, a abecadło jakiego się nauczył, było zrazu cyrylicą. Swego czasu brał udział w wsiach lwowskich, będąc przy tym nie po naszej stronie... itd”¹³. Według drugiej biografii „we Lwowie Naddworny nigdy nie mieszkał, a matkę miał Polkę. Jako prawie niedorostek przypłacił się do naszych żołnierzy w czasie wyprawy na Kijów... itd”¹⁴. Trzecia biografia mówiła jeszcze inaczej: „Naddworny w wojsku nigdy nie był i posiadał kategorię D. To jeszcze w kraju poznał swą towarzyszkę życia, posiadającą na prześcieradłach, ręcznikach i chusteczkach wyhaftowane korony o śledmiu palkach... itd”¹⁵. Narrator podsumowuje następnie wynik konfrontacji: „Jak widzimy, we wszystkich trzech wersjach tylko jeden szczegół występuje stale: znazona koronami bielizna”¹⁶. Ani jeden ze szczegółów którejkolwiek z przytoczonych wersji biografii Naddwornego, ani nawet korony na bieliznie jego małżonki nie mają żadnych konsekwencji. Anegdota tę prowadzi na ślepy tor narracji. Trzykrotnie powtórzony szczegół stał się sygnałem ważności i jak się później okazuje — był to sygnał zupełnie przypadkowy, błędny. Narrator pod pozorem nadmiernej skrzętności w podjętych czynnościach opowiadania zakpił z czytelnika.

Informatywność plotki jest potencjalna, ujawnia sensy i konteksty w zależności od sytuacji odbioru. Wskazane cechy wypowiedzi, której kod czytelnik bezbłędnie identyfikuje jako jej kod służący Choromańskiemu do pobudzenia ciekawości czytelnika, a także do rozszyfrowania informacji i udzielania jej nie wprost i nie do końca. Konwencja plotki pozwala Choromańskiemu na manipulowanie relacjami odbiorcy, na epatowanie go i oszukiwanie. Szkieletowo tego przekazu, aluzyjność, niedomówienia, na jakich się zasadza pozwala na taką budowę wypowiedzi, by jej podtekst można było w każdej chwili unieważnić, zlikwidować. Czytelnik uważa wskazaną konwencję za obowiązującą do czasu, gdy jawnie zostanie przez narratora uchylona. Kiedy narrator nie sygnalizuje unieważnienia, odbiorca zyskuje pewność, że kod wypowiedzi jest stałe ten sam i kieruje swą uwagę nie na jawne sensy, lecz — zgodnie z odebraną dyspozycją — jest w stałej gotowości do rozszyfrowania ukrytych znaczeń i podtekstów. Sygnałem dla odbiorcy jest już stylistyka: „mówiono”, „ktoś wdział”, „rzekomo”, „podobno” itp.

Narrator powieści Choromańskiego w konwencji plotki opowiada nawet o tych zdarzeniach, w których brał osobiście udział. Każda banalna anegdota w odpowiedni sposób opowiedziana nabiera pikantnego charakteru. Choromański wyznaje zasadę, że dobra powieść powinna przyciągać uwagę czytelnika sposobem narracji, powinna go zaciekawiać i rozbawiać. W *Milonym atlasie* jedno z trzech mott stanowi słowa Chaplina: „Bo ci, co rozśmiewają ludzi, cenniejsi są od tych, co każą im płakać”.

Często stosowanym w narracji chwytym jest budzenie ciekawości czytelnika prośbą narratora o dyskreję lub też takie opowiadanie szczegółów anegdoty, by zyskała ona, często niezastuszone, barwy i skandaliczne smaczki.

Powieści Choromańskiego są potwierdzeniem wysokich umiejętności autora w sztuce interesującego opowiadania. Udowadnia on jakby swoimi książkami, że cała tajemnica warsztatu pisarskiego polega na tym, by umieć obserwować życie, a potem umieć je opowiedzieć. Bardzo prosta recepta, lecz niezwykle trudna do wykonania.

Cała narracyjna strategia powieści Choromańskiego sprowadza się do igrania z oczekiwaniami odbiorcy, do utrzymywania go w niepewności, czy dwuznaczność wypowiedzi jest założona przez narratora, czy też wynika tylko z jego własnego nastawienia. Wyrafinowany sposób opowiadania zdarzeń, lub lepiej — plotkowania o zdarzeniach, jest dla Choromańskiego okazją do przewrotnego demoralizowania czytelnika. Plotki wszakże dotyczą często tematów — tabu. Narrator *Milonego atlasu* tak zaczyna swoją opowieść:

Genitalia, przepraszam. Mamże rozpocząć od nich? A czemuż by nie? — powiesz — wielkie mi rzeczy, kto tego dobrego nie ma!¹⁸

Swoją opowieść adresuje do młodej czytelniczki, harcerki, coraz wystawiając jej skromność (a właściwie — ciekawość) na trudną próbę. Opowiada jej aluzyjnie o erotycznej przygodzie Witkacego, o imponujących organach adwokata Szmucfingiera, o dwuznacznej roli służącej Łajbów, z którą wysłano do Wiednia na naukę 17-letniego Kleona.

Omawiana forma wypowiedzi oznacza się szkieletowo, opartej umownym skrótem, jest jakby partyturą, której wykonanie jest każdego razu nieco inne. Narrator Choromańskiego jest „wykonawcą” wirtuozem. Po mistrzowsku rozwija szkic, drobiazgowo budując plastyczny obraz jakiegoś zdarzenia, a także obszerny jego kontekst. Banalna treść plotki zyskuje w narracji wspaniałą formę językową, staje się stylizowanym arcydziełem. Sposób opowiadania Choromańskiego nadaje plotce salonowy wdzięk, a czasem nawet uszlachetnia wiadomością rodem z magla. Sprawia, że plotka przemienia się w interesującą anegdotę, której wysłuchiwanie w żadnym razie nie może przynieść ujmę. Narrator powieści Choromańskiego umie stworzyć specyficzny klimat podniecającej, ale dalekiej od trywialności sensacji, który zapewni odbiorcy przyjemne poczucie, towarzyszące mówieniu o bliźnich półgłosem. Nawet nie spostrzeżga on, gdy daje się wciągnąć w pulapkę, pozwala narratorowi zakpić z siebie. Pod pretekstem odkrywania wraz z narratorem powieści *W rzecz wstąpić* ciemnych mechanizmów działania dobroci, jaka go nawiedziła, ochocho, bez najmniejszych podejrzeń daje się wprowadzić w nader intymne — i na dobrą sprawę wcale nie natury etycznej

¹³ M. Choromański: *Głównictwo, mogiłtwo i praktykarze*, Poznań 1971, s. 295.

¹⁴ Ibidem, s. 295.

¹⁵ Ibidem, s. 296.

¹⁶ Ibidem, s. 296.

¹⁸ M. Choromański: *Milony atlas anatomiczny*, Poznań 1974, s. 9.

— tajemnice alkowy Dominika Mniejszy. Dowiaduje się, iż radca MSZ uposłedzony wstąpieniem weń niezrozumiałej dobroci ulitował się nad proszącym zezem żony Ludwiczki oraz nad budzącymi obrzydzenie jej „kosteczkami” i spełnił wreszcie małżeński obowiązek. Czytelnik całkowicie poddaje się narratorowi, przyjmuje wyznaczone sobie role, bezwiednie biorąc udział w przelamywaniu konwencji obyczajowych, etycznych, estetycznych, literackich. Daje się zwieść błędnym sygnałom ważności, nabrać na rzekomą autentyczność opowiadanych historii. Czytelnik ten musi jednak nie tylko biernie poddawać się odbiorczym dyspozycjom narratora, lecz powinien być świadom prowadzonej wobec niego gry. Od jego literackiego wyrobienia zależy czujność, z jaką reagować będzie na każde posunięcie narratora, sukcesywnie rozszyfrowując reguły narracyjnej strategii. Oczywiście, czujność nie ustrzeże go przed popełnieniem błędów, które są założoną i przewidzianą reakcją odbiorcy. Musi on jednak uświadomić sobie, że narrator od początku zmierzał do tego, by wyprowadzić go w pole. Daremnie więc oczekiwał, że narrator *Kotłów* będzie — jak narrator powieści kryminalnej prowadził wobec niego grę fair play i ujawni rozwiązanie zagadki morderstwa, lub że narrator *Różowych krów* swoje 500-stronicowe opowiadanie rozwijane w gęstniejącej atmosferze sensacyjności doprowadzi do opisu autentycznych sensacji. Popełnił by jednak błąd, gdyby zawód, który go spotkał przypisywał „błędem kompozycji” tych powieści. Narracja tej prozy jest tylko pozornie chaotyczna, tak jak tylko pozornie nieudolny jest jej podmiot. Amorfizm kompozycji jest wewnętrznym założeniem powieści Choromańskiego, a cała strategia narracyjna zawiera faktycznie precyzyjną i przemyślaną projekcję zachowań i reakcji odbiorcy, łącznie z uczuciem rozczarowania przewidzianym w przypadku czytelnika o niezbyt dużym doświadczeniu literackim. Zna wcy literatury proza Choromańskiego zapewni, zgodnie z cytowaną wypowiedzią Chaplina, dobrą rozrywkę oraz dużą satysfakcję, jaką daje zarówno przyjmowanie narzuconych przez narratora ról, jak i rozszyfrowanie jego chwyłów.

Alina Kochańczyk

Wolność sztuki jest niewiele warta, jeżeli za cel stawia sobie wygodę artysty.

Albert Camus

JACEK PANKIEWICZ

PROZODIA

ZAMIAST PROLOGU

Pamiętam, jak zauważyłem kiedyś:
„Jeżeli miałbym się stać człowiekiem, jakiego mam na myśli — musiałbym zostać kimś zupełnie nowym, ale to oczywiście drogą tak dalekiej przemiany siebie.

Boże, ileż to pracy trzeba — wydaje mi się to wszystko wprost nie do uwierzenia! Ile sił przy konstytucji tak słabej i niemal ułomnej...

Ależ to jest właśnie do zmiany!”

PROCES O LAS

Procesuj się o siebie w ten właśnie sposób. Nieustannie prowadzonym procesem. Miej odwagę odsłonić się aż po najdalsze konsekwencje swej przypadkowej historii. I zdaj się na to!

Inny pewnie nie ma takiej miary swoich myśli. Ani choćby myśli, która by mierzac — dała uspokojenie.

Nie jest twoim tylko ryzykiem — jak nie jest już misją, bo cel ostateczny nie najważniejszy. I nie jest jak zwykły sądowy proces. Choć siebie jako stronę powołując — podśladnym się stajesz. Ale przyjąć na siebie w nim musisz nieomylnie powołanie.

By las, w który wszedłeś, nie był odtąd już nigdy — nie samym lasem, czy nie lasem tylko.

I przestań się godzić z jednym faktem, przestań usprawiedliwiać. Fakt jest siłą ledwie. A siła — rzeczy bezwładnością.

BAJKA

I rzekł król do nadobnej, w czas po ucieśnej pieszczotce:
(To będzie moje pierwsze powiedzenie królewskie.)

Im więcej będziesz, o nadobna, wszystkiego szukać poza mną, tym więcej piękna znajdziesz we mnie. To ja jestem zarazem wszystkim, czego i we mnie nie ma.

Nauć się szukać! Szukać!

Ona mu na to:

Jeśli z tego powodu, o panie, ma mi być dobrze z tobą, to się douczę.

To była odpowiedź godna już nie tylko księżnej, ale i pierwszej nałożnicy króla.

CZYSTOŚĆ PRZEKONAN, CZYLI PIERWSZA MŁODOŚĆ IWONY

Jestem niewdzięczna, ale nie naiwna. Stara mówi, że nie znam życia i ufam za bardzo ludziom. A ja jestem uparta i się nie myślę — w ogóle nie potrafiłabym się pomylić! Mam już dwiętnaście lat, znam Włochy i Francję oraz drogę z domu do szkoły, bo wymagano ciągle, żebym się uczyła. A stara podbiegała mi kosmetyki i myślała, że stale tak będzie.

Pierwsza teraz rzecz, jak już się wyrwałam, to zamknąć się w innym domu.

Mieć czas dla siebie i nie robić niczego poza tym. Niech nie myślą, że do nich kiedykolwiek wrócę! Jak zadzwoni, powiedz, że pomyłka, albo że apteka.

Jestem wierna swoim przekonaniom i basta!

ŻYWE KLASY

Nie poznałbym go, gdyby nie był zapowiedziany. Starzec taki, trochę sprzed wojny, trochę z innych stron świata, nawet z innej planety. Ale mówił pewnie, do rzeczy. Ciekawiej od wszystkich co tam byli, to pewne.

Wyrozumiały mentor — na pewno sam chciał, widzieć się takim.

Przyglądając się jego twarzy nabrałem pewności, że to łukami pomarszczone czoło i symetrycznie falujące linie policzków, ta uroda funkcjonalna i aż wzbudzająca zgrozę ascetycznością wyrazu — skutkiem choroby jest. Ale może i niekoniecznie, może po prostu została s p o r z ą d z o n a.

Lat temu kilkanaście zaledwie był o rok starszy ode mnie. Dziś — co najmniej o kilkanaście, a może i ponad dwadzieścia. Moja z początku niewiara w żywą, ludzką prawdziwość tego teatralnego oblizania to była pamięć chłopca, który mi się przyglądał, z zazdrością pewnie, chłopiec stojący już sztywno w grupie oficjeli, co zdążył pośród nich wniść, ale jeszcze się nie poczuł. Uwiera go garnitur i spojrzenie ma z postojem, bo potoczność jego stoi obok, za plecami, ramieniem. Za dużo w tym, co widać, co sam teraz czuje, było nieruchawości. Niby bezradny, ale już dumny z siebie, schizofrenik, z przytroczonymi do podłogi podszewkami.

No i został własnym reżyserem. Nogi niosły go po urzędowych ruchomych schodach. Oblizanie nabrało cech imponującej konstrukcji.

I tylko niejaka bładość jest jeszcze tropem dla mojej wyobrazni. Dla mojej i może jeszcze paru innych.

PODOBIENSTWA

Z ubogim nie mów o pieniądzach, z ograniczonym — o horyzontach.

Urazisz ich, kiedy wspomnisz tylko, czego im bardzo nie dostaje.

Przypodobać się ubogiemu ubóstwem własnym (bo takie znajdziesz — odzyskaj je!), ograniczonemu — swoją skłonnością do upraszczania.

Gdy staniecie na wspólnym gruncie — łatwiej w a m pójdzie. Zaczniecie pędzić w tę samą stronę i zapominać, jacyście różni. Także o wspólnej boleści, na którą patrzycie z obu stron.

PIES OGRODNIKA, CZYLI TAKIE SOBIE MROWISKO

Na ulicy, przed spacerem, postanawiając się, którą stronę wybrać — przeżywam prawdziwą rozterkę. Pomiędzy tym, co robiłbym normalnie teraz sam, i tym, co jak uświadamiam sobie, robią gdzieś akurat inni.

To tam, pośród nich być może, rozgrywa się moja prawdziwa szansa — której nawet nie znam...

Stąd właśnie, z uświadomienia rozterki, wynika pewne wyjaśnienie, może usprawiedliwienie nawet: nieuprawiania własnego ogródka. Powiedzmy otwarcie, to tylko zwykłe subiektywne niedomaganie, które — z boku patrząc — do odrobienia jest i nie musi przeszkadzać w niczym!

...no a obok stoją inni właśnie, skrupowani podobnie.

— Nas jest większość — powiadają. — To i pewnie mają rację.

KROK ZA FALĄ — KROK PRZED FALĄ

Ustepliwy już jestem od dziecka.

Przed gwałtownością ojca. Przed entuzjazmem gracza. Dla czego, zdawałoby się, muszę przegrywać nawet w bilard z nowicjuszem?

Uderza on w kule tak, jakby każda wpadająca w otwór doliczała mu ważny punkt, i to nie tylko w liczniku rzeczy udanych, a i ze wszystkich najważniejszych; to już nie zarobiona złotówka, to zapal, który wyzwoilił się ponad wszystko i dlatego nie zna miary!

Ileż energii musiał mieć przedtem, zaoszczędzonej dla tego entuzjazmu! I jak nie współczuć mu — nie uznać jego wygranej za najważniejszą?! Jego entuzjazm jest już i moją sprawą. Bo ja go wyzwoiliłem! Ani mi w głowie przeciwstawić reguł gry,

czy własną wygraną — o którą musiałbym się jeszcze postarać — żeby w końcu zniszczyć to wszystko.

Czyż to nie znacznie ważniejsze od zwycięstwa? Błażej wspominał, gdzie fala goni falę — i musi?

Bo jest przed następną.

POD POMNIKIEM

Ulica i miasto tego wieczoru podobały mi się. Było świeżo i czulem, że niedługo zacznie być zielono. Nawet nie pomyślałem, że teraz, po dziewiątej wieczór, idąc sam, mógłbym być gdzie indziej tak na swoim miejscu, jak właśnie tu. Choć w nogach czulem zmęczenie, zawróciłem jeszcze raz w tę samą ulicę. Po drugiej stronie mijal mnie ktoś znajomy, na szczęście nie zauważył — i wtedy podszedłem do stojącej na skwerku ławki. To ciekawe, wszystko wyglądało tak, jakby jeszcze przed chwilą siedziało tu mnóstwo hałaśliwych osób, a teraz taka cisza. Widocznie przed sekundą odeszli.

Kiedy tylko usiadłem, było tak, jakbym się z góry spodziewał, co się stanie. Podchodzi do mnie z chodnika jakiś mężczyzna i prosi o ogień. Podchodzi z psem, ale pies zaraz się gdzieś oddalił. Nie mam ognia, mówię mu, a on jakby nie wierzy, czuje się zawiedziony i prosi, żebym wobec tego zgodził się z nim zapalić papierosa. Wyjmuje z kieszeni sporty, carmeny, caro, wszystkie pudełka pognicone, i widzę że mu na tym bardzo zależy, by mnie poczęstować.

Zgodziłem się i pobiegł, dosłownie pobiegł na ulicę poszukać kogoś z zapalnikami. Z głębi skweru wychodzi jakiś student, spytałem go o zapalki, przybliżył się, podał ogień, przywołując częstującego, student odchodzi, a ja zaprosiłem tamtego, żeby usiadł.

Siadł na rogu ławki i śpieszy się, by mi powiedzieć:

— Pan jest bardzo sympatyczny człowiek, więc ja też, aby nie tracić darmo czasu, od razu się przedstawiam: jestem wariat. ha-ha! Wariat — to pana nie odstrasza?

— Nnie — uspokoiłem samego siebie. — Pan jest też sympatycznym człowiekiem. Możemy sobie porozmawiać.

— To dobrze, to dobrze. Panie, a panu od razu powiem, od już przechodzimy do rzeczy!

— Cenię szczerść! — powstrzymałem go chłodno, ale on to i tak przyjął jak coś zachęcającego.

— Jestem za Słowackim, Żeromskim, Dostojewskim i Wałkowiczem. U Żeromskiego cenię przede wszystkim styl, ale wariat jestem, to prawda, dwie rany na wojnie — wskazał na czoło — od tego. Generał — tu wymienił znane nazwisko — walczył ze mną razem, ale już dziś się do mnie nie przyzna. Mam

odznaczenia, ale nie latam, bo wie pan, wariat, ha-ha! Latać nie dają, skądże... „Teraz nie pora” — zanucił. — Pan pamięta „Ostatnią niedzielę”?

— Bo to ostatnia niedziela? Znam.

— Niemożliwe, pan pamięta?

— Też mam swoje dziełki.

— A ja mam już syna w wojsku, zapasnik, i psa, też zwichrowany dzikus — patrz pan, jak on się papie w kaluży.

Rzeczywiście pies czegoś szukał na dnie.

— To topielec, pan wie? Tylko że jeszcze nie zdążył. Ja mu nawet nie daję imienia, bo szkoda. Dzikie pies, panie, boi się suk.

— Pan z nim tak stale spaceruje?

— Dzisiaj zrobiliśmy z piętnaście kilometrów. To akurat, jak jestem w domu. A żonę też mam, ale z nią nie chodzę. Spieć zawsze sam i to na łóżku połowym. Pan nie uwierzy: córki moje to jak dwie tyki — o — takie, a ja nie jestem duży, i co pan na to?

Dopalił się mój papieros, zgasiłem, on też swój — odrzucił, tym samym ruchem ręki wskazując pomnik!

— On też jest dobry — do matury. Co prawda to prawda, ale zły nie jest. Cenię go, choć w Paryżu to koleś szpetnie przysadzał, co nie?

— Zaraz, zaraz...

— No ty...

— Nie, poszł won durak, tak powiedział.

— Cenię go, ale czy tamci inni to nie powinni mieć pomników? Powiedz pan!

— No, sądzę, że powinni.

— To pan jest prawdziwy romantyk, ja to w panu od razu znalazłem.

Wyjął długopis i zapisał coś na sportach. — Dziękuję panu, bo tak to nie miałem do kogo... Zaraz, a po angielsku pan umie? Bo ja to chodzę na takie studium i wczoraj oblałem egzamin.

— Z angielskiego? A jak pan był lotnikiem, nie uczyli?

— No tak, ile tego...

— Muszę już jechać. Czas.

— Panie, ja pana bardzo proszę: bardzo proszę, niech pan weźmie caro, carmeny, jakie pan chce, proszę wziąć ode mnie, koniecznie dwa. Będę bardzo wdzięczny, dziękuję! I'm sorry. Inaczej nie umiem, nie potafię.

— Ja też się cieszę z tej rozmowy. Z pana miły, sympatyczny człowiek.

Spojrzał na mnie bardzo pocziwie, wstał i zdecydował tonem wyroczni, bez odwołania:

— Będziesz wiecznie młody. Nigdy się nie zestarzejesz. Proszę cię, nie zapomnij nigdy o tym!

Rozeszliśmy się. Ja sam w swoją stronę, on został z psem. Zaczęłam gwizdać jakąś swoją melodię — była przy mnie cały czas, dopiero teraz zabrzmiiała.

PORANNY ZNANY MOTYW

Postanowiłem skrócić oczekiwanie na jego przyjście. To nie musiało być zresztą dziś. Nawet za tydzień nie byłoby za późno. Myślałem tylko, że mógłby przyjść dzisiaj. Usiadłby za stołem, naprzeciwko, i zaczęlibyśmy, niby o interesach.

Nie powiem, żeby łatwa to była rozmowa. Nie mamy wspólnych interesów, żadnych interesów nie mieliśmy ze sobą. Więc gdyby nawet przyszedł, nie mówilibyśmy o interesach.

— Moglibyśmy za to — o jakichś przyjaciółach czy pogodzie. Mówić o przyjaciółach z kimś, kto dopiero miałby tutaj przyjść. Z kim o niczym jeszcze nie rozmawiałem. Wyjawiać swoją przyjaźń uprzedzając ją właściwie?

Powinnością wprawdzie mówić o pogodzie. O pogodzie, ale nieszablonowo. Zanim ktoś nie zdradzi się ze swymi obyczajami.

Albo bez krztyny poufnych informacji nie może być nieszablonowych rozmów!

O pogodzie można też najzwyczajniej. Jak co dzień, od komunikatu. Potem nastawiam się na słuch — i już zagłębiam się w cudzych myślach! Rzecz w tym tylko, żeby umieć przejść tak najzwyczajniej.

Albo nie będzie rozmowy. Przyjdzie, usiadzie naprzeciwko, za stołem, nie jako interesant ni współnik, nie jako ktoś do snucia opowieści o różnych wspólnych przyjaciółach. Przecież ich nie mamy.

Cisza. Przyjdzie i będzie cisza. Albo nawet — przyjdzie i będzie, jakby go w ogóle nie było!

Więc może on tu jest? Tylko jakby przy nim mnie nie było?

JEJ SŁOWA

O, nie może być już między nami równość! Gdy zjawiała się przed kinem z tym uśmiechem — zaraz odwracali się wszyscy! Czekałem nastrozony jak gbur — naprzeciw takiej kobiecości! A nie balamut, co zapomina się na moment, by — rozpalic to zadiwienie publiczne...

Rano, dzwoniąc do niej, skwapliwie na wszystko się godzilem. — Jesteśmy tacy sami! — wykrzykiwała w telefon. — Oboje jesteśmy pechowcami!

— Tak, to jest prawda, dlatego będziemy się wspierać!

Oczywiście, nie dotrzymałem tej obietnicy. Dlaczego?

Do kina przyszła spóźniona jak należy. Lecz zdążyła jeszcze rozpocząć coś, co w myślach pewnie nosiła już od dawna. Nigdy dotąd jej się to nie spełniło! Wydarzenie — wejście na oczach tłum! Wejście — wydarzenie!

Moja zaś rola to rola sprężyny wynoszącej całe to zachcenie

w konkretność! Ani na moment nie mogłem zapomnieć, że się tak dałem zaskoczyć! Gdybym przynajmniej tę obronę pozycji własnej przełożył mógł na później! Przecież nie miałem żadnych obaw...

Ktoś myślący trzeźwo — spojrzałby na to inaczej. Ale czy widziałby ją tak płynącą w powietrzu, przychodzącą? Pewnie nie widziałby jej wcale. I tak jednomyślny i wdzięczny był jej tłum, kiedy się na swym spodziewaniu nie zawiódł!

Mogliśmy nie zawiązać się wzajemnie, będąc już w domu, pozbawieni tej radości publicznej i świadków.

— Rozłóż tapczan — poprosiłem — poszukam czegoś w lodówce.

Niczego nie znalazłem, postawiłem tylko czajnik na gaz.

— Muzyki żadnej nie masz.

Włączyłem. Rozlałem. Wypiliśmy po jednym.

— Dlaczego znów stoisz? — pytam.

— Nie zabawiasz mnie. Łóżko każeś mi ślać. A cóż to ja jestem — od ścielenia?

— Pewnie się pomyliłem, przepraszam.

— Dlaczego więc tak mnie traktujesz?

— Ale jak niby?

Gdy wróciłem z herbatą, przytomniej na wszystko spojrzałem. Zrozumiałem, że słowa, jej słowa, rzucone przed chwilą, pytanie urażonej czeka nadal na mnie i ściga. Ona nie da mi go pominąć. Jakikolwiek będę — liczyć się może tylko to pytanie. Nie ma już między nami równości. To dalej gwiazda!

Wycofałem się, boczkiem do garnków, zmywania — coś przełożyć, coś wyrzucić. Aż zebralo się to i we mnie, coś lekkiego, co mogłem już wypowiedzieć bez wysiłku. Jakbym na to czekał!

— Zdaje mi się — powiedziałem jak najłagodniej — że nie będę już mógł spędzić z tobą tego wieczoru. Wybacz!

Parę słów — a jakbym się dowiedział, na co reaguje. Zwróciła na mnie uwagę!

I niezgrabnie zaczęła się zbierać.

— Wiesz, to dobranoc... mój drogi!

Choć zdziwiłem się na jej słowa — były wzruszające!

AMOR A PSYCHE

Mężczyzna patrzy pod nogi, na porastającą trawą krawężnik, idzie do kłody. Ci, którzy go mijają, nie popatrzą w jego stronę, wola nie stykać się spojrzeniem.

Pies podchodzi do siedzącego na kłodzie człowieka, zwraca ku niemu głowę, zatrzymuje się, patrzy chwilę, odwraca i dopiero wtedy odchodzi — niespiesznie, bo jego pan tak właśnie zachowywałby się tu, gdyby takie zachowanie było mu jeszcze w głowie.

Istoty swojskie, o mniej wyćwiczonych formach, interesują się, co tu dużo mówić, byle czym! Taki mija człowieka i bez powodu weszły w trawie, obskakują cały krzew agrestu — i to musi jeszcze za nim iść opiekunka! Dziewczyna podchodzi, również zaczyna szukać w trawie, wyjmując z kieszeni lusterko i grzebień, na dobre przestraja sobie włosy.

Mężczyzna, na którego nawet nie spojrziała, myśli już, że to wszystko przez niego.

— Czy on je trawę? — pyta.

— ...Tak — odpowiedź spada z góry, nie od razu. Niech on w tej zwłoce i nieprzerwanej pracy nad puklami zauważy jej naturalność.

— Jarosz — o, to się rzadko zdarza wśród psów.

— Śledzie też lubi — uzupełnia dziewczyna. — Jak tylko zobaczy papier, to zaraz leci.

— Papier?

— Po śledziach.

Przypatrjuje się teraz już odważnie gospodarzowi klody. Zaraz dodaje speszona, żeby to patrzeć było nie za długo.

— Z takim to jeszcze trudniej niż z dzieckiem.

— Ale ten, o widzi pani — co tam idzie. Pies jak filozof!

Po dłuższej chwili:

— Wolałabym jednak mieć dziecko.

Mężczyzna ledwo wierzy sobie i zaczyna przyglądać się jej coraz dokładniej... Ależ z całą pewnością, tak — może je pani mieć! Trzeba być człowiekiem cynu!

— Chyba tak — godzi się melancholijnie dziewczyna.

— To... jakiej on rasy, ten pani pies?

— Pies? To jest wilk!

— Ładna rasa.

Ale teraz nie ma już nic do dodania.

— Amor, Amor, chodź! — woła dziewczyna.

Ale Amor znalazł sobie papier i nie idzie.

— Chodź Amor, dość już, idiemy!

Bierze psa na ręce, pod szyję i łapy, uniósłszy go wysoko zwraca się jeszcze ku mężczyźnie nieśmiało, skromniej niż dotąd i nie patrząc wprost.

— To... przepraszam. Do widzenia.

Odczuł to tak, jakby stało się coś złego. Z jego przyczyny!

— Proszę — odpowiada bardzo grzecznie, speszony.

NA LANDSZAFECIE

Słońce dawno zapadło już w wodę, landszaft był jak landszaft. Właściwie postlandszaft. Pora była bowiem trochę już szara, a trochę szarobłękitna, nawet szarofioletowa?

Stałem na ostatnim przy brzegu kamieniu, by nie grzęznąć w

piasku, choć w garniturze nie do tego miejsca. Ale do pory. Stałem dla landszaftu, postlandszaftu, jak kto woli, zupełnie /jak wielu innych.

Przychodzili, postali milcząco, przed odejściem pozerkiwali na mnie, to obowiązkowo, jakby musieli się usprawiedliwić przed kimś z takiej małodusznej, zbyt skąpej gorliwości. Nie w ich stylu było to zapatrzenie się, usprawiedliwiali się, że nie oni sami, lecz i ktoś jeszcze żyje na tym świecie, więc odedają szybko... Przychodzili zresztą następni.

Musiałem tedy znaleźć jakieś zajęcie dla oczu, żeby nie patrzeć na to tylko i nie czekać, aż oni popatrzą na mnie — tak, nie czekać! I tak zaraz zaczęła odchodzić. A ja musiałem coś mieć dla siebie, i to nie tylko dlatego, żeby nie zwracać na nich uwagi. Choć, wiadomo, nawet i na nich zawsze to robi wrażenie gdy tylko...

Miałem wolny kwadrans, a stałem tu już chyba z pół godziny. Miałem wpięty w kwadrans znaleźć sobie zajęcie — a na morzu było coś, bardzo małego i bardzo daleko, punkt prawie, choć może i mały stateczek! Kto go tam zresztą wie, czy mały, to było bardzo daleko, i nic więcej nie było widać, choćby dla porównania. Skąd miałem wiedzieć, czy to tylko jedno światło zapalało się i znikalo, czy więcej?

Czy sam on przerywał to światło, czy przesłaniała go fala? Fala wieczorna była, przypływ... Włec jeśli go nie przesłoniła w pełni, to musiał mieć niemało wysokości, żeby się odsonić.

I wtedy pomyślałem, że to musi być sygnał. Sygnał wysyłać musi statek albo łódź, która wzywa pomocy. Wypłynęli za daleko, a teraz czegoś tam brak im, żeby wrócić.

Nie widziałem w pobliżu przystani ani portu, skąd by ktoś mógł, jak ja, zobaczyć tamten sygnał. Popatrzyłem na siebie, po ludziach przychodzących na landszaft. Żaden z nich albo nie widział — albo nie chciał widzieć, co się tam dzieje!

A więc to naprawdę tylko ja jeden wiem o tym sygnale — albo przynajmniej się go domyślam?

Popatrzyłem na przychodzących — i ci odedają jak poprzedni... może alarmować ich, zawołać do pomocy?

Ich wzrok — ich słabszy od mojego! Stoją nieruchomo, ale zaraz szybko znikają.

Więc jakimś był sam, od początku? Gdy ktoś samotnie wzywa pomocy?

Jacek Pankiewicz

STANISŁAW ŻUREK

czujesz ból matko To twoje dziecko
opuszcza ciebie To boli Czujesz
jest coraz dalej od ciebie A jest
twoje Jest w tobie Jest tobą
czujesz ten ból Dopóki boli jest
twoje Opuszcza ciebie Rwie tkankę
ciała i krwi Oddala się Ale ból
trwa Ty wciąż je rodzisz

zjedz kolację Ona nie nasyci
żadnego z twoich głodów
radio włącz Abyś uwierzył
że usta nie mówią uszy nie słyszą
więc przelknij głos by cicho
trawili go trzewia
w telewizji obejrzyj miniony dzień
jakże kolorowy Może zdążysz
może zdążysz
pozostać na tym poziomie
nad poziomem morza Kto to puka
spod spodu też zagubiony
w tym wszystkim co wskazuje drogę
może zdążysz zrozumieć w okamgnieniu
to co pozostaje ponad czasem
ale wtedy też będzie za wcześnie
by mówić o czymkolwiek
poza słowami

twoją wizytówką jest bilet
kolejowy
stacja wyjściowa
stacja docelowa
odległość
cena

to wszystko co możesz
powiedzieć o sobie

bo cóż znaczy czyjś głos
który wola mijane rzeki
miasta i ludzi —
tylko ty go słyszysz
coż znaczy czyjaś twarz
z chusteczką u łyzy —
tylko ty ją widzisz
coż znaczy gdy poproszą
bilet do kontroli
a ty nie w tę stronę

ich zegary chorują na czas
dla nich jutro to wieczność
na którą będzie za późno

oni nie patrzą
sobie w oczy
aby nie ujrzeć tam
nic

oni mówią
o sobie
ale nie ma tam
nikogo

świat jeszcze we mnie istnieje
toczy się koło i porządek rzeczy
ta sama bezmyślność sprzętów
codziennej krzątaniny
ten sam kolor pantofli
to samo słońce za oknem jeszcze
we mnie świeci w tej napływającej
muzyce powietrza pełnej pragnienia
i zapachu ziemi

w pokoju gromadzi się czas
pękają zegary i boli serce
od czterech ścian
nie podnosząc głosu powyżej uszu
nie patrząc sobie w oczy
już na progu skóry rozniecam
wielki pożar niepokoju

musisz znaleźć sobie miejsce
w kolejce
jeśli nawet nie za życiem
to za dniem
dzisiejszym

musisz stanąć tak
pośrodku
żeby to było z boku

tak stanąć na przystanku
aby autobus cię nie przejechał
i aby nie przejechał obok

weź w oczy to światło białych
brzoź We wschodzie śnieżnych
zawiei — i — tak białe w nas tak
biało Przeraza śnieg tej ciszy

weź w pamięć rzucone ci grosze
życia Którymi nie wykupisz
nas ani siebie Gdyż judasz je zmieni
na trzydzieści srebrników

weź w krew głód Bo przyjaźń
pisana jest za kromkę ostatnią I nikt
nie wie czy życia nam starczy
by ból w piersiach uchował
dom — nim nas zawieje brzoź
grenlandia

i tylko to odchodzenie
poprzez drogi myśli drogi
przedmiotów prowadzi
w tobie linię
autobusową którą
dojeżdżasz do powszedniej

filozofii chleba
wyssanej z palca
głodu

weź ze sobą To
omijane w drodze
To tratowane

utul To
o co się potykasz
To nieporadne To
zapędzone w czas
To zamyślane
w światło w mrok

weź do siebie To
obok To twoje

jej muzyka drapieżne
paznokcie jej muzyka
łagodne biodra
— w niej tańczysz —
jej muzyka nie pozostawia
suchej nitki Zakwita
miesiączką — a tu
dzień dobry Słuchasz —
jej koncert podchodzi
i cicho wylamuje palce

są chwile Podchodzisz
do oczu Odnajduję
to ty
to twoje pęknięte szkło Na wardze
jak smak tęsknoty Widzisz
widzisz W moich oczach

tak patrzy
 twój wzrok Rozgarnia powietrze
 rozsypane w kryształki na skórze
 są chwile Potem
 otwieram pejzaż Horyzont
 zmniejsza się do fragmentu
 oczu Wzajem niż skóra

Stanisław Żurek

JAN MIZIŃSKI

KOMPLEKS POLSKI GÜNTERA GRASSA

Polskiemu czytelnikowi Grassa, nie znającemu całego skomplikowanego życiorysu tego pisarza, od razu narzucić się musi wrażenie, że jest to człowiek z byłych „kresów wschodnich” byłej Rzeszy. Wniosek to oczywisty dla każdego, kto przeczytał *Błaszany bębenek* lub choćby jego fragmenty w „Literaturze na świecie”. Temat polski, motywy polskie, krajobraz polski, to oczywiście w literaturze niemieckiego obszaru językowego nie nowego. Jesteśmy wszak sąsiadami na dobre i złe już ponad tysiąc lat. Pierwsza prawdziwa fala „poezji polskiej” („Polenlyrik”) w Niemczech, to lata pierwszej połowy wieku XIX, szczególnie zaś okres po upadku naszego powstania listopadowego. Ciągnęły wówczas przez Niemcy, dalej na zachód, gromady niedobitków, wzbudzając powszechne współczucie i sympatie, mimo oficjalnego przymierza trzech mocarstw po Kongresie Wiedeńskim. Zaowocowały te polityczne i czysto ludzkie sympatie seria wierszy o tematyce polskiej. August hr. von Platen, późny romantyk i poeta polityczny, opiewał nieszczęścia Polaków, upadek Warszawy (wiersz *Warschau's Fall*) i bohaterstwo ustępujących obrońców (*Nächtlicher Veichselübergang*). Późnromantyczny poeta kręgu szwabskiego, Ludwig Uhland, kończył każdą strofę swego wiersza *An Mickiewicz* zawołaniem „Noch ist Polen nicht verloren” („Jeszcze Polska nie zginęła”). Tłumaczyli na niemiecki poezję polską (i sami wiersze o polskich motywach patriotycznych pisali) inni poeci „szkoły szwabskiej”: Justinus Kerner, Gustav Schwab, Gustav Pfitzer, a także poeci austriaccy.

Znajdziemy motywy polskie, tym razem niezbyt dla nas sympatyczne, w powieści Gustava Freytaga *Soll und Haben* i w utworach innych pisarzy XIX-wiecznych żyjących na styku dwóch kultur, czyli w tzw. „marchii pogranicznej” (*Grenzmark*). Pojawienie się sprawy polskiej w drugiej fazie I wojny światowej znalazło swój wyraz w szeregu wierszy pisanych częściowo na konkretne zamówienie polityczne w związku z manifestem do Polaków cesarza Wilhelma i Franciszka Józefa, ale także spontanicznie propolskich, jak u komunisty, a wtedy jeszcze żołnierza-uciecznika Rudolfa Leonharda, pochodzącego zresztą z wielkopolskiej Leżna.

Wreszcie po II wojnie światowej szczególnie nabrzmiała po doświadczeniach faszyzmu problematyka polsko-niemiecka znalazła wyraz w dużej ilości utworów literackich, poczynając od niewielkich form lirycznych, a kończąc, jak w przypadku Grassa na całym cyklu powieściowym. Dotyczy to obu państw niemieckich. Mamy więc na Zachodzie motywy polskie, związane z ogół z własnymi, „polskimi” przeżyciami dzieciństwa i młodości w liryce Słazaków: Heinza Pionteka i Horsta Bieneka. Pomorzanina Hansa Jürgena Heise i Gdańszczanina Guntera Grassa.

Nudziarze są grabarzami rewolucji. Należałoby ich traktować jako reakcjonistów.

Ludwik Hirsztfeld

sa. W NRD znajdziemy motywy polskie zarówno w liryce — choćby u najbardziej znanych poetów, jak Johannes R. Becher i Bertolt Brecht, jak i w powieściach. Żywa dyskusję wywoływały obrachunki z niedaleką przeszłością dokonywane przez Christę Wolf (*Wzorze dzieciństwa*) i Hermana Kanta (*Pobyty*), który zresztą już w swej pierwszej powieści *Aula* nie cofał się przed nieśmiały jeszcze refleksowaniem swoich przeżyć żołnierza hitlerowskiego Wehrmachtu na wschodzie, i który pierwszą pokutę odbywał w polskich obozach jenieckich i więziennych.

W przypadku Guntera Grassa można mówić o kompleksie polskim czy nawet „zauroczeniu” polskością. Sam nie uważa się jednak Grass za pół-Polaka. Podkreślił w wywiadzie dla tygodnika „Literatura” z 18 września 1975 r., że jest synem Niemca i Kaszubki, powtórzył to przy okazji kręcenia w Gdańsku scen do filmu *Blaszany bębenek*, mówiąc o kaszubskości, której nie identyfikuje wcale z polskością. Tym niemniej właśnie polskość odgrywa w całej jego dotychczasowej twórczości rolę ważną, jakkolwiek chyba jednak nie pierwszoplanową.

Urodzony i wychowany w Gdańsku nie mógł bowiem Grass — poeta, Grass-powieściopisarz przejść obojętnie obok losów polskich przewijających się przed jego oczami we wrześniu 1939 r. i ponownie po zdobyciu Gdańska przez Armię Czerwoną. Stąd też już w wierszach tomiku *Vorzüge der Windhühner* (1959) i późniejszych (*Gleisdreieck* — 1960, *Ausgefragt* — 1967) pojawiają się polskie nazwy i krajobrazy, polski Don Kichot z białoczerwoną lancą, serce marszałka Piłsudskiego, wielokrotnie białoczerwona chorągiew polaka i polska Wisła.

Prawdziwie „polskim” utworem jest jednak pierwsza powieść Grassa *Blaszany bębenek* (1959), zresztą w swej polskości mocno miejscami bolesna. Jej podłoże jest autobiograficzne, choć Grass nigdy nie był niedorozwiniętym, złośliwym gnosem. Jakim jest jego Oscar. Był za to w tych schizofrenicznych gdańskich latach Wolnego Miasta dzieckiem, które zdumionymi oczyma patrzyło na zwiariowany świat dorosłych, którego irracjonalność do dziś zajmuje historyków, politologów, socjologów, a zwłaszcza pisarzy. Oskar Matzerath, bohater i narrator powieści, dumny jest ze swej kaszubskiej babki, a nawet z podpalacza i pijaka dziadka. Z sentymentem mówi o swoim domniemanym ojcu, pocztowcu polskim z Gdańska Janie Brońskim. W przeciwieństwie do ojca oficjalisty, sklepikarza i „straszego mieszczanina”, wreszcie faszysty — Matzeratha, ten polski, domniemany jawi się czytelnikowi jako mężczyzna godzien miłości matki Oskara, który jej te zdradę małżeńską wybaczają, jako marzycielski pięknotuch. W postaci Jana zawarł pisarz wszystkie swoje, mocno w gruncie rzeczy uproszczone i schematyczne, wyobrażenia o polskim charakterze narodowym, opiewanym także w wierszach. Przywiązanie do tradycji, nieprątność, marzycielstwo i melancholia połączone z rycerskością — oto zespół cech charakteryzujących tę jedyną w stu procentach polską spośród głównych postaci powieści. Jest w jej opisach i pobliżalność, przy-mrużenie oka, jest i coś z wyrzutu. Jan Broński puszu mianowicie małego Oskara wobec bohatera polskiego Polaka, gdy w czasie obrony Poczty Polskiej w Gdańsku 1-go września 1939 r. kryje się bojaźliwie w budynku, do którego zresztą dostał się wbrew swojej woli, i gra w karty zamiast strzelać. Zaraz potem jednak i ta niepewna, bojaźliwa postać niby-ojca wraca w rejony światła: Jan Broński wraz z innymi obrońcami poczty pada pod kulami plutonu egzekucyjnego, a mur starego cmentarza na Zaspie

staje się miejscem pielgrzymek Oskara i punktem odniesienia gdańskich wspomnień w dalekiej Nadrenii po wojnie.

Stałym niemal motywem w całej twórczości Grassa jest tradycja ułańska. Powtarzają się i w liryce, i w *Blaszany bębenek*, i w *Kocie i myszy* obrazy szarzy ułańskiej na czolgii niemieckiej pod Mokraj jako przyczynek pisarza do romantycznej wizji Polski i jej całej historii. Jest w tym i podziw, i jednocześnie zaduma, i dezaprobata niemieckiego Gdańszczanina dla desperacji i krwawych choć malarsko pięknych gestów. Równie ambivalentnie ustosunkowuje się Grass do innego romantycznego zrywu w naszej historii najnowszej, tym razem bliższego i znanego sobie: obrony Poczty Polskiej w Gdańsku. Budynek przy Placu Heweliusza i jego załoga pojawiają się raz w całej grozie i wielkości straconej placówki broniącej przez herosów, to znów jako zwykły biurowiec z walającymi się kupami listów i grupką zwykłych urzędników, wśród których są i tchórze. Błyskający ogniem wystrzałów groźny bург i karciana melina w piwnicy. Epos i grotesk. Nierozłącznie związany z Grassowską wizją Polski i Polaka jest też obraz Madonny Częstochowskiej. Bohater *Kota i myszy*, Mahlke, choć Niemiec, ma dziwną słabość do polskich amuletów. Nurkując do wraku polskiego minowca zatopionego we wrześniu 1939 r. w Zatoce Gdańskiej, wyrwywa z niego różne „polskie” szczegóły wyposażenia. W jego pokoju sąsiadują ze sobą pieczolowicie oczyszczony medal z podobizną marszałka Piłsudskiego i obraz Czarnej Madonny. Z medallkiem Częstochowskiej Mahlke nie rozstać się ani na chwilę. *Pole lata* to także scenaria Gdańska, polskie postaci i reminiscencje.

Powieść *Turbot* z r. 1977, analiza naszej cywilizacji od czasów prehistorycznych, też ma swoje korzenie w czasach Grassowi bliskich. Żłownia przez bohatera bajeczną złotą rybką (u Grassa — turbot) pełniąc rolę ponadczasowego nauczyciela ludzkości, żyła „tam, gdzie rzeka Wisłata, ciągle zmieniając łózkę, wpadała do morza”. Bajka braci Grimmów *O rybaku i jego żonie Isebliss* jest w *Turbocie* kanwą do rozważań o historii stosunków między dwiema płciami od czasów neolitu. Bohater jest jednak członkiem hordy Edków, późniejszych Pomorzan, a jego kolejne reinkarnacje wiążą się z historią Gdańska aż po czasy współczesne, które po stronie feministycznej reprezentuje niejaka Maria Kuczorowa, kucharka w kantinej Stoczni im. Lenina.

Widzenie Polski i Polaków przybiera u Grassa postać stereotypu, niewiele różniącego się od XIX-wiecznego stereotypu późnych romantyków i poetów politycznych. Szlachetny, rycerski i romantyczny Polak (der edele Pole) z okresu po powstaniu listopadowym pozostał takim i w XX wieku, bogatszy tylko o jedno jeszcze tragiczne i patetyczne przeżycie: września 1939.

Nie jest to pod adresem Grassa żaden zarzut: tak on widział Polaków w swoim przedwojennym Gdańsku, takim ukształtowała go rodzinna tradycja, pełna ludowych gadek kaszubskich, ale nieświadoma zmian dokonujących się „gdzieś tam w Polsce”. Istotne jest tu, że mimo całego parcia ówczesnej antypolskiej propagandy i nietatych przeżyć związanych z opuszczeniem miejsc rodzinnych zachował Grass obiektywizm w widzeniu polsko-niemieckich węzłów gordyjskich i przyznaje się stanowczo do swych polskich przodków nieodmiennie od trzydziestu ponad lat. Oddzielony setkami kilometrów od miejsc swojej młodości, zachował fascynację nimi, a jednocześnie nie dał się zepchnąć na grunt złomkowskiego zacietrzewienia. Może pomogły mu w tym właśnie polskie „korzenie”?

Sprowadzanie twórczości Grassa wyłącznie do kompleksu polskiego byłoby oczywiście nieuprawnione. Jest on przecież przede wszystkim pisarzem niemieckim, tkwiącym w tradycji tej wielkiej literatury i związanym z losami, wzlotami i upadkami narodu niemieckiego. Mimo wszystkich historiofizycznych i filozoficznych uogólnień, najnowsza historia Niemiec i doświadczenie własne określają jednak tok twórczości Grassa. Urodzony w roku 1927 patrzył oczami dziecka na wzrastające, także w jego rodzinnym mieście, brunatne szaleństwo, które nie ominęło jego rodziny. Stał w *Blaszywym* bebeknu przejmująca, a jednocześnie groteskowa scena, w której ojciec Oskara, przez małego zlosliwca sprowokowany, połyka w panice swoją odznakę partyjną na oczach żołnierzy radzieckich i ginie od serii jednego z nich. Zdażył też Grass żyć losu „obroncy ojczyzny” jako junak obrony przeciwlotniczej i przez krótki okres czasu żołnierza Wehrmachtu. Żadne z doświadczeń jego generacji nie zostało mu oszczędzone, toteż nie dziwi fakt, że znalazł się wkrótce w kręgu Grupy 47, w jednym szeregu z katolickim moralistą Bollem i socjaldemokratycznym odnowicielem literatury powojennej na zachodzie Niemiec, Hansem Wernerem Richterem.

Historia najnowszej literatury niemieckiej zna pojęcie „straconej generacji”, której piewcą był w latach 20-tych Remarque, czytany z równym zainteresowaniem przez profesorów uniwersytetu, co egzaltowane kucharki i wykołejonych landsknechtów z Korpusów Ochotniczych. Krótki okres „Tysiącletniej Rzeszy”, a zwłaszcza sześć niemal lat totalnej wojny, rozpoczętej wszak przez większość starszych kolegów Grassa w imię ideałów uważanych wtedy za nienaruszalne, wydało na świat nową straconą generację. Dopiero w barakach obozów jenieckich mieli ci ludzie okazję przemysleć, jak doszło do narodowego amoku, zbrodni wojennych i okupacyjnych, za które także oni, młodzi wtedy i oszołomieni propagandą, ponoszą w jakiejś mierze winę. Pierwsze spotkanie Grupy 47 w majątku hrabiny Deggenfeld w Altenbeuern było zwykłym zebraniem rozproszonych dotychczas pisarzy i dziennikarzy, szukających instynktownie bliskości towarzyszy niedoli na gruzach powojennych, szukających możliwości literackiej i politycznej dyskusji, bo od czegoś trzeba było zacząć. Spektrum polityczne tych pierwszych spotkań literackich też było bardzo różne: wstępu nie mieli tylko, jak to sformułował jeden z członków Grupy, Walter Jens, „ci w szatach czerwonych, brunatnych i czarnych”. Drugie spotkanie odbyło się we wrześniu 1947 i od tej pory obiecywano sobie dwa zjazdy rocznie. Krag zaproszonych dobierał mial Richter. Programu ściśle określonego nie było i przy tak różnorodnym składzie nieformalnej przecież grupy być nie mogło. Łączyło jednak poetów i pisarzy w niej skupionych przekonanie, że zanim zaczną się tworzyć nowe, trzeba dokonać skrupulatnego obrachunku ze starym. Toteż do fall utworów, napisanych przez ówczesnych i późniejszych członków Grupy, dobrze pasuje zarówno określenie „Abrechnungsliteratur” („literatura obrachunku”), jak i „Trümmerliteratur” („literatura gruzów”). W grzechy leżały bowiem nie tylko domy, ale i wiara w jakiegokolwiek wartości ludzkie, humanistyczne, pozytywne. Trzeba ją było na nowo budować poprzez analizę przyczyn, które do jej utraty doprowadziły.

Nastroje „straconych” zebranych na pierwszym spotkaniu, do których Grass dołączył o wiele później, dobrze oddaje wyjątek z opowiadania Wolfriedricha Schnurre *Das Begrabnis* (*Pogrzeb*), rysujący wiernie stan świadomości i uczuć tego pokolenia twórców: „Nie kochany przez nikogo, nie nienawidzony przez nikogo, zmarł dzisiaj po długich, z niebiańską cierpliwością zno-

nych cierpieniach: Bóg”. Człowiek wyrwany ze swej gleby, błagający, opuszczony przez wszystkich (także przez Boga) i rozczarowany do całego świata jest więc bohaterem wszystkich niemal utworów „literatury gruzów” tego pierwszego, powojennego okresu. Böllowski Adam — żołnierz Feinhals (*Gdzie byłęs, — Adamie?*) jest taką bezadzielną ofiarą hitlerowskiej wojny prowadzonej o wielkość narodu, reprezentantem pokolenia rzuconego na ofiarę szaleńczych celów maskowanych wielkimi i szlachetnymi wówczas, a teraz, z perspektywy, po prostu tragicznie złudnymi hasłami. Grassowski Oscar Matzerath (to już rok 1959) broni się przed wszeczkogarniającym faszystowskim szaleństwem ucieczką w świat wiecznego dzieciństwa, odmawia rośnięcia, by zachować dystans wobec tego, co popelniają na jego oczach dorośli, co nie chroni go jednak wcale przed tragicznymi doświadczeniami.

Grupa 47 nie miała pisanego programu, nie wydała żadnego manifestu. Program wyksztalił się sam, a wyrażany był w utworach czytanych i krytykowanych na gorąco na wspólnych zjazdach. Protest przeciw faszystowsko-wojennej przeszłości i możliwości jej powtórzenia, wiara w możliwość humanistycznej odnowy Europy pod znakiem demokracji i pokoju, krytyka „państwa dobrobytu”, spychającego jednostkę ludzką na pozycje automatycznego wytwórcy i konsumenta — oto główne komponenty tego instynktownego programu łączącego pisarzy Grupy. Spełniała też ona przez długi czas rolę nieformalnej akademii literatury: kto przez nią przeszedł, zdobył pisarskie ostrogi i mógł liczyć na sukces. Najgłośniejsze nazwiska literatury zachodniemieckiej, austriackiej i szwajcarskiej, to ludzie związani z Grupą 47 lub przez nią akceptowani: Eich, Böll, Walcer, Grass, Ilse Aichinger i Ingeborg Bachmann, Lenz i Jens. Nie dopuszczono natomiast do grona sprawiedliwych tych, którzy splamili się choćby tylko milczeniem w latach III Rzeszy: von Salomona i Jünger, Bergengruena i Gaisera. O ile miarodajny był sąd Grupy 47 aż po lata 60-te w sprawach literatury, o tyle już wkrótce, wraz z przemianami szoku klęski wojennej, słabnąc zaczął jej wpływ na „rząd dusz”, na kształtowanie nowego społeczeństwa i polityczne ukształtowanie losów Niemiec. Stał krytyczny stosunek Richtera, Koeppea czy Bölla do niemieckiego cudu gospodarczego i związanej z nim formacji społecznej, wyrażający w podtekście bezsilność twórcy wobec tego zjawisk: stał próby bezpośredniego włączenia się w działalność polityczną, nie tylko literackiego reagowania na bieg wypadków. U Güntera Grassa rezultatem przekonania o konieczności bardziej zdecydowanego wkroczenia na scenę polityczną, by uzupełnić zbyt nieznaczne, jak się okazało, oddziaływanie dzieł literackich i słownych manifestów, był bezpośredni udział w kampaniach politycznych zachodniej SPD.

Wyrazem poszukiwania roli literatury w życiu narodu w przełomowych momentach historycznych jest jego najnowszy utwór, obszerne opowiadanie *Das Treffen in Telgte* (*Spotkanie w Telgte*). Dedykacja na stronie tytułowej „Hansowi Wernerowi Richterowi poświęcam” i zbieżność losów niemieckich wtedy, po wojnie trzydziestoletniej, i teraz, po II wojnie światowej, nie pozostawiają wątpliwości co do tego, że *Spotkanie w Telgte* to niezwykle historyczno-literacka prawpka. Pomysł — spotkanie poetów i pisarzy dla przedyskutowania spraw literackich i konfrontacji utworów — nie jest nowy. Takie fikcyjne lub rzeczywiste zjazdy poetów były niejednokrotnie przedmiotem zainteresowania ich następów w późniejszych pokoleniach. Z najnowszej literatury niemieckojęzycznej wystarczy wymienić Anny

Seghers *Die sonderbaren Begegnungen* lub Christy Wolf *Kein Ort. Nirgends*. Gunter Grass nawiązuje bezpośrednio do czasu powstania Grupy 47, nie stwarzając złudzeń co do aktualności dyskusowanych w Telgte, przed ponad trzysiąc laty przez poetów barokowych z ciałych Niemiec problemów artystycznych, ale także politycznych: „Zanotuję, co zaczęło się w Telgte, bo pewien przyjaciel, który w czterdziestym siódmym roku naszego stulecia zebrał wokół siebie takich jak on, obchodzi 70-te urodziny, jest przy tym starszy, o wiele starszy — a my, jego obecni przyjaciele też posiwieliśmy wraz z nim w tamtych czasach”.

Po wojnie trzydziestoletniej, a właściwie w jej ostatniej fazie, w r. 1647, gdy trwają przetargi o zawarcie pokoju a Niemcy leżą w ruinie, zbierając się w małym miasteczku Telgte pomiędzy Osnabrück a Munster poeci, pisarze i wydawcy ze wszystkich krańców rozbieży, ale istniejącej ciągle Rzeczy. Nazwiska są autentyczne. Organizuje zjazd i przewodniczy mu Simon Dach, nadworny barokowy poeta elektora pruskiego w Królewcu, autor nastrojowych sianek i pieśni. On więc jest w *Spökant* u w Telgte odpowiednikiem Richtera. Pieczętowanie dobieła osoby, mające w zjeździe wzięć udział, by był on dla stanu ogólnonarodowej poezji niemieckiej pierwszeń polowy wieku XVII reprezentatywny, a zarazem by nie rozleciał się pod parciem szczególnie nienawidzących się oponentów. Przybywają więc z północy Niemiec Lauremberg, Rist, Zesen i Grenflinger, z Londynu Weckherlin, ze Strasburga Moscherosch i Schneuber, z południowego Śląska Czepko, Logau, Hoffmannswaldau i inni, ze środkowych Niemiec Gerhardt, i cała plejada innych, w towarzystwie wydawców, językoznawców i muzyków. Dołącza do nich postać najbarwniejsza chyba, a również autentyczna: Hans Jakob Christoffel Grimmelshausen, zwany tu od miejsca urodzenia Gelnhausenem. Ten zabijaka, rabuś i zawołany żołnierz jednocześnie, ulubieniec możnych tego świata, to żywy produkt swojej epoki: rosgardiaszu wojny trzydziestoletniej, która w imię ideałów religijnych spustoszyła kilka krajów, a Niemcy zamieniła niemal w pustynię. Grimmelshausen, późniejszy wybitny pisarz, autor znanych powieści frantowskich, w tym autobiograficznego *Simplicissimusa*, jest jednocześnie dobrym i złym duchem zebranych poetów. Jako sekretarz jednego z pułków cesarskich, czujący się w swoim żywiole wśród palących, rabujących i gwałcących wojsk z całej niemal Europy, oddaje kolegom po piórze nieocenione usługi praktyczne. Dzięki jego znajomościom znajdują w ogóle dach nad głową i wyżywienie w wygłodzonym kraju. Z drugiej strony brak jakichkolwiek skrupułów moralnych i bezwzględność wobec ludności miejscowej razi sumienia wrażliwszych pisarzy, a w końcu prowadzi do rozstania ze zbyt bezwzględnym pisarzem w mundurze.

Sceneria kongresu pisarzy także przypomina tę, w jakiej spotkać się przyszło pisarzom niemieckim w trzysta lat później: zrujnowany kraj okupowany przez różnoróżne armie, wyłudnione miasteczko i u jego bram jakby cudem ocalała ustronna gospoda.

Postaci poetów tamtych czasów przedstawia Grass-ironista, nie oszczędzający w całej swej twórczości poprzedniej żadnych, także niemieckich narodowych świętości, we właściwym sobie, demaskatorsko-humorystyczny sposób. Są wśród nich opoje i rozpustnicy, religijanci i pieniacle. Łączy ich jednak wspólna miłość do nieprzemijającej sztuki i boleść wobec leżących w gruzach ojczyzny. Treść opowiadania wypełniają więc opisy dysput literackich i politycznych na przemian. Owocem obrad ma być bowiem nie tyle jakieś wspólne credo artystyczne, co manifest o pokój i od-

nową rzuconej na kolana ojczyzny, skierowany przez zebranych „książąt ducha” do stron walczących. Długo trwają przetargi i kłótnie reprezentujących różne orientacje polityczne i wyznania pisarzy. Zdają sobie od początku sprawę z niewielkiego znaczenia praktycznego swego manifestu, nie stoją wszak za nim żadne uzbrojone armie. Toteż i wynik jest żaloszny. Ostateczna wersja manifestu stanowi odbicie ich bezsilności, kompromis poglądów wszystkich zebranych, ostrożny apel do możnych tego świata tak sformułowany, by żadnego z nich nie urazić, a jednak zaswiadczyć o dobrej woli poetów i dać wyraz ich trosce o ojczyznę.

Słowo „ojczyzna” pisze Grass jak gdyby małą literą (jak gdyby, bo rzeczowniki w języku niemieckim muszą być dużą literą pisane). Symbolem jej jest osot — ostatnie chwile obrad i odczytanie manifestu trwają pod jego znakiem. Wymowa utworu nie jest więc optymistyczna: poeci opuszczają płonąca gospodę z uczuciem moralnego katzenjammeru, świadomi swego rozbicia i słabości wpływu, jaki wyrzucić mogą na bieg historii. Ten gorzki koniec wydaje się więc być sumą doświadczeń Grassa-pisarza i Grassa-polityka. O fatalistycznej koncepcji historii u Grassa pisał krytycy zachodniemieccy już w r. 1977 recenzując *Turbota*. Spotkanie w Telgte jest potwierdzeniem Grassowskiego smutku filozoficznego i poczucia niepewności pisarza, który chciałby być nie tylko sumieniem narodu, lecz i jego moderatorem, a który z tej drugiej roli musi rezygnować.

Jan Miziński

Dopóki wyobrażenia myśliciela na temat dobra i zła pokrywają się ze społecznie przyjętymi wzorcami tych, których chce pouczać, dopóty jego tendencyjność moralna jest nieświadoma.

Florian Znaniecki

SPOTKANIE W TELGTE

Hansowi Wernerowi Richterowi poświęcam

I

Jutro będzie, co wczoraj było. Nasze historie dzisiejsze nie musiały zdarzyć się teraz. Ta rozpoczęła się przed ponad trzystu laty. Inne też. Tak daleko wstecz sięga wszystko, co dzieje się w Niemczech. Zanotuj, co zaczęło się w Telgte, bo pewien stulecia, który w czterdziestym siódmym roku naszego stulecia zebrał wokół siebie takich jak on, obchodzi 70-tę urodziny; jest przy tym starszy, o wiele starszy — a my, jego obecni przyjaciele, też posiwieliśmy wraz z nim w tamtych czasach.

Lauremberg i Greflinger przybyli z Jutlandii, z Regensburga pieszo, inni konno lub krytymi wozami. Jak niektórzy spływali rzeką, tak stary Weckherlin obrał z Londynu do Bremy drogę statkiem. Przybywali z daleka i bliska, ze wszystkich zakątków. Kupiec, dla którego terminy i daty są czymś tak powszednim jak zysk i strata, mógłby się zadziwić punktualną gorliwością tych zwykłych mężów pióra, jako że miasta i wioski ciągle jeszcze lub ponownie leżały w ruinie, porosłe pokrzywą i ostem, wyłudnione przez zarazę, a wszystkie drogi były niepewne.

Dlatego Moscherosch i Schneuber, którzy podróżowali ze Strasburga, dobili do umówionego celu doszczętnie obrabowani (z wyjątkiem teczek z manuskryptami, nieprzydatnymi dla oparyszków), Moscherosch rozbawiony, bogatszy o jedną satyrę, Schneuber we łzach; wyobrażał już sobie okropności drogi powrotnej. (Dupę miał obolałą od razów płazem szabli).

Hoffmannswaldauowi, Czepe, Logauowi udało się dostać bez uszczerbku w pobliże Osnabrück tylko dlatego, że zabezpieczeni w list żelazny Wrangla przyrządzali się ciągle do szwedzkich jednostek, docierających w pogoni za furazem aż w głąb Westfalii: codzienne okropności tego furazowania, przy którym żadnego biedaka nie pytano o wyznanie, bolały ich jednak jak razy na własnym ciebie. Protesty nie powstrzymywały rajtarów Wrangla. Studenta Schefflera (odkrycie Czepki) omal nie dopadł zły los na Łużycach, kiedy to zasłonił własnym ciałem chłopkę, która, jak przedtem jej mąż, miała być wbita na pal na oczach własnych dzieci.

Johan Rist przyjechał z pobliskiego Wedel nad Łabą przez Hamburg. Wydawcę strasburskiego Müllbena przywiozł wóz z Łüneburga. Drogą wprawdzie najdłuższą, z Kneiphofu koło Królewca, ale za to najbezpieczniejszą, bo w orszaku swego księcia.

miał Simon Dach, którego zaproszenia spowodowały wszystkie te trudy. Już w roku poprzednim, kiedy Fryderyka Wilhelma Brandenburskiego zareczono z Luizą Orańską i Dachowi dane było w Amsterdamie odczytać stworzony na tę okazję rymowany poemat, napisano wiele listów zapraszających i określających miejsce spotkania oraz zatroszczono się, z pomocą księcia, o ich doręczenie. (Często jako kurierzy na poszczególnych odcinkach pocztę przewozili agenci, których wszędzie było pełno). W ten sposób otrzymał zaproszenie Gryphins, chociaż od roku przebywał z kupcem szczecińskim Wilhelmem Schleglem we Włoszech a potem we Francji; już w drodze powrotnej (a mianowicie w Speyer) doręczono mu list od Dacha. Przyjechał punktualnie, przywożąc ze sobą Schlegla.

Punktualnie przybył z Wittembergi magister-językoznawca Augustus Buchner. Punktualnie też zjawił się Paul Gerhardt, choć przedtem kilkakrotnie odmawiał. Filip Zesen, którego list zastał w Hamburgu, jechał do Amsterdamu ze swoim wydawcą. Nikt nie chciał pozostać na uboczu. Nic, ani obowiązki szkolne, ani służba państwowa czy u dworu, którą większość sprawowała, nie mogło ich powstrzymać. Komu brakowało pieniędzy na podróż, ten szukał wsparcia. Kto, jak Greflinger, nie mógł znaleźć wspierającego, tego do celu prowadził upór. A komu upór chciał przeszkodzić w wyjeździe na czas, tego w drogę gnała wiadomość, że inni już wyjechali. Nawet ci, których jak Zesena i Rista dzieliła wrogość, chcieli się spotkać. Lagaua bardziej niż chęć wydrwienia zebranych poetów popędzała ciekawość, jak też będzie na spotkaniu. W kręgach domowych było im za ciasno. Nie byli ich w stanie zatrzymać ani długotrwałe interesy, ani krótkotrwała miłość. Gnało ich ku sobie. Zresztą w czasie, gdy pertraktowano o pokój, powszechnie nasilały się niepokój i poszukiwania. Nikt nie chciał zostać na boku.

Jakkolwiek głodni wymiany słowa literackiego, przyjęli nasi panowie zaproszenie Dacha, rychło stracili odwagę, gdy w Oesede, niewielkiej dziurze pod Osnabrück, gdzie spotkanie miało się odbyć, okazało się, że nie ma kwatery. Przewidziana przez Dacha gospoda „Pod Karoszem” zajęta była, mimo wynajęcia jej na długo przedtem, przez sztab szwedzkiego radcy wojennego Erskeina, którego niedawno przekazał kongresowi warunki armii wargławskich i nałożył na zbliżający się pokój nowe kosza.

Jeśli już izb nie zajmowali pułkowi sekretarze i königsmarskowsy pułkownicy, to zawałone były aktami. Wielką izbę gospody, w której właściwie można by toczyć obrady, wieść upragnione rozmowy, czytać manuskrypty, zamieniono w magazyn prowiantowy. Wszędzie waleśali się rajтары i piechurzy. Kurierzy przyjeżdżali i wyjeżdżali. Do Erskeina nie było przystępu. Profos, któremu Dach pokazał pisemne potwierdzenie wynajęcia „Karosza”, dostał napadu zarźliwego śmiechu, gdy propozycja o zwrot zaliczki z kasy szwedzkiej. Opryskliwie odprawiony wrócił Dach z niczym. Potężni głupcy. Ich opancerzona niemość. Ich puste uśmieszki. Żaden ze szwedzkich panów nie znalazł

nazwisk poetów. W każdym razie pozwolono im odpocząć w mniejszej sali gospody. Gospodarz rzucił udać się do Oldenburga, gdzie jakoby było wszystko, nawet kwatery.

Już rozważali Słazacy, czyby nie jechać dalej do Hamburga. Gerhardt z powrotem do Berlina, Moscherosch i Schneuber z Ristem do Holstynnu, już chciał Weckherlin wsiadać na najbliższy statek do portu londyńskiego, już większość groziła, nie bez wyrzutów pod adresem Dacha, zerwaniem spotkania, już sam Dach zaczął — choć zawsze był uosobieniem spokoju — wątpić w swoje plany, już stali wszyscy z bagażami na drodze i nie wiedzieli co dalej, kiedy pokazali się, akurat przed zapadnięciem zmroku, Norymberczycy: Harsdorffer ze swoim wydawcą Enderem i młody Birken. Towarzyszył im rudobrody osobnik, który przedstawił się jako Christoffel Gelnhausen i z którego dryblasowata młodzieńczością — mógł mieć dwadzieścia parę lat — kłóciła się ospowata twarz. W zielonym kaftanie i kapeluszu z piórami wyglądał nierzeczywiście. Ktoś powiedział: tego to chyba spłodził Mansfeldczyk w galopie. Okazało się jednak, że Gelnhausen był bardziej rzeczywisty, niż na to wskazywał jego wygląd. Miał pod sobą oddział cesarskich rajtarów i piechoty, który obozował beczynnie na skraju osady, gdyż okolica miast, w których toczyły się rokowania pokojowe, została ogłoszona strefą neutralną i zabroniono w niej jakichkolwiek działań wojennych.

Gdy Dach przedstawił Norymberczynom nędzę poetów, na co Gelnhausen natychmiast zaofertował w kwieciej, obrazowymi zwrotami naspikowanej przemowie swoje usługi. Harsdorffer wziął Dacha na stronę: człek mówi wprawdzie po blażeńsku jak wędrowny astrolog, przedstawił się zebrany jako ulubieniec Júpitera, któremu jak widać Wenus w krainie italskiej odpłaciła pięknym za nadobne, nie pozbawiony jest jednak dowcipu i bardziej oczytany, niż można by sądzić z jego klanerady.

Poza tym człowiek ten służy jako sekretarz kancelarii w pułku Schauenburga stacjonującym w Offenburgu. W Kolonii, do której dostali się statkiem z Wurzburga, tenże Gelnhausen pomógł im wy dostać się z tarapatów, gdy Endter próbował „na swoje konto” sprzedać partię książek.

Na szczęście udało się temu Gelnhausenowi wytłumaczyć go przed kleszymi podejrzeniami o „heretyckie machinacje”. Ten potrafi opowiadać lepsze bajdy, niż może je stworzyć umysł poety. Jego elokwencja nawet jezuitom każe zamilknąć. Ten ma na zawołanie ojów Kościół i wszystkich bogów z ich konstelacjami. Ten zna życie od podszewki i wszędzie czuje się jak w domu: w Kolonii, Recklinghausen i w Soest. Ten chyba mógłby im pomóc.

Gerhardt z kolei ostrzegał przed zadawaniem się z cesarskimi. Hoffmannswaldau stał zdumiony, gdyż Gelnhausen właśnie przed chwilą cytował urywki z Opitzowskiego tłumaczenia „Arkadii”; Moscherosch i Rist chcieli w każdym razie posłuchać propozycji sekretarza pułkowego, podczas gdy strasburczyk Schne-

uber wypytywał o różne szczegóły z Offenburga i znalazł potwierdzenie wszystkich plotek.

W końcu Gelnhausenowi udało się złożyć oświadczenie zebrany — tak rozpaczliwie bezdomnym panom poetom. Mowa jego tak była wiarygodna, jak polysk owych złotych guzów zdobitych w dwóch rzędach jego zielony kaftan: jako kuzyn Merkurego, przeto równie obrotny, musi wszak jechać do Münster, by na rozkaz swego pana, który jako pułkownik w Marsa jest służbach, przekazać poufną wiadomość panu Trauttmannsdorff, którego jako pełnomocnika Cesarza na rokowania mądrością napelniał kwasnawy Saturn, by wreszcie nastać mógł pokój.

Trud to niewielki, niecałe trzydzieści mil. Księżyc prawie w pełni, okolica płaska. A skoro panom nie odpowiada klesze Münster, po drodze jest Telgte, miasteczko przytulne, wprawdzie zubożałe, ale nie zniszczone, ponieważ udało się odeprzeć Hessów i kasom pułkowym Konigsmarka nie skapiono pieniążków.

Ponieważ zaś, jak wiadomo, Telgte to od dawna miejsce pielgrzymek, on już znajduje tam dla pielgrzymujących do muz panów poetów kwatery. Nauczono go tego od młodych lat: szukać kwatery dla wszystkich bogów tego świata.

Kiedy stary Weckherlin chciał wiedzieć, czym też jako ewangelik zasłużył na tak wiele łask cesarskich, bądź co bądź Gelnhausen niesie przecież pilną wiadomość strony cesarsko-kleszej, odrzekł sekretarz pułkowy: niewiele obchodzi go religia, jeśli zostawia mu się jego własną. A wiadomość dla Trauttmannsdorffa nie jest znowu taka tajna. Przecież wszyscy wiedzą, że w obozie marszałka Turenne pułki weimarskie wszczęły bunt przeciwko italskiej kurateli i rozproszyły się. Taką wiadomość biegnie szybciej niż posel i nie opłaca się pośpiech. Będzie więc lepiej, gdy odda małą usługę tuzinowi bezdomnych poetów, jako że i on sam — na Apollinal — posługuje się piórem, choć na razie tylko w kancelarii pułkownika regimentu schauenburgskiego.

Na to Dach wyraził zgodę. Gelnhausen zaś nie przemawiał już dalej kwiecień i z rymami, lecz wydał rozkazy swym rajtaram i piechuram.

II

Droga z Osnabrück przez Telgte do Münster była od czasu trwających już niemal trzy lata pertraktacji pokojowych bardzo uczęszczana. Kurierzy, przewoźnicy stosy petycji, memorandumów, zwykłych intrygantkich listów, zaproszeń na uroczystości i raportów agenturalnych o najnowszych ruchach wojsk, dokonujących się mimo przetargów pokojowych, galopowali nią w obie strony, z obozu protestanckiego do katolickiego i odwrotnie, przy czym pozycje tych dwu wyznań nie zawsze pokrywały się z czysto wojskowym podziałem na przyjaciół i wrogów: katolicka Francja przy papieskiej przychylności porozumiewała się z Hiszpanią, Habsburgami i Bawarią, protestancka Saksonia stała raz

jedną, raz drugą nogą w obozie cesarskim. Przed paru laty luterkańscy Szwedzi napadli na luterkańskich Duńczyków. Bawaria potajemnie próbowała wyszczuć Palatynat. Do tego dochodziły buntury oddziałów wojskowych, przechodzących na stronę przeciwnika, sprzeciwu Niderlandów, lamenty stanów śląskich, bezsilność miast cesarskich, zmienne wprawdzie, lecz ciągle tak samo głodne zdobywcy zainteresowanie sprzymierzonych, przez co przed rokiem, gdy pertraktowano o odstąpieniu Alzacji na rzecz Francji, a Pomorza ze Szczecinem na rzecz Szwecji, zwłaszcza przedstawiciele Strasburga i miast nadbałtyckich dzielali buty krążąc (zresztą równie desperacko jak i bezskutecznie). Nie dziwnego więc, że stan drogi prowadzącej do miast rokowali i z nich odpowiada przebiegowi pertraktacji i położeniu Rzeszy.

W każdym razie ctery zaprzęgi, które Gelnhausen raczej zarekwirował niż wypożyczył, potrzebowały więcej czasu, niż uprzednio się spodziewano, na przewiezienie bezdomnych panów — a było ich ponad dwudziestu — od krańców Lasu Teutoburskiego w dół poprzez Kraj Tecklenburski do Telgte. (Propozycja pewnego zakrystiana w klasztorze żeńskim w pobliżu Oesede, że w tej przymusowej sytuacji uprzątnię opuszczony klasztor, w którym niegdyś gospodarowali Szwedzi, nie została przyjęta, gdyż na wół burzone mury nie zapewniały żadnych wygód; tylko Logau i Czepko, którzy nie ufali Gelnhausenowi, w ostateczności opowiedzieli się za tą kwatery).

Za nimi bledła już letnia noc, gdy Simon Dach płacił mostowe za cały konwój. Zaraz zaś za mostem przez boczną odnogę rzeki Ems, ale jeszcze przed głównym jej ramieniem opasującym miasto aż do Bramy Emskiej, na przystanku, w kamiennym domu pokrytym sitowiem, który ze swym wyniosłym szczytem stał wśród nadbrzeżnych chaszczki i na pierwszy rzut oka niezbyt ucierpiał od wojny, Gelnhausen we właściwy sobie sposób zajął kwatery. Wziął mianowicie na stronę gospodynię, którą najwyraźniej znał, poszeptał z nią, by następnie przedstawić ją Dacho-
wi, Ristowi i Harsdörfferowi jako swoją długoletnią przyjaciółkę, Libuszcę: nieco już podstarzałą pod warstwą maści na strupy niewiaste, która owinięta była w końską derkę, ubrana w żołnierskie spodnie, a przy tym mówiła z afekcją i zaliczała siebie do czeskiej szlachty: ojciec jej jakoby walczył od samego początku u boku Bethlena Gabora o sprawę protestancką. Ona wie, jaki honor spotkał jej dom. Jeśli nie już w tych dniach, to jednak wkrótce zaprowadzi panów na kwatery.

Gelnhausen narobił natychmiast ze swoimi cesarskimi takiego hałasu przed stajniami, przed domem, w sieni, na schodach, a zwłaszcza przed drzwiami pokojów, że psy podwórkowe omal się nie udawiały na łańcuchach; nie spoćkał póki nie wyrwał ze snu wszystkich gości wraz z ich woźnicami. Zaledwie panowie ci — a byli to hanzeatyccy kupcy podróżujący z Lemgo do Bremy — zebrał się przed gospodą, Gelnhausen nakazał im opuścić przystanek. Rozkaz poparł radą: kto kocha swoje życie, niech trzyma się z daleka. Są tu jak widać, wśród wycieńczonych,

ledwo stojących na nogach postaci na wozach i wokół nich sami zadżumieni, kandydaci na nieboszczyków. On ze swoim oddziałem wdepnął w nieszczęście, które, by nie przeszkadzać w rokowaniach pokojowych, trzeba usunąć z drogi, na co on osobiście jako przyboczny medicus nuncjusza papieskiego Chigi ma nie tylko cesarskie, ale i szwedzkie pełnomocnictwa, by tę nędzną tłuszczykę odstawić na kwarantannę. I to natychmiast i bez sprzeciwów, inaczej będzie zmuszony wozy kupców wraz z całym towarem spalić na brzegu rzeki. Zaraza — o czym wie każdy, a on mówi to jako lekarz napelniony wszelką mądrością Saturna — nie oszczędza wszak bogactwa, z lubością pokrywa kosztowności i szczególnie chętnie wionie swym oddechem na panów w brabanckich koronkach.

Kiedy panowie ci poprosili o pisemne uzasadnienie wypędzenia, Gelnhausen wyciągnął rapier, nazwał go swoim piórem i zapytał, komu najpierw ma dać coś na piśmie, a potem rzekł: musi usilnie prosić odjeżdżających już za chwilę gości przystojnie, w imieniu cesarza i jego przeciwników, aby na Marsa i jego złe psy, milczeli o przyczynie tak nagłego wyjazdu.

Po tej przemowie przystojnie szybko opustoszało. Nigdy nie zaprzęgano tak szybko i sprawnie. Tam gdzie ktoś zwlekał, pomagali żołnierze. Zanim Dach z kilkoma innymi poetami zdołał głośno zaprotestować przeciwko niemoralności tego szelmostwa, Gelnhausen już się zadowolił. Wprawdzie z pewnymi wątpliwościami, ale uspokojeni przez Moscheroscha i Grefflingera, którzy zechcieli w tym zająciu widzieć tylko żart i skwitowali go śmiechem, weszli panowie poeci do izb z ciepłymi jeszcze łózkami.

Ponieważ oprócz kupca Schlegela przybyło też na zaproszenie Dacha w charakterze wydawców kilku drukarzy z Norymbergi, Strasburga, Amsterdamu, Hamburga i Wrocławia, gospodynę Libuszcę, której nowi goście sprawiali widoczną radość, można było wyrównać powstałe w ten sposób straty, zwłaszcza że wykwaterowani hanzeaci pozostawili kilka bal materiałów, parę sztuk stołowego srebra i cztery beczki reńskiego ciemnego piwa.

W pobliskiej stajni rozstasował się oddział Gelnhausena. Z przedsiönka, pomiędzy małą salą gościnną a kuchnią, za którą przechodził on w dużą sien, weszli poeci podwójnymi schodami na wyższe piętro Domu przy Moście. Przygnębienie było już mniejsze. Jeszcze tylko podział pokojów wywołał małe sprzeczki. Zezen po wymianie zdań z Ristem ulokował się razem z Laurembergiem. Student medycyny Scheffler zalał się łzami. Jego, Birkena i Grefflingera umieścił Dach na strychu na słomie, gdyż brakowało izb.

Potem okazało się, że starym Weckherlinowi ledwo bije puls. Schnauber z kolei, który dzielił pokój z Moscheroschem, żądał maści na rany. Gerhardt i magister Buchner chcieli mieć dla siebie osobne pokoje. Po dwóch zamieszkali Hoffmannswaldau z Gryphusem i Czepko z Logauem. Harsdörffer nie dał się rozwozić ze swoim wydawcą Enderem. Rista ciągnęło do Zesena,

tak jak Zesena do Rista. Przez cały ten czas gospodyni i jej służący byli na usługach gości. Nazwiska niektórych panów Libuszka znała. Potrafiła recytować pieśni kościelne Gerhardta, Harßdörffera zaskoczyła wytwornymi cytatami z „Ogródka Sielanki Pegnitzkiej”. A kiedy później usiadła z Moscheroschem i Laumbergiem w całej sali gospody, gdyż obaj nie chcieli jeszcze iść do łóżek, lecz woleli przesiedzieć do rana przy ciemnym piwie i chlebie z serem, potrafiła w porywających zdaniach deklamować urywki z Philandra Moscheroscha.

Tak to była czytana i tak pasowała do zjazdu poetów oberżystka Libuszka, czyli Courage, jak zwał ją Gelnhausen, który później przysiadł do nich, honorowany jako kwaterymistrz.

Nie spał także Simon Dach. Leżał w swoim pokoju i raz jeszcze wyliczał kogo wezwał listownie, z kim rozmawiał po drodze, o kim celowo przypadkiem zapominał, kogo umieścił za poręką na swojej liście lub odrzucił, a kto jeszcze nie dojechał: jego przyjaciel Albert, na którego czekało w pokoju drugie łóżko.

Spędzając sen z powiek, to znów usypiające troski: może Schottel jednak by przyjechał? (Nie przyjechał, bo przecież zaproszony był Buchner). Klaja usprawiedliwili norymberczycy chorobą. Biada, gdyby zjawił się Rompler. Czy można liczyć na przyjazd księcia Ludwika? (Ale prezes Towarzystwa Owocodajnego obraził się jeszcze w Köthen: Dach, który nie należał do Zakonu Palmowego i podkreślał, że jest mieszczaninem, był dla księcia nie do strawienia).

Jak to dobrze, że zostawili w Oesede wiadomość, gdzie się zbierają, a wszyscy z tej samej przyczyny — tak podle sponstrowanej mowy ojczyzny i aby być w pobliżu rokowań pokojowych. Tam będą obradować, aż omówią wszystko tak nędzę i szczęście poezji, jak i opresję ojczyzny.

Będzie im brakować Opitzta i Fleminga. Czy uda się odsunąć teorie na drugi plan? I czy przyjedzie ktoś jeszcze nie zaproszony? O tym rozmyślając i tęskniąc fizycznie do swojej żony Reginy, zapadł Dach w sen.

III

A może jeszcze pisał do Reginy, z domu Pohl, która wszędzie na Kneiphofie i wśród studentów Akademii, w kręgu przyjaciół jak Albert, Blum, Robertin, a nawet przez samego księcia nazywana była Pohlówną lub Polówną Dacha. Jego list, początkowo rozpaczyli, potem weszli przy opisie okoliczności poszukiwania kwatry, wreszcie polecający przebieg zjazdu boskiej dobroci i pomocy miał być dla Królewca raportem, nie wnikałym w głębszy sens wydarzeń: jak to w Oesede Szwedzisko grubiąnsko wyrzuciło ich za drzwi; jak Gelnhausen, zwany Christoffelem lub krócej Stoffelem, zarekwirował ze stajni protestanckich stanów cztery kryte wozy wraz z końmi; jak wśród nocy i przy coraz jaśniejszym księżycu, przy świetle pochodni rajtarów

cesarskich, ale oszczędzani przez dalekie burze, puścili się w niebezpieczną drogę w kierunku Munster do Telgte; jak już w drodze Moscherosch z Greflingerem i Laumbergiem zaczęli chład gorzałkę, rycząc uliczne piosenki i natrząsając się z zawsze pełnego godności Gerhardta; jak jednak Czepko i stary Weckherlin śmiało ujęli się za sentymentalnym panem, tak, że reszta drogą przynajmniej w trzech spośród czterech wozów przebyli ze szlachetnym śpiewem, przy czym świeżo wydrukowana pieśń Gerhardta „Już śpią gołębie knieje — zwierzę, człek i polny przestwór — I śpi już cały świat!” porwała nawet pijaczków i jak większość jadących, u jego boku zaś otyły Gryphius, wśród śpiewu zapadła w sen, tak, że u celu podróży beczelne poczynania Gelnhausena wprawiającego towarzystwu na siłę, aż cuchnęło, zarazem, nie zostały wcale zauważone lub zdano sobie z nich sprawę za późno; i jak wreszcie mimo, czy też z powodu, tej przekłętej, a jednak komicznej amoralności znaleźli się w łóżkach: jedni śmiejąc się z trwóznego pośpiechu kupczyków i opijając okrutny żart, drudzy prosząc w cichości Boga o wybaczenie, wszyscy jednak wystarczająco zmęczeni, by nie mogła wybuchnąć kłótnia między Ślaskami, norymberczakami i strasburczykami i zagrozić jeszcze raz spotkaniu. Błyska się tylko pomiędzy Ristem a Zasenem, co było do przewidzenia. Natomiast Buchner, jako że Schottel nie przyjeżdża, obiecuje się miarkować. Ślascy przywieźli jakiegoś wystraszonego studenta. Hoffmannswaldau w ogóle nie zachowuje się jak szlachetki synalek. Wszyscy z wyjątkiem Rista, który nie może sobie darować kaszandziejstwa, i Gerhardta, któremu literackie poczynania są obce, mają dla siebie przyjazne zrozumienie. Nawet kurwiarz Greflinger jest dostosował i kłnąc się na niewierności swojej Flory obiecywał być jako tako porządnym. W każdym razie ze strony Schneuburga, któremu on sam nie ufa, można oczekiwać podstępów. Będzie jednak, gdy zajdzie potrzeba, trzymał ten tłumek w cuglach. Nie licząc ochłapów w izbie gościnnej i jego samego, który myśli o swojej Pohlównie, nie śpią teraz tylko podwójne, cesarskie zresztą, warty, które Gelnhausen postawił przed Domem przy Moście gwoli ich ochronie.

Gospodyni, wprawdzie niezłe ścierwo, jest jednak osobą niezwykłą, która z Gryphiusem gwarzy płynnie po włosku, magistrowi Buchnerowi odszczeknęła nawet po łacinie, a w literaturze oblatana jest jak lis w kurniku. Tak więc wszystko się układa, jakby w myśl jakiegoś wyższego planu. Tylko w tej kleszce miejscowości czuje się jakoś nieswojo. Podobno spotykają się tu potajemnie nowochrześcijcy. Duch Knipperdöllinga ciągle się tu jeszcze płacze. Niesamowicie nastroja okolicca, ale najwyraźniej nadaje się do spotkań.

Co jeszcze Simon Dach pisał swojej Pohlównie, niech już zostanie między nimi. Tylko jego ostatnie, sen niosące myśli mam jeszcze pod ręką: krążyły one wokół wszystkich za i przeciw, tego co było i co będzie, pojawiały się w nich i znikwały osoby, powtarzały się. Spróbuj je uporządkować.

Dach nie miał wątpliwości co do potrzeby tak długo przygotowywanego zjazdu. Kiedy wojna już się zaczęła, bardziej wyrażano z westchnieniem życzenie spotkania, niż je planowano. Przecież to jeszcze Opitz, na krótko przed śmiercią, pisał mu ze swego gdańskiego azylu o takim spotkaniu: „Congressus wszelkich poetów, w Bresławiu lub Pruskiej Krainie, niechaj rzecz naszą jedną uczyni, gdy ojczyzna rozdarła...”

Nikt jednak, nawet Opitz, nie znalazłby u rozproszonych poetów takiego posłuchu jak Dach, którego szeroka, promieniująca ciepłem dusza ogarniała wystarczająco szeroki krąg zainteresowanych takim spotkaniem, by objąć nim takiego wędrownego odludka, jak Greflinger, szlacheckiego pięknoducha Hoffmannswaldaua i stojącego poza literaturą Gerhardta, a jednocześnie utrzymywała ten krąg w określonych granicach; wianuszek książęcych mecenasów, którym zależało tylko na poematach pisanych ku czci i pieśniach żalobnych na zamówienie, pozostał bez zaproszeń. Nawet swego własnego księcia, który wszystkie Dachowe piosenki znał na pamięć i zasiłał ogólną kasę podróżną, poprosił Dach, aby zechciał łaskawie pozostać z dala.

Wprawdzie niektórzy panowie (Buchner i Hoffmannswaldau) radzili albo odczekać do zawarcia pokoju, albo spotkać się w Polsce, w Lesznie, lub też w nietkniętej Szwajcarii, wprawdzie Zesen chciał ze swoim, założonym w latach czterdziestych w Hamburgu, Stowarzyszeniem Niemieckim zrobić mu konkurencję i planował wspólnie z Prawym Towarzystwem Jodlowym Romplera kontrspotkanie, przeważił upór Dacha i jego wola polityczna: w swych młodych latach (pod wpływem Opitza) korespondował z Grotiussem, Berneggerem i heidelberczykami, przez co do tej pory, aczkolwiek nie zaangażowany w dyplomację, jak niegdyś Opitz i Weckherlin, uważał się za „Irenika”, to znaczy męża pokoju. Mimo oporu Zesena, który się w końcu ugął i wbrew intrygom strasburskiego magistra Romplera, który nie został zaproszony, postawił Simon Dach na swoim: w roku czterdziestym i siódmym, po dwudziestu dziewięciu latach wojny, gdy pokój ciągle jeszcze nie był wynegocjowany, między Munster a Osnabrück miał się bowiem odbyć zjazd, czy to po to, by nadać wartość ostatniemu nierozstrzyganemu łącznikowi, jakim był niemiecki język narodowy, czy to po to, by, choćby z boku, rzec i jakieś polityczne słówko.

W końcu było się kimś. Tam gdzie wszystko leżało w gruzach, błyszczały tylko słowa. Tam zaś, gdzie książęta popadli w poníženie, szacunek przypadł poetom. Oni, nie moiżni tego świata, mieli zapewnioną nieśmiertelność.

Simon Dach był w każdym razie świadom znaczenia, jeśli nie swojego własnego, to zjazdu. Będąc przecież w pobliżu a nie, jak mówiło się w Królewcu na świeczniku, zebrał wokół siebie poetów i entuzjastów sztuki.

Nie tylko na Magistergasse, gdzie dzięki decyzji Kneiphofu otrzymał dożywotnio mieszkanie, także w ogródku letnim organisty katedralnego Heinricha Alberta na Lomse, wyspie na Pre-

gole spotykano się, by czytać utwory, najczęściej przy jakiejś okazji lub na czytającą prośbę: zwyczajnie to były wiersze weselne i piosenki, do których Albert dorabiał muzykę. Żartobliwie określali się wówczas przyjaciele jako Towarzystwo Chatki Dyniowej, świadomi, że w porównaniu z innymi towarzystwami, na przykład z Owocodajnym Zakonem Palmowym lub Towarzystwem Jodlowym strasburczyków, a nawet z norymberskimi Pasterzami Pegnitzkimi są tylko małą gałązką wielkiego drzewa ogólnoniemieckiej kwitnącej wszędzie poezji.

Ponieważ jednak Dach wiedział, jak bardzo chciano słyszeć szum całego drzewa i ponieważ jego nazwisko warte było gry słów, którą oferowało, wczesnym popołudniem, gdy wyspani i wytrzeźwiali panowie zebrałi się w dużej sali gospody, mówiąc to wesoło, to znów poważnie, jak to było w jego zwyczaju, otwierając spotkanie, odezwał się w następujące mniej więcej słowa:

„Zbieramy się oto, druhowie mili, a w moim to imieniu — bom ja was zaprosił — jako pod dachem jednym, by każdy swoje dodał jako może, i aby zabrzmiąło wszystko jako ton jeden, by zrodziło się jedno a wspólne Pegnitzko-Owocodajno-Prawe Towarzystwo Jodlowe a Domku Dyniowego takó, w duchu zaiste niemieckim, czy w czterdziestym i siódmym roku wieku naszego, tak cierpień pełnego, ponad wszelkim a pokój bezpłodnym gadaniem, przy surm bojowych słyszalnym jeszcze larum, głos nasz takó, w kątku jeno cichy, dał się słyszeć; to albowiem, co rzecz chcemy, nie jakowymś jest bełkotem, lecz w mowie naszej się rozlega: dokąd zmierzasz, Ojczyzno niemiecka? Od lat już prawie trzech dziesięci! rabunkiem a mordem żyjąc, katem swym własnym zostalą...”

IV

Wszystko to, ale w rymach, powiedział Dach, cytując swój niedawno kończony, ale jeszcze nie drukowany wiersz, który opowiadał o zniszczeniu owego Domku Dyniowego, który na wyspie Lomse był miejscem spotkań królewieckich poetów, a musiał ustąpić miejsca nowo budowanej drodze handlowej; na jego pamiątkę napisał organista katedry, Heinrich Albert, muzykę i rozłożył ją na trzy głosy. Ponieważ wiersz wzbudził zainteresowanie, prosili Hoffmannswaldau, Rist, Czepko i inni o odczytanie całej skargi, co Dach uczynił dopiero później, w trzecim dniu spotkania. Nie chciał bowiem zaczynać go własnym utworem. Nie pozwolił także na dalsze mowy powitalne. (Zesen chciał mówić obszernie o swoim Towarzystwie Niemieckim i jego podziale na cechy. Rist byłby natychmiast wygłosił kontrowersję, jako że już wtedy nosił się z zamiarem założenia Zakonu Łabędzi Nadłabskich).

Poprosił za to Simon Dach pobożnego Paula Gerhardta, żeby osłabił trochę jego uczucie obcości, o odmówienie w imieniu wszystkich modlitwy za pomyślny przebieg spotkania. Gerhardt uczynił to ze statutoralną powagą, stojąc i nie szczedząc pewnych grózb potępienia pod adresem obecnych a błądzących

w wierze; miał przy tym na myśli śląskich mistyków i chyba kalwinistów.

Gdy skończyła się chwila ciszy po modlitwie, wezwał Dach „wielce szanownych przyjaciół”, by uczcili w myślach owych poetów, których miejsce byłoby między nimi, gdyby nie zabrala ich śmierć. Wylczył więc uroczyste — na co wszyscy powstałi — „przedwcześnie zmarłych”, najpierw Opitza, potem Fleminga, zaczem politycznego mentora swego pokolenia, irenika Lingelsheima, potem Zinegrefa, i zaskoczył wreszcie zebranych (a Gryphius już miał wpasć w gniew) wspomnieniem jezuity Spee von Langenfelda.

Wprawdzie wielu obecnych знаło (i naśladowało) jezuicką szkołę teatralną, wprawdzie dla studenta Gryphiusa niektóre lacińskie ody jezuity Jakuba Balde były wystarczająco wartościowe, by je „zniszczyć”, wprawdzie Gelnhausen, którego nikt poza Harsdörfferem (i Grefflingerem) nie chciał zaliczyć do towarzystwa, uznał się za katolika — I nikt nie czuł się tym zgorzsony — ale uczczenie śmierci Spee'go dla niektórych protestanckich panów, nawet jeśli chcieli się poddać nakazowi i tolerancji Dacha, było niejakim wyzwaniem. Spowodowałyby też głośne protesty lub milczącą rezerwę, gdyby Hoffmannswaldau nie wsparł politychmiast surowo mierzącego podniecone towarzystwo Dacha, cytując najpierw urywki „Bojowego Słowika” Spee'go, który nie wyszedł wprawdzie w druk, ale krążył w odpisach, a mianowicie „Pieśni pokutnej zbolałego serca”: „Gdy zmierzchem nas brunatna noc w swych cieni czerni otula...” by następnie swobodnie, jakby nosił w sobie laciński oryginał, zaklemać niektóre fakty „Cautio Criminalis”, Spee'owskiego oskarżenia inkwizycji i tortur, po których szły tezy: pochwalili następnie odwagę jezuity i wyzywająco (patrzac przy tym Gryphiusowi prosto w twarz) zapytał, kto spośród nich, zobaczywszy jak Spee w ponurym Würzburgu prawie dwieście niewiast na torturach, pocieszając je w drodze na stos po wymuszonym bólem przynajmniej się do winy, spisałby potem te okrutne doświadczenia i oskarżycielsko podał do druku.

Żadna odpowiedź nie była tu możliwa. Staremu Weckherlinowi ciekły łzy z oczu. Jakby chcąc nadać słowom nowy sens, rzekł na to student: poza tym Spee'go tak samo jak i Opitza zabrała zaraza. Dach rzucił tylko nazwisko i przekazał Logau'owi drukowany tekst, żeby ten — ponieważ wspomniano wszystkich zmarłych — przeczytał jeden z sonetów, które napisał dla niego (w czasie podróży po kraju Tatarów nogajskich) zmarły wkrótce po Opitzu Fleming. Przeczytał też Logau wers na cześć zmarłego „Iabędzia znad Bobru”, jak również zwano tego poetę z Bolesławca: „Wielu w lacinie poetów na ich czele zaś Wergiliusz. Opitz jest nim dla Teutoni, lecz krom niego innych wielu”.

Po uczczeniu wielkiego przyjaciela pokoju Lingelsheima przeczytał Dach w charakterze wspominków po Zinegrefie dwie wesołe, odprężające towarzystwo anegdoty z jego doświadczonego zboru, a gdy go o to poproszono, także parę dalszych.

I tak naprężona atmosfera wspominków przerodziła się w przychylny gwar towarzyskich rozmówek. Szczególnie starsi znali wiele historyjek o zmarłych. Weckherlin opowiadał jak działał w Heidelbergu za czasów świętej pamięci Lingelsheima młody Opitz. Buchner z kolei wiedział dokładnie, co napisałby był Fleming, gdyby nie zdradziła go jego nadbałtycka Elsaba. Pytano, dlaczego nie znalazł się dotychczas wydawca dla wierszy Spee'go. Potem mowa była o czasach studenckich w Leydzie. Gryphiusa i Hoffmannswaldau, Zesena i młodego Schefflera traktowano tam egzaltowanymi ideałami. Ktoś z obecnych (może ja?) zapytał, dlaczego Dach przy wspominkach o zmarłych pominał zgorzleckiego szewca, skoro są tu też przedstawiciele tego regionu.

Tymczasem oberżystka ze swymi służącymi przygotowała w małej sali gospody raczej skromny posiłek: w tłustej zupie na kielbasie pływały zacierki. Leżał pokrojony chleb, było też ciemne piwo. Przerwano więc, wzięto się za jedzenie, rozlewano piwo. Wokół stołu rozbrzmiewał śmiech. (Jak właściwie prawidłowo nazywać to miasteczko nad rzeką Ems: Telgte, Telchte czy wręcz Tächte, jak wymawiają tutajte posługaczki?) Dach obchodził w kolo długi stół i z każdym chwilę rozmawiał — grał rolę pośrednika między tymi, którzy już teraz, jak Buchner i młody Birken, chcieli wszczynać gorące dysputy.

Po posiłku mieli mówić o języku. Co go zepsuło i jak można go wyleczyć. Jakie reguły należałoby ustanowić, a jakie hamują wierszowanie. Jak pojęcie języka naturalnego, o którym Buchner mówił lekceważąco jako o „tylko mistycznym”, nasycić bardziej smakowitą treścią, by mógł on przekształcić się w język powszechny. Co można uważać za „Hochdeutsch” i jaką wartość należy przypisać dialektom. I choć wszyscy wielce byli uczeni i wielojęzyczni — Gryphius i Hoffmannswaldau, jak się okazało, znali po siedem języków — to ich niemiecki był regionalnie pokręcony i szeleścił, jakali się, rozciągali słowa i potykali się o nie.

XII

Smacznie i chudo. Skóra ze słoniny musiała być w zupie już wczoraj. Zupa, która syciła na krótko, ale chciała być długo wspomniana: krupnik upiekoszony trybulką. Do tego skąpo czarnego chleba. Młodszych to nie nasyciło. Grefflinger pyskował. Hoffmannswaldau, którego skąpy posiłek wczorajszy uskrzydlił do pochwał skromnego życia, stwierdził dziś, że w skromności też można przesadzić. Potem podsunął do połowy opróżnioną miskę młodemu Birkenowi. Gryphius łowił w swojej zupie myśli, czyniące z głodu na Śląsku głód ogólnostawowy. Logau drwił z współczesnej sztuki rozważniania zup. Czepko milczał nad swoją miską. Inni (Moscherosch, Weckherlin) powstrzymywali się od komentarzy lub (jak Buchner) znikali z dymiącymi miskami w

pokojach. (Potem Schneuber rozgłaszał, że widział jak jedna z dziewczek służących, Elsaba, spieszyła z repetà zawiniętą w szmatkę do pana magistra literatury).

Schütz natomiast pozostał przy stole i pracował łyżką, podczas gdy kuzyn umiał mu czas opowiadając historyjki z lepszych czasów: obaj mianowicie w połowie lat trzydziestych cieszyli się łaskami na kopenhaskim dworze króla Christiana. Słychać było śmiech Sagittaria.

Kiedy Harsdörffer, który tym razem miał okazję mówić młotwie przy stole, zauważył mimochodem, że właściwie taki rzadki krupnik powinien nastrojać pokutniczo, odrzekł Dach, że wszak ciągle jeszcze trwa wojna. Mimo to z kupcem Schlegelem i paroma drukarzami zrobi obchód Telgte. Tam z pewnością znajdzie się coś jadalnego na wieczór.

Tam nie ma nawet szczurów, zakrzyknął Lauremberg. Mało kto w ogóle jeszcze tam mieszka, miasto jest opustoszałe, drzewa zabite gwoździami. Bramy prawie nie obsadzone. Włóczą się tylko psy. Już rankiem on i Schneuber chcieli za brzęczącą monetę kupić parę kur, ale tam już nic nie gdać. Dziwne, ale i pobożny Gerhardt zabrał głos: trzeba było wcześniej bardziej zadbać o zaopatrzenie. Dach, jako zapraszający, powinien był zaopatrzyć się w to, co najpotrzebniejsze — słoninę, fasolę. Jest przecież w łaskach u swojego księcia. Czemuż by nie miał skorzystać z jego kalwińskich spiżarni? On sam żąda tylko tego, co niezbędne prostemu chrześcijaninowi. Poza tym taki gość, jak nadworny kapelmistrz księcia elektora Saksonii, może chyba, skoro już zniżył się do przebywania wśród prostych tekściarzy piosenek, wymagać lepszego wyżywienia.

Na to odrzekł Dach: mogą mu panowie wymyślać, ale nie ścierpi natrąsania się z religii swego księcia. Czyżby Gerhardt nie znał brandenburskich edyktów o tolerancji? Odpowiedź brzmiała, że nie zamierza ich uznawać. (Potem zaś, już jako diakon kościoła św. Mikołaja w Berlinie miał udowodnić swoją religijność, zapłaciwszy za nią utratę urzędu).

Jak to dobrze, że przynajmniej było pod dostatkiem nadreńskiego ciemnego piwa. Jako autorytet w Wittenberdze Buchner przywołał swoich byłych uczniów do porządku. Kiedy zaś gośpodyn poczyniła towarzystwu drobną nadzieję, że Gelnhausen wracając z Munster przywiezie coś konkretnego, poeci zakończyli krótkie kłótnie o zupę i wgrzyli się w sprawę językowe.

Podczas gdy krytyka Schütza nie przeszkodziła zakłopotanemu ciągle jeszcze Gryphiusowi przedstawić zebranym ponownie słuchaczom w ponurych scenach paru nowych tragedii, to pochwała Schütza zainteresowała pismami wrocławskiego studenta niektórych wydawców: młody Scheffler nie wiedział, jak się opędzić od ofert drukarzy. Endter z Norymbergi kusił obietnicą stanowiska miejskiego medicusa, Elzevirn oferował powrót do Leydy na dalsze studia: kiedy się słucha naszego studenta widać przecież o ile, podobnie jak wcześniej u młodego Gryphiusa, rozwinęły się jego duchowe horyzonty. Scheffler jednak pozos-

tał przy swoim: poprosi o radę z innych ust. (Chyba dlatego widziałem go później, jak spieszył przez Bramę Emską do Telgte, gdzie wśród starych bab kłęczał przed drewnianym cudownym obrazem...)

Na drugim końcu długiego stołu Logau i Harsdörffer chcieli się dowiedzieć, co o tak wczesnej porze wygnało Gelnhausena do Münster. Oberzystała Libuszka mówiła osłaniając usta dłonią, jakby zdradzała tajemnicę: Stoffela wezwwała kancelaria cesarska. Nie tylko Weimarczycy się burzą, także u Bawarczyków, którzy jakoby zawarli ze Szwedem odrębny pokój, jest niespokojnie, a general jazyd Werth, przeszedłszy na stronę cesarza, próbuje na nowo rozpałić wojnę. Jego wiecznie rozbawioną bandę Libuszka dobrze zna. To z jego pułków pochodził jej dwaj kolejni mężowie, których, jakkolwiek krótko, gościła w swoim łóżu. Potem wyjaśniła, dlaczego unikała cnoty wallensteinowskich pułków. Zasypała ich anegdotami z różnych kampanii, przy czym wyszło na jaw, że wraz z wojskami Gallasa uczestniczyła w napadzie na Holstyn i zrobiła swoje przy pładowaniu Wedel — dobrze, że Rist denerwował się w tym czasie akurat gdzie indziej. Potem opowiadała o dawniejszych czasach: jak to w połowie lat dwudziestych, jeszcze młodziutka, w spodniach i konno, służyła pod Tillym i, a było to pod Lutter, wzięła do niewoli duńskiego rotmistrza. Na pewno zrobiłby z niej hrabinę, bo był ze szlachty, gdyby nie zmienne losy wojny....

Naturalnie miała Libuszka wielu słuchaczy. O wiele gruntowniej niż wielu spośród poetów orientowała się w rozgardiaszu walczących stron. Rzekła więc: na przebieg wojny wpływa nie dyplomacja lecz poszukiwania kwater zimowych.

Sluchając jej opowieści zapomniano o misji Stoffela. Póki mówiła i przeskakując lata obejmowała swą opowieścią trzy dziesięciolecia, nawet stary Weckherlin domagał się wyjaśnień na temat ewangelickiego fatum swoich młodych lat, bitwy pod Wimpfenna na obu brzegach Neckaru i cudu, który sprzyjał Hiszpanom — ukazania się ubranej na biało postaci Matki Boskiej: to eksplodująca amunicja, rzekła oberzysta, wytworzyła chmurę, która pędzona przez wiatr nad polem bitwy umożliwiała katolickie interpretacje. Dopiero gdy Moscherosch i Rist odczytali na zmianę wezwanie poetów do książąt, napisane wspólnie z Harsdörfferem i Hoffmannswaldau'em, którego zgodnie z wolą Dacha nie można było odczytać z samego rana, zainteresowanie przeniosło się z opowieści gośpodyn na nieszczęścia ojczyzny. Wreszcie wszyscy się na tym skupili. Chodziło o to, by wypowiedzieć się w sposób doniosły a zrozumiały. Nie mając do dyspozycji pułków, mogli zaoferować słowa.

Ponieważ Rist czytał jako pierwszy, zaczął stentorowo: „Niemcy, najwspanialsze cesarstwo świata tego, jest oto na dno zepchnięte, spustoszone, a zniszczone, tako stanowi prawda! Okrutny Mars albo też przeklęta wojna kara jest najstraszliwszą a plagą najohydniejszą, co ją Bóg za złość przewielki niezliczonych grzechów na nieskore do pokut kraje niemieckie trzy już lat

dziesiątki blisko spuszcza. Tako rzecz prawda! Bogdaj w opresyi będąca i u kresu sił swych ojczyzna doznać mogła znowu pokój łask szlachetniejszych. Przeto tu w Telligt, owo znaczy według przekazu starego drzewo dębowe, zebrani spolem poeci usilnie starali się być, teutońskim a zamorskim księżętom zdanie swe ofiarować i za prawdę podać..."

Tu wylizyli Moscherosch wodzów strom wujających. Wymieniał więc, za cesarzem na czele, książąt — kurfurstów według starego porządku (bez Bawarii, za to z Palatynatem) z całą czią należną, jak potrafił to ująć kunstownie Hoffmannswaldau. Potem wzywano zagraniczne głowy koronowane, by zaklinać zaraz wszech i wobec, Niemca czy Italiana, czy też Szweda, niezależnie od religii, gdyż Niemcy hordom zagranicznym oczywiście wydali, a obcokrajowcy wybrali sobie Niemcy za arenę bojów, tak, że leżą one teraz rozbite, bez starych swych porządków i cnotę wszelką zatraciwszy i piękność swą, trudne dziś do poznania.

Jedynie poeci, mówiła dalej odezwa, wiedzą dziś jeszcze, co niemieckim nazwać się godzi. Ostatnią dla nich więzią, którą zawiazali „z gorącym westchnieniem a bolem” język niemiecki pozostał. To oni uosabiają te inne, prawdziwe Niemcy.

Potem zgрупowano (czytał Rist, następnie Moscherosch) poszczególne żądania, w tym wzmocnienie stanów, pozostawienie Pomorza i Alzacji przy Rzeszy, odprowadzenie księstwa Palatynatu, ponowne wprowadzenie monarchii elekcyjnej w Czechach — i oczywiście — wolność wyznania, łącznie z kalwińskim. (To zastrzegli sobie Strasburczycy).

Jakkolwiek manifest ten — a czytano głośno i dobitnie ustęp po ustępie cały tekst — wywołał początkowo entuzjazm zebranych, daly się wkrótce słyszeć głosy, by zmniejszyć żądania, bardziej uwypuklić praktyczny ich sens. Zgodnie z oczekiwaniami Gerhardtowi nie podobało się szczególne podkreślenie kalwinistów. Buchner (który tymczasem wrócił ze swego pokoju) zarzucał tekstami (patrzaj przy tym na Schutza) zbyt ostre potępienie Saksonii. Weckherlin powiedział: na zew tego pisma ani Maksymilian nie zwróci się przeciw Hiszpanom, ani heska hrabina przeciw Szwedom. Poza tym Palatynat przepadł na zawaze. Logau zaś drwił: jak tylko italski kardynał przeczyta tę epistolę, natychmiast opuści Alzację i Breisach porzucając wszelką zdobycz. Tak samo widzi już Oxensteirne, jak po takim wiernoniemieckim wezwaniu traci wszelką ochotę na Pomorze wraz z Rugią. Tu obruszył się Greflinger: i co też nasz cwanik ma przeciw Szwedom. Gdyby bohaterski Gustaw Adolf nie przeprawił się był przez Bałtyk, to nawet Hamburg wpadłby w ręce klechów. A gdyby Sasi i Brandenburcy nie stali ciałe jak tchórze z boku, to byłibyśmy ze Szwedami aż nad Dunajem i dalej. Gdyby zaś kawaleria Wrangla nie odwiedziła w zeszłym roku Bawarii, to on sam nie mógłby się już nigdy dostać do rodzinnego Regensburga.

Tylko Szwed, krzyczał Lauremberg, był w stanie wyrzucić

Friedlandera z Meklemburgii. Słusznie, wołali Słazacy, kto, jak nie Szwed, ochroni ich przed papieżem. Przy całej uciążliwości okupacji są przecież powody do wdzięczności. Ataki na koronę szwedzką trzeba z manifestu wyrzucić. Scheffler siedział wystraszony i cichy. Kiedy Schneuber się obruszył, że w takim razie trzeba by też oszczędzać Francuzą, bo Francja wszak osłabiała w dużym stopniu Hiszpanię, Zesen powiedział to, co właściwie chciał powiedzieć Rist: wtedy nie pozostanie już nic z oskarżenia prócz zwykłej bezsilności. O tej zaś nie ma co trąbić na cały świat. Szkoda na to spotkania. Po co w związku z tym je kontynuować?

Heinrich Schütz, który siedział w czasie tych polemik jak nieobecny, odpowiedział na pytanie „po co”: dla słowa pisanego, którego sztukę układania posiada jedynie poeta. Także i po to, by bezsilności — a zna ją dobrze — powiedzieć swoje „a jednak”.

Z tym się zgodziliśmy. Pośpiesznie, jakby chcąc wykorzystać tę chwilę zawieszenia broni, Simon Dach powiedział: jemu tekst się podoba, nawet jeśli nie będzie praktycznie użyteczny. Tak zazwyczaj surowy pan Schütz powiedział tylko łagodnie to, o czym wszyscy wiedzą: poeci nie mają za sobą żadnej siły, poza tą jedyną: wypowiadać słuszne, choć może nieskuteczne słowa. Nasz apel trzeba przepaść. Może przez noc przyjdzie do głowy coś korzystnego. Tu wezwał zebranych do dużej sali na nową dysputę. W końcu przecież Gerhardt zechce zareplikować nasze mu sławnemu gościowi.

XXI

Nie! Wołał kilkakrotnie. Nie, zanim jeszcze ponownie zebraliśmy się w dużej sali, nie, gdy wszyscy już zggrupowali się wokół Dacha i bukietu z ostów! Kiedy Rist i Moscherosch skończyli czytać projekty manifestu, Logau ciałe jeszcze wołał: Nie! Przedtem i potem. Kategorycznie: Nie! Wszystko uznaj za żalosne: grzmiące słowa Rista, mieszczańskie malostkowości Strasburczyków, wszystkie kwiatki retoryczne, które wyszły spod pióra Hoffmannswaldau'a krążące wokół konfliktu, Harsdorferowskie wybiegi taktyczne dotyczące miast Rzeszy i ciałe używanie słów: „niemiecki”, „Niemcy” jako przerywników co pół zdania. Żalosne, głupie, zaklamane! — wołał Logau, który nie chciał już przestawać na krótkich uwagach, lecz gniewnie szkalować się do dłuższej mowy, by zdanie po zdaniu pozabawić manifest całego wielosławia. Ten raczej szczypliwy człowieczek stał zupełnie z tyłu i mówił przenikliwym głosem ponad głowami siedzących: raz z góry, raz uniżenie przemawia się tu do każdej ze strom. To chciałoby się przegnać Szweda dołowie daleko, to znów błaga się go o pomoc. W jednym zdaniu chce się odrodzienia Palatynatu, w drugim, by dobrze usposobić Bawarię, oferuje się jej godność kurfurstą. Prawą ręką powołuje się na nowo stary porządek stanowy, lewą tradycyjne już bezprawie. Tylko roz-

dwojony język może w jednym zdaniu obiecywać wolność każdemu wyznaniu i jednocześnie grozić wszystkim sektom bezlitosnym wygnaniem. Wprawdzie słowo „Niemcy” pada tu co najmniej tak często, jak u papistów „Święta Panienska”, ale zawsze ma się na myśli tylko część całosci. Za niemieckie cnoty uważa się tu: Wierność, Pilność, Zakość, ale o chłopie, który jako jedyny uznawany jest za uosobienie niemieckości, a w całym kraju traktowany jak bydlę, nigdzie nie ma tu ani słowa. Mówi się wojowniczo o pokoju, nietolerancyjnie o tolerancji, chciwie o Bogu. Tam zaś, gdzie po całej gadaninie o Niemcach sławi się Ojczyznę, zostaje niepożycie posmakczek egoistycznych interesów Norymbergi, strachu Ślązaków, pychy Strasburga, ostrożności Saksonii. Brzmi to wszystko żałośnie i głupio, bo nie jest przemysłane.

Skutkiem przemowy Lagau'a był nie tumult, lecz zakłopotanie. Obydwa, stylem się tylko różniące, projekty manifestu przechodziły z rąk do rąk, prawie nie czytane. Znowu niczego bardziej nie byli wszyscy poeci świadomi jak swej bezsilności i nieznamości gry sił politycznych. Kiedy więc teraz (nieoczekiwanie) wstał starzy Weckherlin, by przemówić; był jedynym z nich, który znalazł się nieco na polityce, brał bowiem udział w grze sił, zakosztował władzy, przesuwał trochę pionków na tej szachownicy i zjadł na tym zęby. Nie po to, by pouczać, raczej wesoło i z lekką drwiną mówił stary o swoim 30-letnim doświadczeniu. Wyglądało to tak, jakby przeskakując dziesięciolecia przystępował z nogi na nogę. To kierował swe słowa jakby tylko do Dacha, to znowu jakby uznawał za swą publiczność bukiet ostów. Przemawiał też do okna, za którym jakby słuchały go dwa uwiązane muły: rozsypany przed słychaczami cały worek zdań. Ten worek jednak był właściwie pusty. Albo pełen śmieci. Tyle pracy na nic. Same niepodowdzenia. Mówił, jak to bywał, podobnie jak ś.p. Opitz, dyplomata wszystkich możliwych stron. Jak jako Szwab stał się angielskim agentem, będąc angielskim został z kolei nadreńskim, a ponieważ nie się nie mogło obyć bez Szwedów, awansował wreszcie do roli podwójnego agenta. I jak przy całej tej swojej bieganinie nie mógł osiągnąć tego, co było celem jego kunsztownych zabiegów: wojskowego zaangażowania Anglii na rzecz strony protestanckiej. Śmiejąc się prawie bezżębnymi ustami, przeklinał Weckherlin angielską wojnę domową i nieodmiennie beztroski dwór nadreński, zimną nieustępliwość Oxenstierny i zdradę Saksonii, Niemców wszystkich razem, ale zwłaszcza Szwabów: ich skąpstwo, ograniczoność, czyniozkość i fałszywość, ciagle z imieniem Boga na ustach. Strasznie było słuchać, jak świeża była ciagle u tego starego człowieka nienawiść do wszystkiego, co szwabskie, jak gorzko mieszała mu się szwabskość z niemieckością. Siebie samego nie wyłączał z tych oskarżeń, lecz wszystkich ireników nazywał błaznami goniącymi za rozsądkiem, którzy chcą kraj chronić przed najgorszym utrwalił tylko to, co złe.

Opowiadał, jak on, choć bezskutecznie, starał się wciągnąć w

niemiecką wojnę religijną pułki angielskie, jak Opitz ze wszech miar poważny aż do ostatniej niemal chwili, już złożony niemocą, próbował jeszcze wpłatać w niemieckie jatki katolicką Polskę. Jakby już, wołał Weckherlin, ze Szwedem i Francuzem. Hiszpanem i Wallonem nie dość było obcych rzeźników w tej niemieckiej rzeźni. Popsuto tylko wszystko, chcą naprawić!

Wreszcie stary musiał usiąść. Stracił ochotę do drwin. Opuścił go siły i nie mógł już włączyć się, gdy z kolei inni, z Ristem i Moscherosem na czele, całą nienawiść do wszystkiego, co obce i istalskie przemieniali w niemieckie samooskarżenia. Każdy dokładał coś od siebie. Gniew rozpętywał się na kształt sił natury. Zdenerwowanie, które podniecało się samym sobą, poderwało zebranych z krzesel, stolków i beczek. Walili się w piersi, machali rękami. Wołali jeden przez drugiego, gdzie też jest ta ojczyzna, na którą tak się często powołują? Gdzie się ona schowała? Czy w ogóle coś takiego istnieje i jaką postać przyjęło?

Kiedy Gerhardt, chcąc tak pytającym przynieść pociechę, zapewnił, że ich Ojczyzna nie z tego jest świata, lecz z pewnością niebiańska, Andreas Gryphius wyplątał się już z całego kłębowiska i poszedł szukać gdzie indziej. Uplasował się z przodu, tuż obok zwolnionego stolka, chwycił naczynie z bukietem ostu i uniósł ten emblemat i „alegorię” ku górze, ku belkowanemu sufittowi izby. Tak groźną przybierając postać, wyrastał ponad zebranych. Gigant, szalony mąż; zrazu lamentujący Mojżesz, któremu odjęto język, aż wreszcie jednak słowa popłynęły: niemy, klujący, przez wiatr rozsiwiany, przez osły jedzony, przez chłopów przeklinany, karzącego Boga rośliną-kara i plaga, ten oto oset jest waszym kwieciami i waszą Ojczyzną! Tu Gryphius upuścił klujący symbol Niemiec, by rozbił się wśród nas.

Piękniej nikt nie umiałby tego zrobić. To trafiło w nasz nastórj. Nigdy w sposób bardziej pogładowo nie ukazano nam Ojczyzny. Wyglądało to prawie tak, jakbyśmy byli teraz zadowoleni i na sposób niemiecki radzi z widzialnej siły naszego bólu. Do tego oset wśród skorp i resztek ziemi pozostał nienaruszony. Widzimy, zawołał Zesen, jak bez szkody przetrzyma nasza Ojczyzna najgorszy upadek!

Wszyscy widzieli cud. I dopiero teraz, gdy zapanowała dziecinna radość z nie zniszczonego osu, gdy młody Birken zebrał rozsypaną ziemię i oblepił nią korzenie, a Laurembreg pobiegł po wodę, teraz dopiero, wobec znowu pogodnego towarzystwa, a zanim mogłoby ono znowu rozpocząć swą zwykłą paplaninę, przemówił Simon Dach, obok którego stanął Daniel Czepko. Już w czasie gorączkowych, gwałtownych poszukiwań zagubionej, nie rozpoznawalnej, czy też całkiem w chwasty zamienionej Ojczyzny, obydwaj zajęli się, tu wykreślając, ówdzie uzupełniając, ostateczną wersję manifestu, którą Dach teraz odczytał, zaś Czepko wziął się za jej przepisywanie na czysto. Manifest pozbawiony został całkowicie grzmiących zwrotów Rista. Nie objawiał żadnych prawd ostatecznych. Była to zwykła próba zebranych poetów, skierowana do wszystkich, układających się o pokój

stron, by troski ich, bezsilnych wprawdzie, lecz na nieśmiertelność pracujących, nie przeszły niedocenione. Nie obarczając odpowiedzialnością jako rabusiów ani Szweda, ani Francuza, nie oskarżając Bawarii o handel prowincjami i nie wymieniając konkretnie ani jednego ze skłóconych wyznań, wskazywano na możliwe niebezpieczeństwa na przyszłość związane z niewłaściwym traktatem pokojowym: do wymarzonego dokumentu, wkraść się mogą załączki przyszłych wojen; jeśli zabraknie tolerancji, to tak gorąco pożądana zgoda religijna przerodzi się tylko w dalsze spory wyznaniowe; niechże, na Boga, przy odnawianiu starego porządku, na którego błogosławione przyjście czekamy, nie wróci też dawna nieprawość i wreszcie troska zebranych poetów jako patriotów: Rzeszy grozi takie rozczłonkowanie, że nikt już nie rozpozna w niej swojej ojczyzny, niegdyś niemiecka zwanej.

Ten apel pokojowy z ostatniej ręki kończył się prośbą o błogosławieństwo boże i — zaledwie gotowy był na czysto przepisany tekst — podpisali go bez dalszej już dysputy najpierw Dach i Czepko, potem inni, na końcu Logau, przy czym radośnie, to znów ze wzruszeniem, padali sobie poeci w ramiona, jakby ich prośba już teraz została wysłuchana.

Wreszcie byliśmy pewni, że czegoś dokonaliśmy. Ponieważ brak było w odezwie patosu, w tym tonie zabrał głos Rist: uznał miejsce, dzień i godzinę za ważne. Dzwonów bicia trzeba by teraz. Ale dzwonek wiszący przy drzwiach dużej sali zbyt nikły wydał dźwięk. Tym razem nie gospodyni wezwała do stołu. Plon nocnego połowu usmażono pod okiem Grenflingera. Gdy zebrani poeci ruszyli hurmą z dużej sali do malej izby gospody, nikt już nie zważał na poniewierający się wśród skorup oset. Wszyscy myśleli już tylko o rybach. Ich zapach przyciągał i poszliśmy za nim.

Simon Dach, niosący ze sobą ów tak ważny papier, musiał poczekać z mową pożegnalną. Ryby miały pierwszeństwo...

Przełożył Jan Miziński

przekroje

ZASADA RYZYKA

Umiejętność podejmowania ryzyka wydawniczego oznacza czynną akceptację prawa autora do ryzyka artystycznego (niekiedy z punktu widzenia wydawcy — także politycznego). To, co zrazu kontrowersyjne, bywa w kulturze najbardziej znaczące. Zasadę odważnego podejmowania ryzyka wydawniczego pojmować zatem należy jako premiowanie wartości kontrowersyjnych kosztem tego, co ledwie przeciętne artystycznie i nijakie.

Wydaje się, że decyzje wydawnicze edytorów serii „Debiuty Pojezierza” wynikały w większości przypadków z takich właśnie założeń. I już ten fakt przemawia za zdecydowaniem na korzyść olsztyńskich wydawców. Drugą ich zasługą jest znakomita oprawa graficzna debiutanckich książek (seria olsztyńska mogłaby niewątpliwie być pod tym względem wzorem dla pozostałych wydawców).

Obok książek ocenianych jako słabsze, których pojawienie się jest przykrą, acz nieuniknioną konsekwencją służnej w zasadzie postawy wydawcy, oraz takich pozycji, na które pod względem trafności decyzji wydawniczej spojrzeć można jedynie dopiero z perspektywy innych książek, znalazły się w „Debiutach Pojezierza” propozycje znaczące. Zaliczyć tu trzeba, mimo zastrzeżeń sformułowanych przez recenzentów, tomy Kazimierza Brakonieckiego i Zenona Żłakowskiego oraz znakomitą książkę Piotra Mıldnera-Nieckowskiego. Poezja tego ostatniego ukazuje w bardzo ostry sposób proces minoryzacji człowieczeństwa i podejmuje tym samym jeden z podstawowych problemów współczesnej kultury, nawet jeśli — jak chce recenzent — zmagania ograniczają się tutaj niekiedy do poetyckiej rejestracji.

Jest rzeczą interesującą, że wspomnianą na wstępie zasadę odważnego ryzyka wydawniczego realizują z korzyścią dla kultury wydawnictwa, które dziś jeszcze w odczuciu części krytyki funkcjonują jako peryferyjne (to, co napisałem o „Pojezierzu” da się odnieść z pewnymi zastrzeżeniami do serii poetyckiej Wydawnictwa Morskiego oraz do tomików wydanych w ciągu ostatnich dwóch lat przez Wydawnictwo Lubelskie). Tymczasem dwa wydawnictwa, które wzięły na siebie w dziedzinie poezji

debiutantów zadania szczególne, nie potrafia znaleźć sensownej formuły działania: na ile kilkunastu już chyba anemicznych tomików wydanych przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą tylko dwa (Dominika Opolskiego i Macieja Cielę) zasługują na większą uwagę; artystyczna miernota zdominowała w trzech czwartych obfitą produkcję poetycką „Iskier”. Jeśli dodatkowo pamiętać, że najwybitniejsi poeci młodego pokolenia stawiali pierwsze kroki w oficynach nieprofesjonalnych, rzecz musi zastanawiać. Czyżby to, co nowe i ważne w polskiej poezji, musiało wchodzić do niej „bocznymi” drzwiami?

wbw

ANDRZEJ STANISZEWSKI

MARZENIE O TRANSCENDENCJI

Poetycki debiut Kazimierza Brakonieckiego wypadł okazale. Co drugi wiersz posiada motto ze znanego traktatu filozoficznego lub odwołuje się do wątków i motywów uświęconych tradycją. Jest Tomasz Mann, Dostojewski, Aniel Ślązak, Heldegger, Jaspers, Hölderlin i Kierkegaard. Simone Weil i Andreas B. stają się wzorowymi bohaterami dla młodego poety. Bo świat współczesny — zdaniem autora Zrostów — jest odrzucający, zaklamany i obudny. Nie ma takiego wiersza w debiutanckim zbiorze Brakonieckiego, w którym podmiot liryczny akceptowałby stan współczesnej świadomości i wartości odziedziczone po przodkach. Bóg spotkał pewnego razu na ulicy Andresa B. i ukazał mu brzydotę doczesności i rzeczywistości:

na chodniku kury rozgrzebywały ciepłe odchody, ludzie
spozierający niechętnie z wieczornej mgły
byli wystarczająco zaspokojeni własnym ciałem,
opitym kłamstwem, aby być po drugiej stronie

zapartych,
promieniem powłok.
(Metafory)

Tylko w mistycznym upojeniu jesteśmy w stanie zrzucić z siebie to wstrętne brzemie rzeczywistości, opuścić padół ziemskich trosk, win, przeznaczeń. Ale to, o czym marzymy, do czego tęsknimy, jest niewypowiedziane, tajemnicze. Nie każdego zresztą stać na wysłakę godną największych wizjonerów współczesności. Autor Zrostów w prezentacji swolch możliwości mistycznych, a także w opisywaniu wizji już mających miejsce, doprowadza do wyznaczenia zdumiewających swolch bezpośredniością i sporą dozą ekshibicjonizmu. Teraz on — jak Andreas B. — ma widzenie:

w październiku 1977 roku jestem żebrząc
wywołała mnie.
odwróciłem się do ściany opadając pragnieniem
czystości, które rozdzielało mnie
zgleł i przestach dochodziły do wielkich
okien, porastających niebieską pianiną.
stałem się płakającym miściem,
zagojonym mózgiem, który ciągle
podpowiada wspomnieniem.

czyją
tworzą nie do uratowania,
zapomniane grozy roku.

(Metafory)

Tylko prawdy uzyskane w takich chwilach mają swój sens i wartość uniwersalną, nawet wtedy, gdyby prowadziły do samoudręczenia i kompletnego wyeksploatowania sił vitalnych. Poznać prawdę nawet kosztem życia — oto zasadniczy cel filozofii młodego człowieka, bardzo konsekwentnie wyznawanej. Cały tomik Brakonieckiego utrzymany jest w „ciemnej” tonacji egzystencjalnej, bez względu na ogólny wydźwięk estetyczny całego debiutu, wyprowadzający drastyczne pytania o sens bytu i granice jego poznania.

że jeśli stanę po stronie śmierci
to zawsze będzie to prawda życia
nie do odebrania, cała w szczegółach,
dogorywająca gdzieś w psychice,
łatwa do rozpoznania dzięki skurczom
palców, zakażonym oczom, dzięki
ciężarowi krwi, który gromadzi
pustą ziemię, aby mógł po niej
dotrzeć człowiek

(Metafory)

Problematyka egzystencjalna wiersza Brakonieckiego ma dwa charakterystyczne kręgi semantyczne, ściśle odpowiadające jego ogólnym założeniom filozoficznym, ponadto w sposób wyjątkowy poetyka dzieła odpowiada jego tendencji poartystycznej. Pierwszy krąg ontologiczny i semantyczny zarazem dotyczy jestestwa poety, najbliższych swolch związanych z jego egzystencją. Stąd tyle w jego wierszach pepowin, połów, obrazów rodzajowych matek. Dociekania Brakonieckiego mają zawsze wymiar absolutny, dążą do poznania prawdy w jej najdrobniejszych i podstawowych przejawach.

na początku byłem ja: naokrutniejsza
nicot — nie ukończona cioto nie
rozmaszerowany w tej ciemności wzrok.
teraz przeczułem kołysząc mnie
larw, ona ma prawo mnie zabić
uczłowieczyć zieloną tył, rozciąć
lepkie oczy:
śmierć poroniła mnie w czasie.

(Rozkład)

Drugi krąg zagadnień, mający także odbicie w sferze artystycznej wiersza, posiada zasięg bardziej uniwersalny i stanowi próbę umiejscowienia podmiotu lirycznego na tle ogólnocivilizacyjnego genesis. „Księga rodząją” Brakonieckiego w zakresie stylizacji jest wyraźną rekonstrukcją swolch biblijnych hipotetycznych wizji narodzenia życia na naszym globie. Basmowy przepatek zawiera jednak u swolch podstaw ważne konstatacje egzystencjalne:

kiedy wyruszałem do głębi światów jako doboz
z kopca mrówek
śmiejący Bóg się rozpadł na lasy spadły wilgotne
rzący na jeziora włosy
całe ciało materii podsiągało ogniem
podziemię —
i dusza była już wolna.

(Księga Rodząją)

Zdumiewające są te stany kontemplacji podmiotu, zupełnego „wtopienia” się w samego siebie i próby podłożenia pod każdy szmer wewnętrzny odpowiedniego komentarza. Z reguły debiutujący poeci utożsamiają się ze światem zewnętrznym. To, co najbliższe ich doświadczeniom, stanowi przedmiot lub podstawę ich refleksji i nastrojów. Dla poety-intelektualisty, a takim Brakoniecki jest niewątpliwie, elementy przyrody nie stanowią tła dekoracyjnego, ale sygnalizują trwanie ważnego dla podmiotu procesu ontologicznego.

zajnuć się
wystają mi z nozdrzy włókna korzeni
z uszu ślimaki
ciągną za sobą chyboczącą się
z boku na bok ziemię
pozostał ze mnie
purpurowy ślad
wokół szeleszczącego trąbką słonica

(Pełna rozpęty gra w stalona)

Ornamentyka barokowa i inkrustacja fizjologiczna debiutanckich wierszy Brakonieckiego może dziwić ze zrozumiałych względów szokować, szczególnie tych odbiorców, którzy przyzwyczajeni są do poezji oszczędnej w środkach poetyckich. Przyszłoby pokazać, czy była to tylko maniera poetycka, czy rzeczywiście początek autentycznej drogi twórczej.

Kazimierz Brakoniecki: *Zrosty. Pojezierze*, Olsztyn 1979, str. 76, nakład 1000 egz., Seria „Debiuty Pojezierza”.

JAN ROSLAN

BEZ RECEPTY NA ŚWIAT

Obazerny, jak na debiut, tomik poetycki Bogusława Falickiego *Próba generalna ucieczki* mógłby zadowolić i zadowolił kilku recenzentów, którzy w tomiku chcą dostrzec się jednolitości tematycznej i poetyckiej. Pod względem formalnym jest to tomik bardzo jednolity, ale trochę Falicki przesadził, bo w kilku bardzo krótkich wierszach powtarza niemal identyczne sformułowania.

Przykładowo:

ty moją twarz i swoje wnętrza
ja twoją twarz i swoje wnętrza

odnalazłem trzykrotnie. Brak selekcji w tym tomiku, wiele krótkich refleksyjnych zapisków, to zabawy na ten sam temat. Mogą to być zabawy dla autora, ale po co czytelnikowi serwować tyle powtórek?

Zaczęłam od drobnych wad tomiku, ale wiersze Falickiego mogą posłużyć do odrębnych rozważań na aktualny w polemikach młodoświeckich temat: są one wyrazem świadomości postnowofalowej, kiedy to nie obrano jeszcze nowych kryteriów wartości i poetyckich odniesień. W poezji Falickiego nie ma pełnego samookreślenia, potwierdza to nawet brak tytułów wierszy. Tylko dwa z nich, na czterdzieści, posiadają tytuły: *Rypsiol* i wiersz tytułowy tomiku.

Książkę otwiera wiersz nawiązujący do znanego utworu Andrzeja Bursy o pocie cierpiącym za miliony od godziny do godziny... U Falickiego poeta też, jak i u Bursy, cierpi w godzinach służbowych:

Poeta na ostrym dyżurze u knajp
(...) stara się utrzymać to wszystko w kupie
i zdać uporządkowaną całok
nie nowej epoce
lecz zmiennikowi przychodzącemu zawsze
kiedy mu się zechce i dialektykę

Wielkim różnic, co do roli poety, między Burą a Falickim właściwie nie ma. I tutaj trochę ironii, i tam, tylko że u Bursy ta ironia jest gorzka i tragiczna. U Falickiego przebłyka wiary, że to istnienie poetów nadaje sens temu światu, że to historia jest tworzona przez jednostki, a nie odwrotnie.

Podmiot wierzy Falickiego chce być aktywny, ale nie może wybrać i określić kierunku swojej aktywności. Jest to na razie próba szukania jednolitości ze światem i oby na tym wszystkim się nie skończyło. Bo poeta ze światem, jeżeli chce go zmieniać, pogodzony być nie może.

Dawno już pogodziłem się ze śmiercią
lecz ciągle nie mogę pogodzić się z życiem
(...) Poza tym z wrodzoną koniecznością przeżywania świata.

Brak w tych wierszach ekspansywnego stosunku do świata, to życie na jednostce wymusza aktywność. Życie atakuje, i gdy „moja wewnętrzna Babel / zawałła się / i teraz już nie nie mogę zrozumieć” — tylko konstatacja: „Człowiek istnieje od jednej wieży Babel / do drugiej / i tak / bez końca / do końca”. Zrozumienie tego paradoksu, nie może być równoznaczne z pogodzeniem się z nim. W *Próbie generalnej ucieczki* mamy stwierdzenie: „Minęły dwie godziny czekania / a ja nie wiedziałem przyszłemu czy nie”. Egzystencjalne niepokoję, ale bez głębi przeżywania. Jest tylko pogodzenie się ze swoją bezsilnością, nawet bez próby zrozumienia jej pochodzenia. „Jestem / tym który przemija / przyszedł i odchodzi / Jestem / tym który nie może zdążyć opowiedzieć się / w pełni / zupełnie / spokojnie / bez obaw / o różne takie!”.

Skąd u Falickiego ta zgoda na porażkę, bez próby podjęcia walki? Rejterada, na którą wskazuje nawet tytuł tomiku. Ani śladu własnego programu, odruchu obronnego:

Przyjmę argument mojej obecności
ale uczynię to wyłącznie
dla dobra jej państwa.

Szczyt pasywności z pozorem zachowania twardzi.

Przyczyna takiej postawy tkwi niewątpliwie w rzeczywistości zewnętrznej. Ale Falicki nie obnaża jej mechanizmów, nie penetruje, a priori zakłada jej niszczycielską rolę w oddziaływaniu na jednostkę.

Tu ci nikt nie odpowie na żadne pytanie
Ale ty musisz je stawiać coraz bardziej
Tu nikt ci niczego nie da
nie licząc tutaj na zaspokojenie najulekniejszych głodów
Ale to nie znaczy że musisz przestać żebrać.
Tu ci niczego nie wyjaśnią
Z tego co w tobie głodne światła
Ale ty jesteś tak zbudowany że to wytrzymasz.

Rzeczywistość u Falickiego jest dana z góry i stąd trzeba się na nią zgodzić. „Nowofalowy” rzeczywistość rozpoznawał, Falicki wykorzystuje jej obraz tylko do uogólniających pojęć. Pozornie mogłoby się zdawać, że wiersze Falickiego to kopie utworów „nowofalowych”, szczególnie niektóre z nich, z tematem ulicy, punktu informacyjnego itp.

Jest to podkreślenie przejęcia doświadczeń tej formacji poetyckiej, szczególnie antypoetyckiego języka. Nawet w erotyku mamy fragmenty:

rozumiem, najdośćliwiej zabijam cię partnerstwem,
współżyciem, współpracą, współlaniem co wszystko
jest socjalnym spółkowaniem, którego opłacanie
przerasta nasze zasoby finansowe, mieszkaniowe, żywieniowe

Na przykładzie tomiku Falickiego można ujawnić stan świadomości młodzieży marzącej dopiero o literackich ostrogach wiedzy, kiedy Nowa Fala wybuchła najsilniejszym gejerem. Przecież Falicki debiutował w roku 1971. Jak można zauważyć, przeglądając debiutanckie książki poetyckie ostatnich lat, frówki językowe zaproponowane przez Nową Falę są nawet nadmiernie wykorzystywane przez młodych autorów. Czyżby tak duży wpływ miały echa buntu poprzedników, którzy nie chcieli być poetyccy, a tylko współcześni? A może to sygnał zjawiska ogólniejszego, poddania się potokowi języka sprawozdawczego, bez odrobiny samokontroli. U Falickiego to poddanie się językowe jest widoczne.

Z tomiku Falickiego należy wyłowić jeszcze subtelne erotyki, nuty poezji teistycznej, ale bez tłumaczenia porządku tego świata, i wiele utworów nutotematycznych. Autotematyzm wierszy, często natrętny, świadczący o braku nawiązania bezpośredniego dialogu ze światem: „Tylko poezja / zna sprawdziany / Inne niż darwinowska poprzeczka” (Andrzej Tchórzewski autotematyzm poezji, częsty u debiutantów, tłumaczy brakiem inwencji tematycznej).

Książka Falickiego jest więc wypadkową wielu światopoglądów, kierunków i form poetyckich. Jest przez to bogata, ale bez ponoszenia ryzyka wyboru światopoglądowego nie może być mowy o własnych w pełni odpowiedziałnych propozycjach poetyckich.

Bogusław Falicki: Próba generalna ucieczki. Pojezierze, Olsztyn 1979, str. 84, nakład 1000 egz. „Debiuty Pojezierza”.

JANUSZ LEWON

BEZ JAKUBOWEJ DRABINY

Od sześciu lat Alicja Bykowska-Salczyńska drukuje swoje wiersze. Debiutowała na łamach ITD, a teraz wydawnictwo „Pojezierze” wydrukowało jej tomik pt. W przerwie pomiędzy światłem a zabawą. Zebrane tam wiersze pochodzą z różnych okresów twórczości. Starannie skomponowana całość ukazuje rozwój warsztatu poetyckiego, a przede wszystkim ewolucję świadomości pisarskiej, która ściśle związana jest w wypadku Salczyńskiej z pokoleniowymi perypetiami jej rówieśników. Kontestacja końca lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych to jeden z głównych tematów wierszy Alicji Bykowskiej-Salczyńskiej. Podmiot poetycki przekrotnie dystansuje się od zbiorowego, pokoleniowego „my”, mówi — „oni!”, choć sam o sobie powie:

tak
przyznaję się chciałam ostrzec
kilka milionów ludzi
tak
odciągnąć choć kilku z nich
od wysypiającego ciepła ekranu

(Przyznaje się nie)

Stało się jednak coś, nie wiadomo co, ale ten bunt uduśli się resztkami swojej nadziei:

a teraz idę ślepa uliczką
wspólnie z innymi adeptami uniesień
utrąca mi życie Allan Ginsberg

(Przyznaje się)

Pokoleniowy krach staje się dla Bykowskiej śmiertelą wszechświata, wewnętrzny wyrok kosmosu, natury, katastrofizm zalewa wypalony krajobraz. Śmierć staje się jedynym widocznym lataniem. Figura paradoksu spina jeden z najbardziej dramatycznych wierszy pt. *Nieuleczalna*. Rwany rytm krzyku rodzącej starej wariatki i cyniczny komentarz słoty doprowadzają wers po wersie do finału prawdziwej i konkretnej Apokalipsy:

otwiera oczy
nowo narodzona śmiertel

(Nieuleczalna)

Katastroficzny cykl wierszy zamyka utwór *Gorączka*, modlitwa zmieszana z chorobliwym majakiem, która jednak wyprowadza podmiot poetycki z tego upiornego krajobrazu samobójczych kaskaderów życiowych, kołyszących się ciał, stygających trupów. Magiczne słowo „pomóż”, „zmuś mnie” łagodzi rozhuśtaną wyobraźnię, oddającą świadomość od nierozwiązywalnego problemu życia i śmierci. Poetka zyskuje epicki dystans, wiersze stają się przejrzyste, precyzyjne. Świat od czasu bolesnej rewolty staje się światem — obiektem przeznaczonym do poetyckiej analizy, zabawy, przedziwnym iluzyjnym tworem, gdzie zdarzają się groteskowe scenki i jakieś tragicomiczne role. Małe odłamy, zabawione ironią, to wiersze pochodzące z ostatniego okresu twórczości.

Oddala się pokoleniowy wrzask, cisza samotnej utopi walczy już tylko z uległością wobec okoliczności, presji, nastrojów. Poetka wie, że może ulec, wie, że byłby to koniec, nie będzie już nic do powiedzenia i tak naprawdę nikt za to nie jest odpowiedzialny. Kreator tego dramatu jest bowiem nieobecny, to nawet nie jest czas, świat dorosłości, inni ludzie. Jest to tak samo nieuchwytny jak fakt, że pojawia się jednak wyobraźnia wbudowana w znikającą materię, ale rozbiaykująca raz na wieczność w mydlanej bańce chłopca z obrazu Van Mierisa:

komu każda bańka upragnionym łądem
gdzie u wodopoju zniekacza pogodzone
zwlazają i gwałdzi ludzi i rośliny
abstrakcja i przedmioty

(Van Mieris
„Chłopiec puszczający
bańki mydlane”)

W wierszach Alicji Bykowskiej-Salczyńskiej gdzieś zawsze ukrywa się utopia, arka dążeń upragnionego dzieciństwa. Nawet w wierszach „pokoleniowego krachu” zostaje jej nikił świat, który być może pozwala opuścić stan odpowiedzialności zbiorowej i wyruszyć indywidualną drogą ironicznego poety.

Utopia Salczyńskiej jest punktem, stałością, stanem skupienia. Nazywa ją autorka „gwiazdą dzieciństwa”, szklanym dżbanem pełnym żywej wody. „Skupienie pod grubym kaftanem ukrytym” (wszystkie określenia pochodzą z wiersza *Van Mieris „Chłopiec puszczający bańki mydlane”*). Punkt ten, wibrując, stwarza wokół siebie rozchodzące się kręgi; z naszą bezwiednością opuszczają Arkadę postacie wierszy Bykowskiej-Salczyńskiej. Wyhodzą i brną jeszcze w zachwyceniu przez następne rozchodzące się do centrum kręgi: „pierwsze okno na świat” — i spada ich

gwiazda, zostaje już tylko wspomnienie: „rozchodzące się kregi światła pod powiekami” (cytaty z tego samego wiersza). Pamięć tej niebezpiecznej wycieczki ciągnie się dalej, a wierząc staję się dynamiczną próbą kreacji Arkadii od nowa:

rozpisany na szorstkość kamienia
utrudzenie poległa ciepło roli
czy byłby prolegomeną do pojednania
światów

(Niebieski stadion wiersza)

Średniowieczna drabina istnień łamie swoją hierarchię. W totalnej akceptacji wszystkiego co jest, wolnego i chaotycznego świata, poeta szuka uspokojenia, wewnętrznej harmonii, pojednania. Ale tak, jak świat dziecinnej utopii był dany, tak kreacja arkadyjska jest zadaniem, a więc ideologią, wymagającą publicznej zgody. Poetka staje się więc demagogiem utopii, skazanym, przez sprzeczność zadania, na rozczarowanie:

żeby nie zapomnieć
smaku jabłka
przeżarzenia ziołowej
tęsknoty

(Przynajmniej się)

Utopia bez możliwości zaistnienia w rzeczywistości usuwa się przede wszystkim w poetycką zabawę, pozbawia się ciała; jest genialnym fajerwerkami gdzieś w antyświatach.

to starożytnym mieście Toor
tam człowiek wyzwał się z ciała
w elektromagnetyczny pór złotych pior
czysta osobowość ma niezmiennie
zszedła i milion lat (...)
wojny aż do zaprzeczenia świata

(Spotkamy się...)

Daleko od dziecinnej zabawy, już w świecie dorosłych instytucji: szkoły, redakcji, mieszkań spółdzielczych, rekwizytów codziennej iluzji, w atmosferze dezodorantów, pozbawiona wszelkiej realności Arkadia dziecinnej gwiazdy restauruje się w osobie Ojca, kogoś kto zawsze mieszka w Toor, niezauważalny wówczas, teraz jako jedyny adresat poetyckiej spowiedzi, z tamtej strony może przywrócić wszystko stracone i rozproszone: mądrość, uspokojenie; może przynieść pomoc.

tak ojciec
nie ma nikogo
nie ma takiego
którego mógłbyś zapytać: coście z nim zrobili
z ich niecierpliwością
ojciec ojciec

(Przynajmniej się)

Modlitwa staje się jedynym pomostem, by wrócić; Ojciec jedynym przewodnikiem z powrotem do domu.

Ojciec jaka gładka jaka śliska
jest kartka na której dogasa
nasze bezpamiętność

(Szczęść)

Bezmienny Bóg-Ojciec wzywany jest rozpaczliwym tonem psalmu w wierszu Gorączka:

pomóż mi naprawić mój ciemny ból
pomóż strachom ułaskawić

Zadziwiający jest to wiersz, przełamuje się w nim rozpacz i rozgoryczenie całego pokolenia protestu. Powolne ozdrowienie przynosił aceptacyjną, irracjonalną myśl, że wszystko jest zabawą, z tąca się nadzieją na wyzwolenie.

Z pewną obawą Alicja Bykowska-Salczyńska udośćpnia czytelnikowi swoją twórczość. Osobistość jej wierszy jest czasami wprost zawstydzająca. Autorka zresztą sama przestrzega przed tym drobnym grzechem, który każdy z czytelników może popełnić. Lubimy bowiem:

dopisywać wyjaśnienia poetom
gromić ich utopie

(Zaczynam od grzechów drobnych)

Alicja Bykowska-Salczyńska: W przerwie pomiędzy światem a zabawą. Pojezierze, Olsztyn 1979, str. 46, nakład 1000 egz., Seria „Debiuty Pojezierza”.

WALDEMAR MICHAŁSKI

„PRZECZUCIE BITWY”, CZYLI Z TARCZĄ LUB NA TARCZY...

Debiuty poetyckie, jakie każdego roku, w mnogiej liczbie, prezentują nam różne wydawnictwa profesjonalne i „chałupnicze” są niewątpliwie lekturą wielce frapującą. Zaangażowanie czytelnicze, jakie towarzyszy tym tekstom wynika, jak sądzę, z wielkiego pragnienia odkrycia talentu, może nawet geniuszu, który wreszcie „ruszy z posad bryłę światła” a przynajmniej nasze tłuste śmiełki wywróci na nice. Gdy biorę więc do ręki tom wierszy Jerzego Górczyńskiego pt. *Przecucie bitwy* i czytam słowa:

Niosę w sobie dramat rozdziału
protody i przebaczenia
dramat przekleństwo nieumarłych
przechodzących
z pokolenia na pokolenie

(Niosę)

— myślę, że to już jest coś! Mierzenie siły na zamiary jest duchem każdego poety! Choć trzeźwość umysłu podpowiada mi bolesną prawdę, że to właśnie „zamiarami” uduślił poeci swoją poezję w latach sześćdziesiątych naszego wieku. I nie zapobiegły temu ani „Hybrydy” ani inne himnorojdy...

Chciałbym wierzyć Górczyńskiemu, że jego poezja będzie wyrazem programu, jaki w cytowanych słowach zarysował. Mogę w to wierzyć, ponieważ mam przed sobą debiut, a więc przecież zapowiedź. Wierzę w to także dlatego, że stać go na ciekawe sformułowania i przemyslenia daleko wykraczające ponad przeciętny poziom tekstów debiutanckich. I jestem gotowy dodawać ducha młodemu poecie, który nie spodziewanie, w otwierającym tom *Czerwony wiersz* wyznaje: „Sam jestem tylko śmiertelnym i wiernym”. To prawda, wierność śmiertelnym chodzi drogami, ale nikt z nas nie powinien być ani mało, ani nawet

średniowieczny. Dlatego nie wątpliwe, że Górczyńskiego *Przeczcucie* bitwy to właśnie przeczcucie zwycięskiej bitwy, do której się staje z wyboru, świadomie i niekoniecznie z pozycji już leżącego:

*Dlatego w końcu ustaliliśmy
bo nie było wyjścia jak wstać
i zwyciężyć
smak ziemi czując na ustach*

(Historia)

Cieszy fakt, że w tych wierszach znajdujemy formułę zwycięstwa: jest nią „kochanie prawdy”. Zgadza się z poetą, który jej wyznawców zapewnia:

*Dlatego nie zpatnieisz zanim nie upadnieisz
Nie będziesz mógł*

(To on)

W wierszach Górczyńskiego niepokoić może kilka różnych spraw. Na dwie z nich chciałem tu szczególnie zwrócić uwagę. Pierwsza łączy się z nadmierną i przesadną ekspozycją motywów jakby wprost zaczerpniętych z Apokalipsy, a więc różnych „jeźdźców”, „gwiazd” wiodących, czy też innych „proroczych” rekwizytów. Doprawdy namnożyło się ostatnio nie tylko wiele różnych rodzaju horoskopów, ale też najbardziej infantylnych bzdur i bredni, krążących jako „przepowiednie”. Cień tego rodzaju „twórczości” niebezpiecznie daje się zaobserwować nawet w wierszach z tomu zdolnego młodego poety: po co i komu dziś potrzebne wiersze w rodzaju:

*Kwiaty dym zmierechu otulone kwiaty
sny senniejsze od morza dobroci
po falach mrok czołga srebrne serpenty
biegną wśród drzew i wokół księżyc*

(U on)

Nie, i jeszcze raz nie! Dostyć już tych wszelkiego rodzaju młodopolskich malowideł! Wierszy, m.in. takich jak cytowany *U wrót oraz Tańczącej i Z nieznanego listu* dziełczyzny nie polecam nikomu — na szczęście w tym tomie nie ma ich wiele.

Jerzy Górczyński to poeta ciągle jeszcze in spe, chociaż mierzy wysoko!

Jerzy Górczyński: *Przeczcucie bitwy*, Pojezierze, Olsztyn 1979, str. 69, nakład 1000 egz., Seria „Debiuty Pojezierza”.

ANDRZEJ NIEWCZAS

SCEPTYK POCIESZENIA SZUKAJĄCY

Tytuł zbioru wiernie oddaje problematykę wierszy zawartych w tomiku Zenona Żłakowskiego. Jest to rzeczywiście pełna dziwności podróż od początku do końca świata, od narodzin do kresu życia, od rana do nocy.

Czas powstawania i trwania świata ma wymiar absolutny, jest zarówno dwudziestowieczną współczesnością, jak i wszelkim poprzednim wiecznym czasem; wędrówka w czasie trwa przez wieki i epoki, „od milionów lat z okładem”. Dlatego w owym niezmiernie pojemnym świecie nie dziwi istnienie obok siebie przedmiotów, zjawisk z różnych epok:

*na bezmiernie niebieskim niebie
samolot szubując zmienia się
w pterodaktyla*

(Smuga cienia)

W owym „absolutnym” świecie początek drogi, narodziny człowieka są aktem bardzo „czystym”, nie obciążonym przeszłością:

*Obudziłem się
nie mając w sobie Freuda ani żadnego Junga
żadnego archetypu ani płaza...*

— mówię podmiot wiersza otwierającego zbiór. Zauważyliśmy, że wspomniane narodziny są także napiętnowane tytułową dziwnością: jest to przebudzenie się z zachowaniem pamięci o tym, co było, a właściwie co jest w wielkiej jednoczesności.

*Rzecz dziwna pamiętałem nawet wiersz
który wiedełalem napisał Quasimodo
on jednak urodził się z mną raniem...*

Narodziny — poranne przebudzenie to okres szczęśliwości, w którym panuje wszechwładna ufnosć wobec świata, lecz coraz bardziej „klebek czasu rozwija się”, przybliża się i zaznacza kraniec owej wdzięku: śmierć jako konieczne dopełnienie.

Charakterystycznemu, pozornie paradoksalnemu słosunkowi zawieszenia wielości płaszczyzn czasowych w wiecznym trwaniu, w jednoczesności towarzyszy beznamiętność kosmicznej przestrzeni z jej sferą niebieską, planetami, gwiazdami, kalęzycem, rozległość ziemi: wód, łądów, gór.

*Tu, w bezmiernej „czasoprzestrzeni” istnieje człowiek:
potomek samoloty rodu prawiecznego, nie barbarzyńca nie
myśliwy*

z nie odciął pępowa

Swolista kosmogonia Żłakowskiego funkcjonuje na zasadzie przemierzających się opozycji. Zasadnicza dialektyka, ulegająca ciągłym przeobrażeniom, to porządek boski i ludzki; teoria materialistycznego ewolucjonizmu i istnienie Absolutu. Dlatego i podmiot wierszy zajmuje różną pozycję wobec świata: różne są jego funkcje i możliwości; bywa, że obdarzony zostaje mocą twórczą:

*stworzę świat
bogatszy o prądy wysuchane w błocie
w ścierci ukryte
pod rybą łuską złotym pancernem
w nagłej postawie perły*

(Dziwna światła)

lub po prostu jest opisywaczem aktu stworzenia: „opisuję człowieka co wyrósł z ziemi” (Zródło), „napiszę odyseję, boską księgę” (Dziwna światła), obserwatorem powstawania świata, własnych narodzin itp. Opowiada się za logiką materialistycznego porządku świata, by w innym miejscu wykazywać kruchość materii.

Dialektyka pojęć: życie — śmierć; ciało — dusza; Absolut — materia; niebo — ziemia występuje w ciągłym niedookreśleniu, nieustannej ambivalencji. Czyste niebo, które „mógł zepsuć materii donosiny”, ciało, w które niepostrzeżenie wsuwa się dusza, obcowanie na granicy nieba i ziemi, podróże do kresu życia, o której nie wiadomo, czy jeszcze trwa, czy już nie, logiczność funkcjonowania świata przyrody, mądrość natury

przemieszana ze zwykłym przypadkiem, zbiegiem okoliczności — to charakterystyczne, typowe obrazy zbioru.

Stale akcentowana potrzeba, a jednocześnie niemożność rozumienia świata rodzi wielką trudność w określeniu pojęć: dobro—zło, sprawiedliwość—niesprawiedliwość, nagroda—kara (Okruzynki, Sprawiedliwość, Kain i Abel).

Kosmogoniczne i historiozoficzne wizje Żłakowskiego są dziwne. Mają budzić pewność, utnoć w logikę świata; zostawiają jednak wiele miejsc otwartych, formułują szereg pytań dotyczących ludzkiego bytowania: życia, miłości, twórczości, na które trudno znaleźć odpowiedź. Cała ta złożoność zjawisk powoduje pewną niekonsekwencję twórczą: niepewność, niepokój mające są — z drugiej strony — przez nazbyt relokacyjny i często kontemplacyjny stosunek do rzeczywistości (mimo pozorów postawy aktywnej). O ile wymienione wcześniej sytuacje, w jakich istnieje podmiot — czy to jako samozwańczy demiurg, czy jako aktywny obserwator własnego stawiania się — formułą zdecydowaną, zaangażowaną postawę, o tyle rażą niektóre sentymentalne zestawienia:

Kwiaty, białawy i ruda
Jaśka i wieloułotkowa scheda...

(Wyrysowany)

lub

Jakże łatwo zagubić
w kosmicznym pyłe
na szlakach lat świetlnych
kwiat! niezapominajki...

Sądzę, że lepsze są te wiersze o charakterze osobistym, w których stopień pragmatyzacji uczuć jest większy, jak np. w wierszu Pojedynek.

W końcu mam okazję w twoje oczu
rozprawić się z nieodłączną przyłaciełką
duszą moją...
sama nie uratujesz swej skóry duszyczko
musisz czekać
aż śmierć przyjdzie twoje nas pogodzi
śmierć dyplomatka
bezmymna jak łopór...

Niezbyt uzasadniony wydaje się także mentorski stosunek do otoczenia (np. w wierszach Poeń, Obrazek) czy nonszalanckie widzenie dwudziestowiecznej rzeczywistości („kilka rupieci w miarę skomplikowanych”).

W sumie jednak wierszy, które prezentują zbyt dużą dawkę sentymentalizmu, egzaltacji (w erotykach) lub gdzie przeważa zbyt pewny ton nauczycielski nie ma w zbiorze wiele. W tomiku przeważają obrazy ukazujące pełną dialektycznych pytań i niepokoju wizję kosmosu, a zwłaszcza drogę ludzkiego życia.

Zenon Żłakowski: Podróż udułotniona. Pojezierze, Olsztyn 1979, str. 57, nakład 1000 egz., Seria „Debiuty Pojezierza”.

JAN ROSŁAN

SZPITAL JAKO LUDZKI WYNALEZEK

Piotr Müldner-Nieckowski w wierszu Słowa klucze wymienia m.in. „Himalaje (...) Proszę spać/Ludzki wynalazek”. Pierwsze słowo to tytuł ostatniej powieści Nieckowskiego, Proszę spać, to tytuł zbioru opo-

wiadań wydanego w roku 1978, a Ludzki wynalazek jest tytułem debiutanckiego tomiku poetyckiego, który na rynku księgarskim pojawił się jednocześnie z opowiadaniem. Tak więc można napisać o potrójnym debiucie Müldnera-Nieckowskiego i jest jedna rzecz wspólna, która łączy całą dotychczasową twórczość autora łącznie z licznymi słuchowiskami radiowymi; jest to przedstawienie obrazu świata widzianego oczyma lekarza.

Tomik poetycki jest jednak najgłębszą penetracją osobowości lekarza, jest on preludium do określania kondycji ludzkiej w innych gatunkach literackich. Poetza Nieckowskiego jest reportażowym zapisem z sali szpitala połączonym z refleksją o determinacji praw biologicznych, których wszystkich jeszcze nie zdołaliśmy poznać. Jest konstatacją chłodną i bezemocjonalną, że są tajemnice człowieka, których nie da się poznać lancetem chirurga.

Próbną w wierszach Nieckowskiego doszukiwać się filozoficznych rozważań na temat śmierci, metafizyki, brak tu transcendentalnych niepokojów. Jest to poeta tkwiąca w rzeczywistości zamkniętej, skrajnie empiryczna. Przyglądanie podmiotowi, obserwacja, stają się jedynym źródłem poznania i oceny świata, często także sprzeciwu wobec przebiegu zdarzeń. Obiektem poznawczym jest pacjent, bariera między lekarzem a pacjentem jest nie do przebycia, są to dwa światy, które właściwie się nie przenikają, stykają się jedynie na płaszczyźnie podmiotu (w przypadku poetzy Nieckowskiego jest nim lekarz) i przedmiotu, czyli chorego. „Zwierzenia brałem ciepło, toteż nie zauważyłem/ kiedy ta kościółka kobieta umiera”. Lekarz ma swoją prawdę, popartą niezliczonymi eksperturami, pacjent swoją, którą dzieli się tylko ze współtowarzyszami szpitalnej celi.

Rzadko pojawiają się próby poznania prawdy pacjenta, zrozumienia jej, czy przyjęcia do wiadomości:

Tak więc
tępo zbladłem ciężkie jak dynamit.
Przebrałem wleć przez ten etap,
który trywialnie nazywają
przyzwoitością:
wleć przez ten etap,
kiedy poeta nie jest jasnowidzem,
ale widzi jasno.

Jeżeli chcemy zobaczyć szpital oczyma cierpiącego, uprzedmiotowionego pacjenta, szukajmy go raczej w wierszach Czesława Mirosława Szczepaniaka. Wiersze Nieckowskiego ukazują proces obrastania szpitalem, tłumienia indywidualnej wrażliwości. Tylko w przypadkach skrajnych (a w szpitalu jest ich wiele), przy indywidualnej słabości, rodzi się pokusa złamania zawodowych praw, dając pierwszeństwo skrywaniem żywiołowi wewnętrznemu, który musi ulec zdławieniu.

Słyszec próbę o śmierci pod piątką
zrozumiałem sen psa.

Słyszec sen psa — zrozumiałem, że więcej pod piątkę
nie pójdę.

To było silniejsze niż ból brzucha.

Komórki nowotworowe same wlokły te jęłta chude
na tarpałki brzeg.

One zastąpiły współczucie.

Walka o życie nie jest walką.

Nie jest bitwą.

Nie jest władzą.

Nie jest poezją.

Nie jest nienawiścią.

Nie jest pijaństwem.
Nie jest.

Słyszac próbie o śmierci, o podanie trucizny,
zamurowałem intuicję szczerze,
by nie zlapala gdczechu.
Zabiłem ją szpuntem u beczce diogenesowej.
Na oddziale męskim facet zarył nogami tu sufit.
Tam pobiegłem, żeby już nie nie słyszeć.
Żeby nie pamiętać, gdzie trucizna jest schowana.

(Opaska pończosze)

Piotr Müldner-Nieckowski obficie zatem czerpie z mało penetrowanej przez poetów rekwizytorni szpitala. Nie epatuje jednak (jak przykładowo Wojacek) obrazami drażliwymi; krew, ten ulubiony motyw miodych poetów, nie tryska tu prawie wcale. Czyżby to był dowód przyzwyczajenia, stepionej wrażliwości? Nie, dramat u Nieckowskiego rozgrywa się nie na tej płaszczyźnie. Jest dramatem panowania przypadków, które można przewidzieć z symptomów zewnętrznych. Wszystkich tych przypadków przewidzieć nie można, jest to świat potencjalnych reakcji pacjenta, zakreślonych normami biologicznymi, ale normy te nie są do końca poznane. Przykładem wiersz Lekarz:

Nie umarła mogła jeszcze poczekać
nie odeszła mogła deptać wokół siebie
zawalała więc nadziemię jeszcze przeczekać
zamilkła więc byłem tu przybliżeniu
i obliczałem dawkę leku
na chwilę mogłem zasnąć — dlatego spotkałmy się
(jest tam Jawa ostra jak asept)
Ale dlaczego żyje mimo mojej wiedzy

Szpital jest ludzkiem wynalazkiem, zorganizowanym przez człowieka cywilizowanego. Brutalne prawa natury wykluczają ze społeczności jednostki słabe, chore i stare. Medycyna działa wbrew naturalnemu prawu przyrody. Kiedyś była magią, obecnie stała się przemysłem, działaniem instrumentalnym, więc utraciła otoczkę mistyki. W nadmiarze medycznych instrumentów, przyrządów, które go otaczają, lekarz zatracił swoją osobowość. Mimo tego nie zgłębił tajemnicy życia. Mimo tego „wszyscy zaraz by chcieli wiedzieć, co może mścić na myśli / pochylając się nad strużką krwi”. Odpowiedzia, na tę ludzką ciekawość, jest poezja Müldnera-Nieckowskiego. Nie wierzę, aby ta odpowiedź była jedyną odpowiedzią.

Szpital jako obiekt zamknięty, gdzie swolata hierarchia burzy porządek światła świeżo przybyłych tu pacjentów, gdzie uczucia w „normalnej” rzeczywistości nigdy nie ujawniane znajdują swój upust, jest nadal światłem nie spenetrowanym. Nieckowski ukazał wtapianie się młodego lekarza w świat bieli, zatracanie jego prywatności („Chorzy byli też i w pokoju. W moim łóżku. Na bluku. W ubikacji. W toaletach”) i przyzwyczajanie się do tego, że „lekarze zalecają, co dalej”. Podmiot tych wierszy jest lekarzem i zrozumiał, że w świecie bieli jest dowódca, tylko nigdy do końca nie wie, czy odnieść zwycięstwo. Walczy z Ni-cością, o której nawet nie chce wiedzieć, bo „walka o życie, nie jest walką”. Walczy tylko z ciałem. „Brzech robotnika, u nas jest niekła-sowy” jest tylko medycznym przypadkiem, jak wiele innych. „Pieleg-niarki zupełnie się nie wstydzą / ciała chłopca”, obnażonego chłopca już nikt nie pyta o wstyd. Jesteśmy w szpitalu jako podmioty i to w imię naszego dobra. Nie wszyscy muszą się z tym zgodzić, ale taka jest prawda bijąca z poezji Piotra Müldnera-Nieckowskiego.

Piotr Müldner-Nieckowski: Ludzki wynalazek. Pojezierze, Olsztyn 1978. str. 68, nakład 1000 egz. Seria: „Debiuty Pojezierza”.

✿ plastyka ✿

BYĆ ...

(Malarstwo Jana Popka)

Jesteś już bardzo blisko owego wzgórza, które nazywają apogeum życia. Wdrapywanie się poprzez krzyk okropnej nocy zimowej na Zamajszczyźnie w czterdziestym drugim, aż do dnia dzisiejszego na najwyższe piętro, nigdy nie było linią prostą. Przedzierałaś się przez kołny lessowego pyłu, wdychałaś zapach wiosennej sikiby, śledziłaś krzywy lot natrętnie muchy, zygawkowate drogi czarnych mrówek. Ginałaś w wyschłej trawie miedzy, i tak waluchany w smyczkowy koncert zapominałaś, że istnieje czas. Potem liczyłaś klucze żurawi na wieczornym niebie, patrząc w błękit pionowo prosto, i wówczas teoria Einsteina nie była nawet snem. Dopiero na innych drogach poznałaś smak pielenu. Smak to był jak niewidzialne macki. Coś wleśga, coś odpycha...

Później istnieją rany psychiczne, które nawarstwiają się toczą po-woli, jak trąd. Istnieją dni jak noce, a noce jak dzień. Noc jest ciążą długiego cienia, pokarmem dla myślących. Noc porządkuje niezliczone okrucy życia niesione na barkach dnia. Nieraz dzień jak aptekarz wydziela słońce i wówczas podród dnia możesz zobaczyć czarną dziurę w ziemi, możesz wdrapać się na strome schody bez balustrady, znaleźć się na krawędzi urwiska lub na wysokim dachu domu. Wówczas zapras-niesz snu, tego snu dotykającego wszystkich wrażliwych ludzi, którzy pozostawili ślad lotu ponad ziemią. Wtedy radośnie machasz rękami i spadasz chwiejnym lotem Ikara, a oracz podaje Ci spracowaną dłoń i jego oczy błyszczą jaśnocią słońca. A Ty podnosisz się i krzyczysz: „ludzie Kocham Was”, a gap-krytyk myśli: „kpl w żywe oczy czy o drogę pyta”? Czyżby miłość miała tylko jeden wymiar? Czyżby znak dla każdego był tym samym znakiem?

Przecież nieraz doznajesz uczucia, że życie się cofa, że powracają jedne za drugimi dawne zdarzenia, przebrzmiałe słowa, myśli i dawno zapomniane, zatarłe wspomnienia z dzieciństwa. Innym razem dzwiny ciężar uciśka ci pierś. Ale po pewnym czasie nikt nie czujesz się lekko, jakbyś nigdy dotąd nie podlegał prawu grawitacji. Wtedy wołasz: — jestem genialny! Jeszcze coś zrobić! Zobaczyć...! A ja przeżywam każdy Twój wzlot i upadek od tamtych pierwszych dni, każdym splo-tem nerwu.

Kiedy śladam na Twoich „błękitnych krzesłach”, tych pierwszych, i ustawiam ich krzesłami potomstwa, czuję się uspokojony. Po chwili zamykam oczy, a „śmietnik świata” wiruje i wiewiera się w trzewia. Wtedy myślę — tak, to „druba”! Ta pierwaza... i tamta druga — razem.

Jaka tkanka spłotła „śrubę”? Jaka siła zagłuszyła „skrzypce”? Te pierwsze... Potem trio i kwartet skrzypcowy. Moje właśnie „śmietnik świata”? Śnięte ryby, pusзки po konserwach, tworzywa, których nie stoczy żaden grzyb za tysiąc lat. Jakież lądzie pokryte sadzą. Śmiełnienie uodpornione patyną zdarzeń historii pisanej co kilka lat od nowa. Wówczas mówisz „żal mi Zamościa”, „Renowacja-dewastacja”... a Oni śpieszą się, śpieszą się, śpieszą... I my się śpieszymy, I Ty się śpieszysz. Plansza, mozaika, plakat, okładka do książki, „Partyzantom Zamojszczyzny”, truchcikiem po mleko, „Ślepa sowa” Sadegh Hedajata, „krzesła” (male), „ziemia na moją głowę” (mała), „zadziwiający wykop” (mały).

Siadasz w głębokim wykopie i myślisz: ziemia jest tusta... pędraki wercą otwory... motyle przedą pajęczyny... I już przestajesz się śpieszyć, zamykasz oczy i słuchasz, jak mrówka osypuje ziemię na papier. Czytam w „zadziwiającym wykopie” fragmenty „kalejdoskopu Jana Popka”.

Jan Popke mówi w swoich obrazach o świecie współczesnym, o archetypach i cywilizacji. Niejednokrotnie w Jego malarstwie pojawia się pejzaż — trawa, niebo, także proste formy i sądzę, że można je interpretować jako wyraz tęsknoty za prostotą i naturalnością. Jednak za chwilę przedmioty, znaki cywilizacji, foto-napisy, reklamy zaczynają piętrzyć się, nawarstwiać, atakować (...) W Jego malarstwie widoczny jest subiektywny komentarz, własny stosunek do świata i człowieka. Pragnąc ocenić istotnych wartości artysta niemal publicystycznie atakuje wartości pozorne, hasła, mity (...) generalnie tworzy malarstwo zaangażowane, oceniające i komentujące, a drobne uycinki rzeczywistości, które pokazuje w kalejdoskopie swych małych i maleńkich obrazków, są pejzażami o tyle nienaturalnymi, o ile nie odtwarzają biernie rzeczywistości, ale pokazują jej sens lub bezsens. Tyle Ewa Szeplińska-Ignaczak z Warszawy.

Ala Ty jesteś u szczytu owego wzgórza, z którego stacanie się bywa łatwiejsze i szybsze. Nie czas tym razem na „zadziwiający wykop”. Wcześniej była „lalka”, „trzy kobiety”, „złoty zegar”, „epitafium dla Benia” „biuro wiecznego oczekiwania”. Tak, tak...! Najpierw jest się lalką, potem znaczą coś kobiety, nieublagany zegar, a potem potrzebne jest epitafium i biuro wiecznego oczekiwania. I oto znowu „źródło życia”: to Agnieszka, Aldonka, Amadeusz... a przed nimi „labirynt”. A koło „śmietnika świata” toczy się, toczy, coraz szybciej... My się śpieszymy, oni się śpieszą i Ty się śpieszysz, i robisz małe, małe, mniejsze, mniejsze... obrazki życia.

Miałeś czas postawić „pomnik Cugowa”, kiedy przyszła „zła godzina” i „ziemia jałowa” zrodziła nowy „sen o zielonej trawie”.

Poczekaj! Quo vadis domine...? Czekają na ciebie białe płaszczyzny. Dramat biały jest dramatem przewrotnym. Pod białeńską maską ironii, sarkazmu i dwójni kryje się czysta liryka. To powiedział pan S. D. o Tobie, a być może, że miał na myśli siebie...

Przestrzeń i czas, barwa i światło, linia i plama, miłość i gniew, cisza i muzyka... oto pęczki w rękach czarodzieja. Twoje wyrzucie koloru, zadziwiające trafianie ostrych dysonansów nie jest zwykłą zabawą w układanie barw. Wrażliwość, która spała, umożliwiła równocześnie wyuczanie najdziwniejszych nastrojów: tykania zegara, karawany mrówek Faraona na najwyższym piętrze, kropelek wody z sufitu, przekrwionych oczu przyjaciela, zwał pływ i rur wokół Twego domu, taśmowej kolejki... To wszystko tworzywo. Jeżeli ma się własną filozofię życia, wszystkie przeciwstawne wartości można złączyć w jedno. Trzeba tylko umieć kochać i nienawidzić, trzeba, mieć pragnienie wyrażania niezgodny do gotowy świat.

Stanisław Popke

WYZNANIE

Gdy byłem dzieckiem, lubiłem kłaść się na plecach w wysokiej trawie i patrzeć na końce traw i niebo. To był najczystszy obraz rzeczywistości o najbardziej naturalnym podkładzie muzycznym, którym był szum wiatru. Rzeczywistość okazała się nieco inna. Ale gdy maluję obraz i jest cisza, to słyszę szum traw i to najczystsze wyobrażenie realizuje się we mnie.

JAN POPEK

teatr

ADAM KULIK

TEATR AMATORSKI NA ZAMOJSZCZYNIE

Nie będzie to pełny obraz amatorskiego ruchu teatralnego Zamojszczyzny, bo być nim nie może: początki są niejasne, brak archiwów, dokumentów — jeszcze jedno piętno wojen, które przewalały się przez tę ziemię. Spore trudności napotkałem również szukając śladów działania zespołów już po roku 1944, gdyż często prowadzone kroniki przepadają gdzieś na strychach instytucji patronujących, domy kultury nie gromadzą materiałów, chociaż technika zdążyła by wyposażyć nawet w magnetowidy. Jest to problem krajowy — od paru już lat mówi się o założeniu centralnego archiwum amatorskiego ruchu nie tylko teatralnego.

Mimo tej minorowej przepowiedni sądzę, że udało mi się odnaleźć i pokazać w ogólnych zarysach to, co w nieprofesjonalnym teatrze rozwijał się na tych ziemiach było najciekawsze i najbardziej żywe.

Początki sięgają pośrednio pierwszego polskiego dramatu, znanego pierwotnie pt. *Parys*, prezentowanego przed królem i królową 12 stycznia 1578 r. w „Jazdowie nad Warszawą”, nie kto inny, ale twórcę ordynacji zamojskiej, zamówił u Kochanowskiego tę tragedię.

W roku 1596 dyplomata papieski, Bonifacy Vanozzi, zauważa, iż studenci Akademii Zamojskiej odgrywają różne „represntacje teatralne, wyjęte po większej części z historii rzymskiej” — bliżej zapewne dzisiajszym kolokwium lub rozmowom na zadany temat.

Zapusty 1660 r. przyniosły pierwsze odnotowane przedstawienie: na zamku w Zamościu żacy wystawiali Cyda — Corneille'a, w tłumaczeniu Andrzeja Morsztyna. W rok i w cztery lata potem odegrano dramę *O Semiramidzie i Nimwie* oraz *Polską napadniętą przez Szwedów* — nieznanego autora. W 1668 roku księżna Gryzelda Wiśniowiecka poleca przygotować dialog o św. Janie Chrzcicielu i tragedię o Judycie i Holofernesie. Na tym kończą się przekazy o zamojskim teatrze dworskim XVII wieku.

Możemy przypuszczać, że w tym czasie i w wiekach później-

szych żywe były tradycje średniowiecznych widowisk misteryjnych, tradycja teatru mistycznego, jak herody i szopki, które zdaniem Stanisława Ilowskiego pojawiły się najpierw w klasztorach (Zamość pod koniec XVIII w. miał ich sześć), usunięte stamtąd „dla nieprzyzwoitych tekstów, przeszły całkowicie w domenę młodzieży żakowskiej, podmiejskiej i chłopskiej stając się wędrownym teatrem ludu polskiego”¹. Kulturowano obrzędy (święto Kupaly, kusaki, obyczaje weselne, żniwne itd.), które rozbudowane i uateatralniane zatraca w XIX wieku swój pierwotny, magiczny charakter, by stać się jeszcze jednym, samodzielnym gatunkiem teatru.

Jak silne musiały być te tradycje, najlepiej świadczy fakt, że w 1907 r. jawia się potrzeba powołania we Lwowie Związku Teatrów i Chórów Włościańskich, pieczętując tym samym jakościową przemianę ruchu od sporadycznie działających amatorów w zorganizowane środowisko teatralne skupiające — wg rejestru związku — 112 zespołów. Już w 1908 r. wychodziło pismo „Poradnik Teatrów i Chórów Włościańskich”, z którym współpracowali m. in. Juliusz Kleiner i Wiktor Hahn. Grywano „utwory o treści moralizatorskiej, religijnej i patriotycznej: *Jasielka, Betelem polskie, Wóz Drzymaly, Za szalandem, Lobzowanie, Flisacy, Bartosz Głowacki, Kościuszko pod Racławicami, Dziesiąty pawilon*. Jak kroniki zanotowały, grano także II cz. *Dziadów* Mickiewicza; przerabiano na scenę *Pana Tadeusza*, poematy Słowackiego, Konopnickiej i innych. Pokazywano też wiele regionalnych utworów, wesela chłopskie itp.”². Ale jeszcze częściej zmirowały komedijki typu *Fatalna kielbasa, Błazeł opętany, Mostek spekulant* i inne. Owa tandeta teatralna okazała się nad podziw żywotna, znam kilka zespołów, które jeszcze teraz pilnie poszukują przedwojennych broszur z „dobrymi”, „wesołymi” tekstami.

W samym Zamościu działalo powołane w roku 1906 Towarzystwo Muzyczno-Dramatyczne, z mującym lokum w kamienicy Konstantego Ptaszyńskiego. Po wybudowaniu Domu Centralnego tam znalazło pomieszczenie, urządzając w sali kinowo-teatralnej p. n. „Oaza” „wieczory tańcujące”, koncerty, wieczory muzyczno-literackie, bale i przedstawienia. W sierpniu 1912 r. towarzystwo zorganizowało przedstawienie pt. 20 dni aresztu M. Giennikuna.

Rok 1918 — jak wynika z lektury *Kroniki Powiatu Zamojskiego* — wnosi wielkie ożywienie teatralne w samym mieście i środowisku wiejskim, zjawisko powtórzy się w jeszcze większym wymiarze po wyzwoleniu w roku 1944. W Zamościu powstaje nowa sala teatralna, w budynku dawnego klasztoru reformatorów — dzisiejszy kościół św. Katarzyny. Na inauguracyjne przedstawienie Zbigniew Orwicz pisze komedję pt. *Trzydziestka w Zamościu*. Teatr trzydziestki jeszcze w tym samym roku zdążył wystawić *Matłusiu Loli* Henryka Zbieszekowskiego i *Aszantę* Włodzimierza Perzyńskiego. Prężnie działające Koło Dramatyczne podoficerów 30 pułku piechoty w 1918 r. prezentuje: *Ciotkę pana Karola* w reżyserii S. Orwicza, *Lwowskie Przedmieście* Franciszka Dominika oraz już jako teatr miejski, prowadzony przez Wacława Adlera — baletmistra, który przybył z Warszawy na zaproszenie Józefa Maliszewskiego, *dzierżawcy* i

¹ Zarząd Główny Towarzystwa Kultury Teatralnej, Tradycje, współczesność, zamierzenia. (Materiały z Plenum ZG TKT) Warszawa 1977.

² Tamże.

kierownika artystycznego „Oazy” — Klub kawalerów Michała Bałuckiego, Karpackich górali Józefa Korzeniowskiego i Pana Wołodzyjowskiego na motywach powieści Sienkiewicza.

Zrzeszenie Artystów Inwalidów Legionów Polskich wystawiło w lipcu tego roku dwie sztuki: *Tamten i Sybir* — obie w reżyserii Włodzimierza Sienkiewicza. Szczególnie uroczystości obchodzona była rocznica wkroczenia strzelców do Królestwa Polskiego (6 sierpnia), uświetniono ją specjalnie na ten cel napisaną jednoaktówką związaną tematycznie z dziejami Legionów Polskich.

W „Oazie” zaprezentowało się wiele teatrów działających w oparciu o szkoły, Kola Macierzy Szkolnej czy kola młodzieży wiejskiej o różnej orientacji. Wypada przypominąć, iż funkcjonowały w owym czasie kola lewicowe „Wici”, porządkowe „Siew”, paramilitarne „Strzelec” i kola Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. I tak m. in. w kwietniu 1918 r. dzieci ochronki zwierzynieckiej odegrały baśń Gerson-Dobrowskiej *O królowej Róży*, w tym samym miesiącu notujemy przedstawienie młodzieży szkół średnich Zamościa; w czerwcu *Wieczory mistyczne* Tumry Lipskiej-Krandke (na program złożyły się poezje Mickiewicza, Słowackiego, Kopnickiej i Wyspiańskiego) i *Emancypowane Bałuckiego*⁶; lipiec przynosi *Wieczory śmiechu* urządzone przez towarzyszy „Scena” działające przy strząsy ogniewej w Majdanie Nępryskim; w sierpniu gościnnie występuje Kolo Amatorskie z Łabuń z komedijkami *Urlopik* i *Ulicznik warszawski*, miejscowy teatr wystawia jednoaktówkę *Ostatnie dwa ruble*. Wielokrotnie w tym samym roku i w latach następnych odwiedzają Zamość teatry zawodowe.

W latach 1923-39 w gmachu Gimnazjum im. Jana Kochanowskiego istniała wszechstronna uczniowska „Czyt”, która inicjowała wszystkie szkolne występy teatralne, imprezy okolicznościowe, uroczystości państwowe i szkolne, itp. „Czytem” opiekowali się profesorowie szkoły, m.in. od 1923 roku Stanisław Młodzeniec, który z uczniami opracował i wystawił *Skapca* Moliere’a, *Zagłobę* swatem w Sienkiewicza, *Marię Stuart* Słowackiego i fragmenty *Nocy listopadowej* Wyspiańskiego.

26 II 1924 r. Aleksander Szawł zaprezentował pantomimę baletową Josefa Bayera pt. *Wieszczka lalek* i w jakimś czasie potem *Jasia i Małgosię*. W obu przedstawieniach grała młodziutka Zofia Wiktorowicz, która po wojnie będzie kontynuowała pracę Szawła.

Staraniem uczniów Gimnazjum Handlowego i Gimnazjum Przemysłowo-Handlowego w 1927 r. w „Oazie” wystawiono jaśka.

Pod koniec lat 20-tych zamojski teatr przy Związku Przyjaciół Ziemi Zachodnich przygotował *Noc listopadową* Wyspiańskiego i *Betlejem polskie* Rydla. Kolo Krajownawcze gimnazjum męskiego i żeńskiego oraz kolo seminarium nauczycielskiego, którym opiekował się Michał Pieszek, zaprezentowały w 1934 r. *Wesele w Zamojszczyźnie*. W dwa lata później oba gimnazja przygotowały i zrealizowały widowisko *Otręszyn*⁷. Przez krótki czas w 1945 r. tradycję „Czytu” kontynuował teatr międzyszkolny p. n. „Młodzież”.

W Kalinowicach Ordynackich (dzisiaj dzielnica Zamościa), przy istniejącym od 1915 r. kole młodzieży wiejskiej, działa sekcja teatralno-chórna, której duszą była Henryka Worobiejczy-

kówna. Grano gdzie wypadło: w stodolach, urządzano Sobótki (1919 r.) nad Łabuńką. Repertuar wynikał z funkcji usługowej, jaką ówczesne teatry spełniały, wystawiono: *Lobzowian*, *Marka Łopiana*, *Wesele na Prądniku*, *W starym piecu*, *Dla ojczyzny* i inne sztuki. Teatralny, złoty okres Kalinowicz trwał do roku 1928, tj. do czasu, kiedy wieś podzielono na kilka kolonii. W latach trzydziestych wystawiano parokrotnie jaśka. Z tego zespołu wyrósł znany działacz teatralny międzywojnia, Hipolit Kozioł, który z żoną Czesławą prowadził teatr na Zamojszczyźnie w latach 1929-63. Pierwszym wspólnym etapem ich pracy była Rakówka k. Księżpola (lata 1929-34), gdzie opracowali i wystawili m.in. *Zemsta* Cygana, *Grube ryby* Bałuckiego i baśń *Kopciuszka*, kupując za pieniądze ze sprzedaży biletów sprzęt do szkoły i Domu Ludowego, który wymyślił i urządził wspólnie. Lata 1934-38 zastają ich w Łukowie; charakterystyczną cechą tego okresu są inscenizacje teatralne piosenek, które układali w widowiska wokalo-taneczne — *Na Podolu biały kamień*, *Choćbym ja jeździł*, *Jedzie w las ulan itp.* W latach 1938—42 kontynuują tradycję przedstawień w Ruszowie (pierwsze odnotowane przedstawienie w tej miejscowości miało miejsce 7 VII 1918 r.). Od roku 1942 do 1944 prowadzą w Krzeszowie tajne nauczanie. Po wojnie pracują w Zamościu, Czesławą do 1963, Hipolit do 1972 roku. Zdzyszyli tutaj wystawić m. in. *Pastorałka* Leona Schillera, widowiska poetyckie: *Dzwony* wg Kopnickiej i *Zołnierz polski* wg Broniewskiego. I tak wyglądałyby biografie, a właściwie biografie ludzi, którzy poświęcili życie nauczaniu i teatrowi.

W szczebrzeszyńskim seminarium nauczycielskim w latach 20-tych i 30-tych istniała sekcja teatralna skupiająca przede wszystkim uczniów i profesorów szkoły. Grywano dramaty historyczne, tragedie, wodevile, obsadzając w rolach kobiecych panie profesorowe, zaś w męskich uczniów. Przez 5 lat kierowała teatrem (1921—25) żona dyrektora seminarium, p. Niedzielska (siostra ministra i premiera RP Sławoja Składowskiego), po 1926 roku zespół prowadziło dwóch profesorów: Józef Mał i Emil Mysłowski. Na przestrzeni 14 lat (1921—34) wystawiono m. in. *Ciotkę pana Karola*, *Śluby pańskie* i *Zemsta* Fredry, *Kopciuszka* pod Raclawicami, *Dzięciątę pawilon* oraz *Radców pana radcy* Bałuckiego i *Starą baśń* wg Kraszewskiego.

Bilgoraj w tym czasie sływał teatrem państwa Golińskich, w Tomaszowie Lubelskim działał Teatr Ziemi Tomaszowskiej (pracował w nim Jan Kudlicki — aktor od 1924 r., grywający z przerwami do roku 1977). Repertuar typowy dla zespołów miejskich: Fredro, Bałucki, Bliżynski, Korzeniowski, sztuki patriotyczne. Oprócz wymienionych już teatrów wiejskich wystawiających gościnnie w Zamościu, istniały zespoły skupiające młodzież z kół „Wici” w Małkowie k. Hrubieszowa, Chmielku k. Łukowej (prowadzony przez Michała Hyza) i w Siatku (w 1918 r. przygotowało dwa przedstawienia), pracowały także zespoły w Trzeczsanach, gdzie reżyserował Władysław Śledak, w Topólczy, Stabrowie k. Siatka, w Sosnowej Dębowej, Wólce Infułańskiej (w 1918 r. dwa przedstawienia), Białobrzegach (widowisko 9 VI 1918 r.), Józefowie (*Za szandarem* — rok 1918), w Starym Zamościu, Księżpolu, Zwierzynku, Smorzyniu, Werszczycu, Gródku k. Tomaszowa Lubelskiego i prawdopodobnie w Krasnobrodzie, Klemensowie, Udrzyczach, Goraju, Nieliszu, oraz we Frampolu. Hipolit Kozioł, pracujący przez lata w powiecie bilgorajskim twierdzi, iż prawie każda wioska tego regionu w latach międzywojennych posiadała własny teatr. Niewątpliwie z różną częstotliwością wystawiano sztuki w poszczególnych miejscach.

⁶ Często dane dotyczące przedstawień są niepełne, niekiedy w materiałach źródłowych znajduje się tylko tytuł wystawianej sztuki, kiedy indziej nazwa zespołu lub środowisko, które przygotowało przedstawienie.

wościach, były zespoły mniej i bardziej sprawne, niemniej można zaryzykować tezę, iż trzy czwarte miejscowości Zamojszczyzny posiadało własne teatry, zespoły folklorystyczne, koła deklamatorskie lub chóry.

Brak informacji o teatrze robotniczym, Zamojszczyzna — region wybitnie rolniczy, nie wytworzyła większych skupisk robotników.

Nie zachowały się również przekazy o przedstawieniach — dziś nazwalibyśmy to teatrem domowym — w dworach szlacheckich, prawdopodobnie wystawiano coś w Lubalinach. Ale nie wydaje się, aby owe sporadyczne wystąpienia wytworzyły wartości, o których można mówić jako o samodzielnych realizacjach teatralnych.

Warto odnotować dwa udane widowiska wystawione tuż przed wojną w Zamościu, a mianowicie *Szopkę Zamojską* z 1938 r., przygotowaną staraniem Studium Artystyczno-Muzycznego przy Szkole Muzycznej im. M. Karłowicza, która stanowił wesoly, rozśpiewany pochód karykatur znanych w mieście osób oraz *Żywe szachy* z podtytułem *Szwedzi pod Zamościem* odegrane na Rynku Wielkim 9 i 11 VI 1939 r. przez Zespół Teatru Żołnierskiego garnizonu w Zamościu. Tekst oparty na III tomie Sienkiewiczowskiego *Potopu* opracowała Halina Rogińska, reżyserował Czesław Brykner, partię szachową oraz scenariusz przygotował Władysław Kolbuszewski.

Wojna wykreśliła kilka lat z działalności teatrów: najpierw był wrzesień z ciężkimi walkami pod Tomaszowem i Krasnobrodem, później akcje wysiedleńcze i ruch partyzancki.

Już pod koniec roku 1944 można było znowu oglądać przedstawienia. Wieloletnia opiekunka teatrów powiatu bilgorajskiego, Halina Prochowska, powołując się na archiwum bilgorajskiego Domu Kultury powie: „tuż po wojnie w samym Bilgorajskiem pracowało około 130 teatrów!” Ale wróćmy do prezentacji wydarzeń najważniejszych: w Zamościu wystawiający w sali kina „Stylowy” Teatr Ziemi Zamojskiej pod koniec 1944 roku daje pierwszą sztukę. Z początkami teatru wiąże się dwa nazwiska: Zofii Czernickiej i Haliny Rogińskiej. Przez jakiś czas kolejno współpracują z teatrem Waldemar Zakrzewski, Aleksander Aleksy i Czesław Brykner; mniej więcej w 1967 r. teatr ten zawiesza działalność. Do ważniejszych pozycji wystawianych przez zespół należą: *Ostatnia sekunda* Andrzeja Wydryńskiego, *Baladyna* Juliusza Słowackiego, *Zabusia* Gabrieli Zapolskiej, *Zolnierz i bohater* Bernarda Shaw, *Karczma* pod czarnym wosem Jerzego Brzostkiewicza.

Pod koniec lat czterdziestych w Zamościu pracuje Pantomima Dziecięca kierowana przez Zofię Wiktorowicz, która wyrzeźbiła m.in. *Wieszcze alek* Josefa Bayera, *Pana Tuwardowskiego* Ludomira Różyckiego i *Śpiącą królową* Piotra Czajkowskiego pod lepiej wtedy brzmiącym tytułem *Serce murarza*. Równolegle p. Wiktorowiczowa przygotowała przedstawienia teatralne, jak *Mickiewicz* — 1964 r., *Lenartowicz* — poeta *Mazowsza* — 1948, *Warszawa* — 1954 i w latach późniejszych *Czerwony szlandar*, *Opus 1917*, *Zamość w tysiącleciu* — 1966, *Żeńcy* Szymona Szymonowicza — 1966 r. W 1963—64 roku jeszcze raz opracowuje widowiska pantomimiczno-baletowe, są to: *Przyjaźń i Zamojska wiosna dwudziestolecia*. Wystawiana trzykrotnie w latach 1948, 1959 i 1962 *Wieszcze alek* (w sumie około 40 spektakli) jest pamiętana w Zamościu do dziś. Z czasem zainteresowania pani Zofii poczynają obracać się w kierunku tańca i folk-

loru, sama inscenizuje obrzędy, pisze scenariusze. Zawsze żywa, zawsze w środku zdarzeń — choć dziś już trochę zapomniana.

W tym samym czasie rozpoczyna pracę znana działaczka Bogumila Dudkowska od ponad 30 lat prowadząca teatry w szkołach średnich, zakładach pracy i domach kultury. W sumie zrealizowała około 140 przedstawień.

W Tomaszowie Lubelskim wznawia działalność Teatr Ziemi Tomaszowskiej, Bilgoraj ma już trzy teatry: Lucji Poboszyrz (lata 1945—48) i dwa prowadzone przez Anielę Dudek — Teatr Ziemi Bilgorajskiej (lata 1945—68) oraz Teatr Poezji przy Liceum Ogólnokształcącym, funkcjonujący nieprzerwanie od 1946 r. do dziś. Od roku 1945 zacznie się niezwykle przygoda teatralna pani Dudek trwająca już 35 lat. Realizowała sztuki pełnospektaklowe (*Słuby pantińskie*, *Damy i huzary* Fredry, *Porwanie Sabinek* Tuwima, *Moralność pani Dulskiej*, *Zabusia Zapolskiej*, *Świerszcz* za kominem Dickens, *Fircyk w złotych Bałuckiego*, *Baladyna Słowackiego*, *Betlejem polskie Rydla*), widowiska w konwencji teatru poezji (*Zaczarowana fujarka*, *Warszawianka Wypiańskiego*, *Stara baśń* wg Kraszewskiego), *Tamte dni i Z karabinem* pod pachą wg scenariusza A. Dudek, *Raport z Monachium* Brychta), montaż okolicznościowe i spektakle folklorystyczne (*Sobotki*, *Sitarze bilgorajscy*). TZB zmieniał patronów, byli nimi Związki Zawodowe, Spółdzielnia Kominiarska, WSS „Społem” i wreszcie Bilgorajski Dom Kultury. Przez 8 lat Aniela Dudek pracowała tylko z teatrem przy Liceum Ogólnokształcącym (nie licząc chórów), lecz od 1976 r. dochodzi drugi teatr dramatyczny przy Klubie WSS „Nowator”.

Nabiera rozępudu zespół w Chmielku k. Lukowej; Michał Hyz kolejno przygotowuje przedstawienia prezentowane u siebie i w okolicznych wioskach: *Grube ryby* Bałuckiego, nieśmiertelna *Zemsta Cygana*, *Ciotka* na wydaniu, adaptacja *Komu bije dzwon* Hemingwaya, *Tam wśród gór*, *Leśna droga*, *Ognia na mnie*, *Hej do apelu*, *Drewniany różaniec* i in.

Powiat tomaszowski obserwuje narodziny środowiska teatralnego na obszarze zamkniętym miejscowościami: Jurów — Jarczów — Lubcze; jest to efekt działalności siostr Ludmyli Krawczyk i Ireny Korzeniowskiej w ostatnim 35-leciu. Zaczęło się niewinnie, od pracy z dziećmi przy przygotowaniu okolicznościowych programów na uroczystości wiejskie, a także realizacji pełnospektaklowych sztuk (*Betlejem polskie* Rydla, *Ponad śnieg* białeżyński, *Grube ryby* Bałuckiego, *Szczęście* Frania Perzyńskiego, *Qui pro quo* Korzeniowskiego, *Gwaltu co się dzieje* Fredry) po gigantyczne widowiska obrzędowe *Sobotki* z udziałem kilkuset osób, udane inscenizacje współczesnej dramaturgii radiowej (*Tatko* Janickiego) i programy kabaretowe.

Tuż po wojnie do teatrów, których działalność należałoby zaliczyć do nurtu plebejskiego w dobrym znaczeniu tego słowa — mówię o wymienionych już zespołach wiejskich pracujących przed wojną, dołączają nowo powstałe w Łatyczynie, Szlętnie k. Lubcza (prowadzony przez Feliksa Karwaskiego) i w Kaweczynie k. Szczepczyna (założony przez Edwarda Czuka). Charakterystyczną cechą teatrów tego typu jest okazjonalność; funkcjonują one czasem z długimi przerwami — Topółca i Stabór przypominają sobie dobre tradycje dopiero w latach 70-tych, kiedy przyjdą do zespołów urodzeni teatralnicy — Kazimiera Janiec i Leszek Miszcuk. Przedstawienia przygotowuje się najczęściej na miejscowe uroczystości: dożynki, sobótki, bożonarodzeniowe jasełka itp. Teksty piszą sami uczestnicy, inscenizują zanikające obrzędy, rzadziej sięgają po teksty dramatyczne, a

jeżeli już, to najczęściej efektem jest artystyczne nieporozumienie. Doświadczyl tego znakomity skądinąd Teatr Ludowy z Topolczy, przechodząc obok Wujaska Wani Czechowa, a ciekawie interpretując *Lekarza mimo woli* Moliere'a i *Słiwę* Janiny Skworńskiej-Feldmanowej.

Zamykając rozważania na ten temat warto dorzucić kilka szczegółów. Grupa z Kawęczyna w latach 1945–79 wystawiła 45 sztuk (m.in. *Hrabina z Garwolina* Krystyny Berwińskiej, *Świeraszka za kominem* Dickens'a); zespół z Topolczy w latach 1971–79 — 11 przedstawień, m. in. *Powódź* i *Matkę Szaniawskiego*, *Henryka VI na łowach* Bogusławskiego, *Gwałtu co się dzieje* Fredry; teatr w Łatyczynie w latach 1972–75 przygotował sześć programów opartych w głównej mierze na tekstach Janiny Startkowej, członkini Stowarzyszenia Twórców Ludowych — *Wesele Jagny*, *Dentysta*, *Młocka* i in.

Lata pięćdziesiąte przynoszą zmianę sposobu myślenia o teatrze amatorskim, owocująca do dziś. Produkowanie przedstawień dla rozrywki widzów przestaje wystarczać, instruktorzy i członkowie zespołów poszukują czegoś nowego, co pozwoli mówić o sprawach im najbliższych, najbardziej pasjonujących, co da możliwość pełnej samorealizacji. Samokształcenie, rozbudzanie wrażliwości na sztukę przysparza inny wymiar, teatr zaczyna być pojmowany jako warsztat, dzięki któremu można zrealizować swoje twórcze pasje, a także próbować narzucić je innym, kształtować nowe gusty artystyczne i kulturowe. Proces ten — jak sądzę — rozpoczął się pod koniec lat 50-tych, a ściślej na ich przełomie, za sprawą Haliny Prochowskiej, Stanisławy Burdy i w latach 60-tych — Waldemara Zakrzewskiego oraz Zofii Paczeńskiej. Oczywiście przeważały i przeważają dotychczas tradycyjne zespoły. W Zamościu pracuje Kabaret Klubu Inteligencji prowadzony przez Henryka Skotnickiego, kabaret „No To Co” przy Spółdzielni Pracy „Beton”, funkcjonują zespoły dramatyczne przy Liceum Ekonomicznym (Czesław Skarbek wystawił m.in. *Starą baśń*), Liceum Plastycznym (tutaj działa Halina Rogińska, prowadząc teatr „Paleta”, z którym realizuje słynne „żywe obrazy”) oraz Kolo Dramatyczne przy I Liceum Ogólnokształcącym pod opieką Julii Rodzik (od 1954 r. do dziś). Grupa opracowuje średnio 3 przedstawienia rocznie w konwencji teatru poezji, dramatycznego, teatru lalek i kabaretu. Kolo może się poszczycić pięknym osiągnięciem, jakim jest nawiązanie kontaktu z zamojskimi przedszkolami (przygotowują inscenizacje baśni dla dzieci) oraz z niewidomymi — szereg wieczorów poezji było przygotowanych z myślą o nich, wszyscy chętni i bardziej uzdolnieni byli zapraszani do współpracy.

Srodowisko wiejskie działa również aktywnie. W powiecie zamojskim realizują przedstawienia teatru w Feliksowie — sterowany przez państwa Wójcików, w Kawęczynie, Lubcu i w wymienionych wcześniej miejscowościach. Stefan Kilarski w latach 1951–56 prowadzi w Szczepleszynie teatrzyk kukielkowy p.n. „Zaczek — Szczepieszaczek”, a po przyjeździe do Zamościa, w latach 1957–64 — „Zamojskiego Zaczka”. W repertuarze są bajki Iłowskiego, Zaborowskiego, Brzechwy, Bogusławskiego, Kownackiej oraz własne, które pisał wspólnie z żoną. W sumie zaprezentowano 121 widowisk, które obejrzało ponad 25 tysiące dzieci. W Bilgorajskim Floriani Kiszczak kieruje teatrami w Pulczynowie, Komodziejnie i Średniowie, wystawiając między innymi *Majstra i czeladnika*, *Królową śniegu*, *Pórę fiolków* i *Taki wstyd*. Julia Wach zakłada zespół w Wólce Abramowskiej k. Bil-

goraja, w Żółkiewce — Zofia Włodarczyk, Władysław Badach rozpoczyna działalność w Radzięcinie i Frampolu. W Hrubieszowie przedwiejenną tradycję podtrzymuje teatr w Malkowie, prowadzony przez Zygmunta Barańskiego; dr Hofman organizuje zespół w Dolhobyczowie. W powiecie tomaszowskim pod koniec lat 50-tych powstaje kolo dramatyczne w Krynicach — Waleria Galgan występuje jeszcze jako aktorka, ale już wkrótce ona znacznie nadawać ton zespołowi.

Wróćmy jednak do działalności Stanisławy Burdy i Haliny Prochowskiej. Od roku 1954 Stanisława Burda prowadzi teatr poezji przy Zespole Szkół Zawodowych nr 1 w Hrubieszowie. Trudno właściwie mówić o teatrze, jako że niepodobna oddzielić zespołu od Klubu Miłośników Teatru TV „Sezam”. Faktem jest, że drugiego tak prowadzonego klubu nie ma na Zamojszczyźnie. Młodzież skupiona w „Sezamie” wyzwała swoje twórcze ambicje poprzez teatr, klub literacki, prace organizacyjne na rzecz Hrubieszowskiego Domu Kultury, Biblioteki Miejskiej, Muzeum Ziemi Hrubieszowskiej, a także Hrubieszowskiego Towarzystwa Regionalnego. Gdyby policzyć prace maturalne pisane przez uczniów z tej szkoły na temat teatru, funkcjonowania KM TTV itp., okazałoby się, że jest ich wcale pokaźna liczba. Niewiele znajdziemy takich miejsc, gdzie młodzież potrafi żyć na co dzień teatrem.

Halina Prochowska podjęła pracę w Powiatowym Domu Kultury w Bilgoraju w roku 1958, zakładając od razu cztery teatry: dziecięcy i dla dorosłych przy Wojewódzkiej Spółdzielni Pracy oraz przy PDK i w Liceum Ogólnokształcącym. Rozpoczęła od podstaw: kształcenia emisji głosu, intonacji, dykcji, ćwiczeń nad ruchem scenicznym, wpaiania zasad analizy tekstu i wykładów na temat historii teatru i dramatu. Po paru latach przysły efekty: wyróżnienia i nagrody w przeglądach ogólnopolskich za warsztat i scenariusze, które często pisała sama. O trudnościach w pracy powie: „Najtrudniej było przy ciekawych założeniach inscenizacyjnych. Trzeba było przełamywać konwencjonalną barierę widzenia spektaklu. Członkowie zespołów to ludzie o różnych zawodach i z różnym wykształceniem. Uzupełniałam braki w ich widzeniu świata i sprawach dotyczących: historii sztuki, teatru, dramatu, epoki historycznych itp. Na przykład przy pracy nad sztuką Szekspira poznali epokę elżbietańską, przy *Niemcach* — filozofię Kanta, Nietzschego, przy *Penelopie* — Grecję i sztukę starożytną, przy *Pannie Maliczewskiej* — naturalizm itp. Od 1976 r. Halina Prochowska pracuje również z zespołem teatralnym Klubu „Awem” przy Zakładach Przemysłu Odzieżowego „Mewa”. W dotychczasowej pracy przygotowała około 150 premier, na które złożyły się sztuki pełnospektaklowe, widowiska w konwencji teatru poezji oraz montaż okolicznościowe i wieczory poezji.

Lata 60-te określiłbym jako czas, w którym zwyżkuje poziom artystyczny teatru tradycyjnego, co wiąże się z przyjściem do ruchu nowych ludzi z odpowiednim wykształceniem, oraz jako czas, w którym kontynuowane i rozwijane jest stare nowe myślenie o teatrze amatorskim. W 1962 roku istnieje już Młodzieżowy Teatr Aktualności w Zamościu, którym do dziś kieruje Waldemar Zakrzewski. Właściwie nie teatr, a instytucja upowszechniająca kulturę teatralną. Przy MTA istnieją bowiem: Dyskusyjny Klub Teatralny, Klub Miłośników Teatru TV — i nie są to kluby z nazwy; młodzi organizują spotkania z twórcami teatru zawodowego (w sezonie 1978/79 odbyło się ich 14) w ramach DKF przeprowadzono 31 spotkań dyskusyjnych (wszystkie dane pochodzą z 1979 r.) na temat teatru współczesnego. Rokrocznie

zespół organizuje letnie warsztaty teatralne i zimowiska, na które uczestnicy wyjeżdżają oglądać najlepsze przedstawienia w kraju. Wyróżniającym się w pracy przyznawany jest patent młodzieżowego działacza kulturalnego. Jeżeli dodamy do tego 3—4 premiery rocznie, współorganizowane z Oddziałem Wojewódzkim Towarzystwa Kultury Teatralnej w Zamościu autobusy teatralne do Warszawy — obraz zarysuje się wyraźnie. Sprawy wychowania, pracy w grupie, wspólnego poszukiwania nowych wartości, rozwiązywanie problemów, stawiane są tutaj na równi z artystycznymi. Do zespołu przychodzą ludzie bardzo młodzi, nieraz tacy, którzy nigdy przedtem nie recytowali nawet wiersza. Zapisanie tych czystych, białych kart teatrem tak, aby starczyło go na całe życie, jest najcenniejszą rzeczą dla pracujących w MTA. Teatr wystawia w zasadzie wszystko, od komedii Bałuckiego i Gruszczyńskiego przez Gombrowicza, Millera i Szekspira po współczesne widowiska poetyckie i baśnie dla dzieci. Do najbardziej znaczących w 17-letniej historii zespołu widowisk należałoby zaliczyć *Antygone* Aleksandra Maliżewskiego (prapremiera polska), *Smoka, Człowieka i cięń, Naniego króla i Don Kichota* Eugeniusza Szwarca, *Pocztę Rabin-drana* Tagore, *Mazepę* Juliusza Słowackiego, *Czarownicę z Salemu* Artura Millera, *Czy Romeo i Julia* wg Szekspira, *Iskrę* tylko Zbigniewa Jerzyńskiego, *Bobby* Kazimierza Gruszczyńskiego oraz *Kwiaty z fromborskich łąk* — według scenariusza Waldemara Zakrzewskiego. Rok 1979 teatr zamknął 61 premierami, 336 przedstawieniami, które obejrzało 163 000 widzów, w pracach tego zespołu w ciągu 17 lat uczestniczyło 520 osób.

Od 1969 r. teatr przy Liceum Ogólnokształcącym im. Bartosza Głowackiego w Tomaszowie Lubelskim prowadzi Zofia Paćna. Jak w przypadku „Sezamu” w Hrubieszowie, tak i tu trudno oddzielić jedną formę działalności od drugiej, niezupełnie wiadomo, co bardziej wynika z pracy kół humanistycznych szkoły, a co z samego teatru — młodzież bowiem udziela się i tu, i tu. Bardzo popularne jest pisanie rozpraw o dramaturgach (ostatnio pisało o Witkacym i Szaniawskim), recenzji, refleksji i reportaży z teatralnych wycieczek. W szkole redagowany jest Młodzieżowy Miesięcznik Kulturalny, gdzie pozycje te są systematycznie zamieszczane. Sam teatr daje przeciętnie 3—4 premiery rocznie, najczęściej są to widowiska w konwencji teatru poezji.

Z tradycyjnych zespołów, których działalność w latach 60-tych wyraźnie się zaznaczyła, należałoby wymienić grupę pracującą w Gminnym Ośrodku Kultury w Tarnogrodzie prowadzoną przez Władysława Dubaję i Helenę Zajac, teatr z Hoszni Ordynackiej, którym opiekuje się Aleksandra Małyseck, Teatr Ziemi Tomaszowskiej (prowadzony w latach 1968—69 przez Jana Filipiaka), teatryczki dziecięce żywego planu: w Łaszczowie pod opieką Kazimierzy Dworniczuk oraz Teatralny Zespół Dziecięcy przy WSS w Zamościu działający systematycznie przez 10 lat pod kierunkiem Marii Jurkiewicz. Należałoby wspomnieć o założonym w 1964 r. przez Henryka Litewczuka teatryczku kukielkowym w Mienianach. Na większą uwagę zasługują zespoły w Tarnogrodzie i Zamościu, ponieważ prowadziły rzetelną, systematyczną robotę teatralną z amatorami. Grupa z GOK w Tarnogrodzie opracowała m.in. *Posaźną jedynką* Jana Aleksandra Fredry, *W czepek urodzonego* Wincentego Rapańskiego, *Moralność pani Dulskiej* Zapolskiej, *Oświadczenia* Czechowa, *Majstra i czeladnika* Korzeniowskiego i ostatnio *Wesele Tarnogrodzkie* według scenariusza Władysława Dubaję oraz *Okreźne* według scenariusza Heleny Zajac. Teatryczki Marii Jurkiewicz z Zamo-

ścia wystawiał wielkie, baśniowe widowiska wedle jej pomysłu; były to: *Za siedmioma górami* Ewy Szelburg-Zarembiny, *Czarodziejskie ziarno, Jak to ze mnem było, A co wam śpiewać łaleczki* — wszystkie oparte na poezji Marii Konopnickiej, *Zaczarowana zatoka, Fikuś i Kropeczka, Bał w zaczarowanym lesie, Choinka dla skrzatów*. Piękne, łańcuchowe dekoracje robił Czesław Ukleja. Widowiska trwały od 1,5 do 2,5 godziny, bardzo często na scenie występowała 60-osobowa grupa dzieci. W latach 1962—1977 Maria Jurkiewicz prowadziła równoległe teatr skupiający dorosłych, premiery odbywały się mniej więcej dwa razy w roku, przeważnie były to koncerty poetyckie, programy kabaretowe i przedstawienia w konwencji teatru literackiego. W cyklu spotkań poetyckich p.n. „Poznajmy naszych przyjaciół” zespół przedstawił poezję węgierską, czeską, radziecką, rumuńską i niemiecką. Programy kabaretowe przygotowywała Maria Jurkiewicz według własnego scenariusza.

Lata 70-te to drugi po wojnie boom teatralny na Zamojszczyźnie. Zaczęły się on trójko. Widoczna jest eksplozja teatrów i zespołów folklorystycznych, co niewątpliwie wiąże się z awansem wsi i zatarciem granicy oddzielającej ją od kultury profesjonalnej. Do najciekawszych teatrów folkloru należą: „Prądk” z Nedeżowa działający pod kierunkiem Cyryli Jedlińskiego, „Babiczanki” z Babicz, którymi opiekuje się Babina Mużacz, zespół z Suśca z *Weselem Suśskim* opracowanym przez członków zespołu pod przewodnictwem Krystyny Hałasy, grupa z Zamchu prezentująca *Wesele Zamechskie* w opracowaniu Alicji i Janusza Głowiaków, a także wspomniane „Sobótki” jarczowskie oraz zespół GOK w Tarnogrodzie, który wspólnie z teatrem dramatycznym przygotował pod koniec lat 70-tych *Wesele Tarnogrodzkie i Okreźne*.

Drugim istotnym punktem są teatryczki lalkowe. W ostatnim dziesięcioleciu powstało ich około dwudziestu, niestety nie wszystkie pracują do dziś: z czterech prowadzonych w Skierbszowie w latach 1971—78 przez Władysława Buczkę, po odejściu instruktora, nie stał się żaden. Niewiele również da się powiedzieć o zespołach z Hrubieszowa, Czerniczyna, Różańca, Tarnogrodu, Frampola, Chłopkowa i Żółkiewki. Znamiennie natomiast jest prowadzona przez Irenę Pakułę działalność w Młodzieżowym Domu Kultury w Zamościu; istnieją tam trzy teatryczki dziecięce (różne grupy wiekowe) na dobrym poziomie. Najlepszym i najbardziej utytułowanym zespołem jest „Balbinka” (dzieci z VII kl. szkoły podstawowej), który zdobył kilka nagród na międzywojewódzkich i krajowych przeglądach; niewiele mu ustępuje „Biedronka” (dzieci w wieku 12 lat) i „Bajkowe Krasnale” (dzieci ośmioletnie). Interesujący zespół „Słonecznych” prowadzony przez Janinę Głowicką istnieje przy Bilgorajskim Domu Kultury. W Tomaszowie Lubelskim Janina Bielecka zajmuje się trzema teatryczkami: przy Szkole Podstawowej nr 5, „Grzesiem” i „Seniore” w Tomaszowskim Domu Kultury. Ten ostatni jest bez wątpienia ewenementem na skalę krajową, przedstawienia bowiem przygotowują emeryci z Klubu Seniora — robią to, trzeba przyznać, z dużym urokiem i znajomością rzemiosła. Dość sympatycznie przedstawia się działalność grupy prowadzonej w Brodach Małych przez Marię Kurzawską. Repertuar wszystkich zespołów jest dość jednorodny, najczęściej są to adaptacje znanych bajek (*Kopciuszek, Bajka o rzepce, Koziołek Matołek, Jaś i Małgosia* itp.), inscenizacje piosenek dla dzieci i obrazy sceniczne — w przeważającej mierze pomysłu prowadzących.

Trzecią falą dającą się wyraźnie odczuć była rozdmuchana

akcja tworzenia teatrów przy kawie. W roku 1976 ożywiły one działalność m.in. w Goraju, gdzie Joanna Ochal przygotowała *Taką sobie bajkę* Marii Siedmiograj i *Z notatnika korespondenta wojennego* J. Broniewskiej; w Dolhobyczowie (pierwszym spektaklem przygotowanym przez Krystynę Staniec była *Kartotka* Tadeusza Różewicza), w Księżopolu (*Wieczór poezji* Tadeusza Nowaka) i w Żółkiewce — teatr ten pracuje systematycznie do dziś jako jedyny z dziesięciu. Wystawił — bo tak trzeba powiedzieć, zespoły to bowiem dość szybko ewoluowały ku formie teatru dramatycznego — m.in. *Dziewczynę i gołębie* według Jarosława Iwaszkiewicza, *Cudzoziemkę* według Marii Kuncewiczowej, *Matkę Jerzego Szaniawskiego* i *List do Polskiego Radia* Stanisława Stampfla.

W tradycyjnej konwencji teatru dramatycznego utrzymała się większość grup szkolnych pracujących w latach 70-tych. Myślę o zespole Liceum Ogólnokształcącego w Józefowie, kierowanym przez Janinę Bardak i Teresę Maniuk, Teatrze Poezji „Werset” przy Technikum Rolniczym w Zamościu, prowadzonym przez Elżbietę Przytułę, zespole Krystyny Gidewicz przy Liceum Ogólnokształcącym w Tysowcach, z teatrów dziecięcych — zespole Wiktora Gęborysa w Parach. Jedynie Danuta Dołba z Teatrem Poezji Zespołu Szkół Zawodowych nr 2 w Hrubieszowie kontynuowała ciąg poszukiwań z poprzednich dziesięcioleci, eksperymentując na scenie z 60-osobową grupą, wystawiając między innymi *Rosyjski charakter* Aleksandra Tołstoja, *Pieśń o zwiastunie burzy*, *Wszystko co we mnie jest z pola*. Do ciekawszych przedstawień minionego dziesięciolecia należy *Chile* — wystawione przez grupę działającą przy Komitecie Osiedlowym nr 4 w Tomaszowie Lubelskim. Ostry, agresywny spektakl reżyserował Ryszard Rakowski. Prezentację zespołów ostatniego dziesięciolecia zamyka kabaret „Ruchomor” z Zakładowego Domu Kultury w Nielewdu, powstały dzięki staraniom Teresy Vijioll i Haliny Pawłóś w roku 1973. Obecnie kieruje nim Halina Pawłóś, przygotowując raz w roku nowy program. Zespół ten często posługuje się parawanem, kukłami, pacynkami i innymi akcesoriami właściwymi dla konwencji teatru lalek. Do tej pory zaprezentował *Galerię figur wioskowych* — 1974, *Vademecum petenta* według Jerzego Wittlina, *Dialogi przystankowe*, *Na naszej ulicy* — scenariusze programów opracowała Hałna Pawłóś. Członkowie kabaretu przygotowują także widowiska w konwencji teatru poezji.

II wojna światowa nie spowodowała radykalnych zmian w społecznym ruchu teatralnym — lata 40-te są naturalną kontynuacją okresu przedwojennego, oczywiście rewolucyjne zmiany ustrojowe spowodowały zwrot w myśleniu, jednakże repertuar zespołów nie wykazuje ich nagłego upolitycznienia, obserwujemy to dopiero w następnych dziesięcioleciach (pomijam okolicznościowe przedstawienia, a raczej montaże poetyckie odbiegające znacznie od pełnospektaklowych widowisk). Teatry nadal związane są ze szkołami, lecz ich funkcje ulegają zmianie: nie muszą uzupełniać wiedzy, z czynnika dokształcającego przestają się w pomagający wychowywać i rozwijać uzdolnienia. Stopniowo zwiększa się wiedza i świadomość teatralna, tak prowadzących, jak i uczestników. Od samego wystawienia sztuki bardziej interesujące zaczyna być poszukiwanie, cała otoczka. Pełny smak tego, co się kryje pod pojęciem teatru. Wyraźnie poszerza się krąg repertuarowy i zasób form pracy. W stosunku do przedwojnia zmniejsza się różnica między poziomem warsztatu

miejskiego a wiejskiego. Ambitne zespoły odchodzą od formuły teatru zawodowego, poszukują własnych, charakterystycznych tylko dla amatorów środków wyrazu — tym należałoby tłumaczyć powstanie i realizowanie coraz większej liczby oryginalnych scenariuszy. Tylko teatr szkolny na Zamojszczyźnie nie zrealizował wszystkich możliwości, wciąż jeszcze zbyt kurczowo trzyma się konwencji teatru dramatycznego. O wiele lepiej radzą sobie zespoły pracujące w konwencji teatru folkloru.

Aktualnie na Zamojszczyźnie działają 44 teatry, w tym 1 literacki, 17 dramatycznych, 2 kabarety, 10 teatrów poezji i 14 kukielkowych. Nie jest to zestawienie pełne, wymykają się na pewno efemeryczne grupy przygotowujące jedno, dwa przedstawienia i milknące na kilka, kilkanaście lat, później znów wznowiające działalność. Gdyby je uwzględnić, liczba teatrów wzrosłaby do 70—80. Z 44 zespołów — 20 prezentuje kilka lub przynajmniej jedno przedstawienie rocznie.

Uwzględniając potrzeby ruchu (liczba zespołów w mieście 1 na wsi jest taka sama — po 22), należałoby pracę z teatrami prowadzić w dwóch kierunkach, organizować imprezy, które umożliwiłyby prezentację największych osiągnięć teatrów z jednej strony, porównanie efektów pracy poszczególnych zespołów, oraz szkolenie instruktorów i aktorów nieprofesjonalnych z drugiej. Na razie zadania takie spełnia ciągle rozwijający się Sejmik Wiekich Zespołów Teatralnych w Tarnogrodzie. Uczestniczą w nim zespoły z 20 województw, animatorzy ruchu amatorskiego oraz twórcy teatru zawodowego: reżyserzy, aktorzy, scenografowie, a także literaci. Podczas Sejmiku prowadzone są zajęcia seminaryjne i warsztatowe uwzględniające sprawy muzyki, repertuaru, reżyserii, opracowanie scenariuszy itp.

Na zakończenie parę słów o źródłach: w przeważającej mierze były to rozmowy z teatralnikami, sporo informacji otrzymałem od instruktorów oddziałów Wojewódzkiego Domu Kultury w Bilgoraju, Hrubieszowie i Tomaszowie Lubelskim, pp. Haliny Prochowskiej, Teresy Vijioll i Andrzeja Homziaka; wykorzystałem przedwojenną prasę zamojską, jak też bardzo nieliczne dokumenty znajdujące się w WDK i Wojewódzkim Oddziale Towarzystwa Kultury Teatralnej; przydatny okazał się również „Informator Kulturalny” WDK w Lublinie nr 9—10 z 1977 r. poświęcony sprawom teatru.

Adam Kulik



słowa i metody

JERZY ŚWIECH

Sporu ciąg dalszy

Spór trwa i nie wygląda na to, by się miał on kiedykolwiek szczęśliwie zakończyć, szczęśliwie, czyli z satysfakcją dla obydwu zainteresowanych stron, z których każda uparcie broni słuszność własnego stanowiska. A stronami są tutaj literaturoznawca i zwykły, najzwyklej przeciwieństwem czytelnik, czy też, jak niektórzy wolą: konsument literatury. Ten, jeśli ma czas i ochotę na roztrząsanie podobnych kwestii, wątpli często w naukową ścisłość i przydatność ekspertyz literaturoznawczych, nie wierzy, by przysługiwaly im wypracowane już nalety i bezspornie w innych dyscyplinach standardy naukowosci. Skłonny jest raczej widziec w badaczu chybionego artystę, w każdym zaś razie człowieka o bezpośrednich, choć nie zawsze jawnych powiazaniach z dziedzina sztuki. Wszak — gdyby mu przyszło szukać dalszych argumentów — tytuł naukowy przysznawany fachowcom od literatury na uniwersytetach anglo-amerykańskich brzmi „bachelor of art”. Bywają tacy krytycy, dowodził kiedyś B. Croce, „niedoszli artyści, którzy wszelkimi siłami dążą do pewnej formy sztuki, jakiej im samym nie udało się osiągnąć, dążenia ich były bowiem albo wewnętrznie skłócone, albo zawiodły ich siły”. Czytelnik, istotnie, ma skłonność do upatrywania w procedurach badaczy „formy sztuki”, a fachowca w tej dziedzinie wydaje mu się czymś z gruntu podejrzany, minoderyjnym. Rezultaty osiągnięte drogą lektury naukowej nie podlegają jednak w końcowej ocenie jakimkolwiek kryteriom naukowosci. Są nieweryfikowalne, gdyż, przynajmniej dotąd, nie wyznaczone dla nich obiektywne sprawdzianów.

Zaczniemy od tego, pozostawiając na razie czytelnika jego własnym losom, że wszelka naukowosc i fachowosc w dziedzinie tzw. literaturoznawstwa nie opiera się uale na jakimś zespolu prawd i powiazanych z nimi czynności, które miałyby charakter staty i niewzruszonej. Dążenia, by wszelkim orzeczeniem na temat literatury nadać status tolerancji naukowych, kierowały się za każdym razem w stronę innych standardów naukowych. Jeden z naszych pozytywistycznych badaczy literatury, Bronisław Chlebowski, widział przed sobą po prostu „olbrzymi materiał naukowy”, który domagał się ujęcia „o pewne ramy czasowe i formalne”. Autor takiej oferty badawczej uale nie trzaszył się o to, iż był to „materiał” wewnętrznie niejednorodny, że proponowana przezeń klasyfikacja opierała się z jednej strony na jakościach „czasowych”, z drugiej zaś czysto formalnych, że zatem w wyniku jednych działań czytelnik

odrzymywał — znany nam dobrze do dzisiaj — podział literatury na „okresy”, w rezultacie zaś następnych czynności „ugrupowanie faktów według pewnych charakterystycznych znamion” formalnych. Nie wchodzić bowiem w dalsze, dla niejchawca kłopotliwe szczegóły tej propozycji, wypada nam tylko powiedzieć, że zamówienia składane pod adresem uczonych i badaczy — także i literatury — w epoce Chlebowskiego znaczenie różniły się od dzisiejszych wymagań. Pozytywistyczna wiedza teoretyczna zdobyta była kosztem wielkich uproszczeń i schematyzacji „materiału” i w tej postaci jest ona nie do przyjęcia przez współczesnego badacza. Nie bez powodu twierdził się, że dawne narzędzia i instrumenty były załatanie niedopasowane do natury badanych obiektów, przypominały bardziej ową pilę, której użyto do obcinania paznokci. „Jeśli chcemy skrócić paznokcie, a jedynym dostępnym narzędziem tnącym jest piła, skutki jej użycia można przewidzieć. Piła jest doskonale użytecznym narzędziem, ale nie do wszystkich prac” (G. M. Weinberg).

Pozytywiści głęboko wierzyli w to — w każdym razie mylił taka stanowia ważną, acz niewyjawioną przesłankę ich cierpliwych wysiłków na drodze do bezspornego, jak sądzili, unaukowania własnej dyscypliny — że istnieje jakaś hierarchiczna struktura nauk, na szczycie której znajdują się dyscypliny ścisłe, bardziej zaawansowane w swym rozwoju, które identyfikują fakty w sposób absolutnie wierny, ustalają jednokrotne prawa, jakie rządzą zjawiskami w przyrodzie i światem ludzkim itp. I dlatego na podstawie dyscyplin o najniższym, ich zdaniem, walorze naukowosci okrzegli oni o prawomocności nauk niższego szczebla. Abstrahując jednak od tego, całkowicie już historycznego przykładu, wolno stwierdzić, że i później wszelkie, mniej lub lepiej uzasadnione, próby „unaukowania” dyscypliny, kończyły się fiaskami, gdy sam przedmiot, który stanowił cel owych manipulacji, tracił swoją autonomię, pograżał się w sferę, która nie była jego własną sferą, rozciągał się w obcych sobie sferach. „Poszukiwanie kryterium naukowosci — stwierdza filozof nauki — przyjmowało zawsze postać działania, które zmierzało do wykreślenia poza badaną dyscyplinę, aby powiązać ją z czymś od niej wyższym, trwałszym, nie budzącym tak daleko idących wątpliwości” (L. Geymonat). Przeto atmosfera podejrzliwości, jaka otaczała dziś wysiłki dawnych uczonych, tłumaczy się w świetle skupienia całej uwagi na tym, co właśnie dla literatury światłe, jedyne, niepowtarzalne.

Przed nauką o literaturze otwarto się dzisiaj wiele dróg. Jedną z nich prowadzą do coraz dalszej specjalizacji, w oczach laika literaturoznawca roli sobie pretensje do ekspertów szczegółowych, jego ambicje badawcze nie wykraczają poza stosunkowo wąski odcinek. Coraz dokładniej i sumienniejsi, przy pomocy narzędzi wciąż lepszych, bardziej wyspecjalizowanych penetruje on ze szczególnym upodobaniem ten wyeknic rzeczywistości, na którym skupia się jego uwaga. Im zatem dokładniej, przeźryściej obrysuje on kontury swojego przedmiotu, jako wersolog, genolog (czyli specjalista od gatunków literackich), socjolog czy ideolog literatury, im wyraźniej odgraniczy „swoją” obzar od terenów „cudzych”, tym większą zyskuje pewność naukowe weryfikowalności własnych sądów. Parcelacja nauki i literatury na poszczególne sektory, pozbowienie komunikacji ze sobą, na szczęście tak groźnie wygląda tylko z perspektywy tych, którzy słusznie mają prawo uważać się za niewtajemniczonych w arkana owej trudnej i ezoterycznej wiedzy. Na szczęście fachowcy potrafili się wzajemnie zrozumieć, lecz, powiartmy, jest to zbiorowo i społeczność uczonych consensusu zdobyty kosztom dobrowoli izolacji od tzw. szerokiej rzeszy czytelników. „Porozumiewają się w pół słowa, w pół terminu, w ćwierć aluzji do określonego „wizmu”. Ich mowa dla otaczającej publiczności jest doskonale hermetyczna i całkowicie niepojęta” (K. Wyka).

Niestety, tylko tak drogą badacz uzyskuje pewność, iż pozyskał to, co dalej już nieredukowalne, powiazane najościżej z samą naturą literatury,

istotą „literackości” (uchwycenie owej istoty było zawsze głównym punktem programu wszelkich szkół badawczych), choć jednocześnie traci prawo do orzekania w sposób bezapelacyjny, czym „to” właśnie, co z takim trudem zdobył, jest naprawdę. Jednych badaczy pewność, iż udało im się odkryć sekret literatury, niedostępny innym, zachęca do podejmowania nieprzerwanych wysiłków, by przy pomocy coraz to subtelniejszych narzędzi, coraz lepiej przystosowanych do opisu niepoatwarzalnej wrody dzieła, wyartykułować tę jego sułostą. Zasiłgi, jakie w tym względzie należy przypisać przedstawicielom różnych „szkół” badawczych są trudne do zakwestionowania: roszycy „formaliści”, mistrzowie i adeptci „nowej krytyki” anglosaskiej, zwoleńnicy tzw. sztuki interpretacji. Ścisłe, są przecież te metody zarazem otwarte na tajemnicę dzieła. Specjalizacja języka była tu procesem nieuchronnym, prawidłowym dla rozwoju każdej nauki: badania literackie nie wykazują w tym względzie odchyła od normy.

Sprawiedliwie trzeba jednak przyznać, wbrew zdaniu oponentów, że specjalizacja ta, dziś właśnie, idzie w parze z unifikacją wiedzy o literaturze. Kiedy badacz korzysta z coraz większym zainteresowaniem i sukcesem z ofert matematyki, statystyki, psychologii, socjologii, semiotyki, to kieruje nim jedno, choć może nie zawsze we wszystkich swych rozległych konsekwencjach uchwycenie pragnienie, by uczynić wyniki swoich fachowych obserwacji i ekspertyz porównywalnymi z wynikami innych badań, tak, by sformułowane w języku jednej dyscypliny stały się przekładane na język dziedzin innych. Czy nie idzie w takim postępowaniu o stare pragnienie, by ukoronowaniem wszelkich wysiłków poznawczych stała się Scientia universalis, wiedza stanowiąca Jedność? Warto przytoczyć opinię cytowanego już autora, który mówi, że „sam problem jednolitości wiedzy, choć inaczej ujmowany, jest nadal otwartym” (L. Geymonat).

I oto paradoks: w swych dążeniach specjalizacyjnych i unifikacyjnych badacz literatury, wdo inkryminowany w opinii publicznej „fachowiec od literatury”, coraz częściej znajduje sojusznika w „wzylkowym” czytelniku, dokładnie zaś mówiąc, w idealnym wyobrażeniu takiego odbiorcy dzieła literackiego. Dzisiejszy stan rozwoju dyscypliny, jaką się tutaj zajmujemy wykorzystuje w stopniu doład nie praktykowanym, kapital tej „wiedzy” o literaturze, jaką dysponuje właśnie jej przeciętny, zwykły, szary konsument. Prócz smaku, który pozwala mu ocenić, co złe, a co dobre, prócz wiedzy o najwłaściwszych dokonaniach literackich, którą w jakiś sposób uruchamia w trakcie lektury, jest on wyposażony także w pewne minimum kompetencji literackiej. Poprzez nawyk obcowania z książkami opanował w pewnej, niekiedy znacznej mierze umiejętność, która zdolna jest uczynić z niego producenta nowych tekstów literackich (dokładne opracowanie tej kwestii zawdzięczamy J. Sławińskiemu). Właśnie mając na uwadze podobne kompetencje czytelnika posługuje się dziś coraz śmielej stworzenie historii literatury z pozycji czytelnika, komplementarne wobec dotychczasowej historii uwzględniającej wyłącznie aspiracje twórców.

Sztuka interpretacji stawia przed badaczem warunek, by natłoczył on szczyry i bezpośredni kontakt z dziełem. Recepty metodologów współczesnych („potrzebny jest talent, gorące i wrażliwe serce, dusza o wielu strunach, podatna na najróżniejsze tony” — E. Stalger), są dzielone bliskie zaletom poety, który radził, by zasiłać z tomem wierszy „na fontanny krawędzi kamiennej”, położyć obok „uszyły kwiat, poślizkie listy, wstążkę i mandolinę, instrument piosenny”, uronić łzę, po czym dopiero otworzyć książkę, a wynik nie da na siebie długo czekać: „A zrozumiesz, co znaczą słowa...” (L. Staff: „Jak czytać wiersze”). Początek jest podobny. Lecz dalej już drogi badacza i poruszonego do głębi czytelnika niestety definitywnie się rozchodzą. Gdy dla pierwszego jest to zaletowa sygnal do intelektualnej przygody, dla drugiego — jej ekscytujący kres. Z normalnych reakcji czytelników pozostało jedynie wiersze wzruszenie, dostateczne jednak, by na tej podstawie uznać, iż „zanika w ten sposób

przepaść, dzieląca jeszcze dziś amatora od uczzonego znawcy” (E. Stalger). Przez taką zbliżność z postępowaniem zwykłego czytelnika badacz uzyskuje pewność, że porusza się na własnym terenie.

A oto inny ślad jego zbliżenia z czytelnikiem, któremu, jak wiadomo, obca jest troska o specjalizację języka, w jakim dyskutuje na temat świeżo przeczytanej książki. W rozprawach znawców i fachowców od literatury jest więcej żywiołu metaforycznego, niż się to nam na pierwszy rzut oka wydaje. Jest to, trzeba przyznać, konsekwencja wejścia na teren, które nie ze wszystkich poddają się regułom ścisłej artykulacji językowej. Metafory są spowodowane przez potrzebę uściślenia faktów doład, są opowiadaniem chaosu z nadzieją, że próby takie, jeśli nie teraz, to kiedyś zostaną uwieńczone sukcesem. Metafora odnajduje wreszcie swój właściwy przedmiot (pojęcie) i wtedy zostanie z niej wyeliminowana zbędna wieloznaczność: stanie się jednym z obowiązujących terminów nomenklatury naukowej. To ją różni od metafory potocznej, której użycie nie wprowadza ładu, przeciwnie, pogłębia tylko istniejący nieporządek, lecz spośród metafor badawczych wiele początek swój ma w zwykłym czytelnickim sposobie obcowania z książką.

Dowód trzeci owego zbliżenia objawia się sam porządek lektury. Jak wiadomo, czytanie nie zawsze przebiega w sposób ciągły, liniowy. Czytelnik lubi w trakcie lektury zatrzymać na koniec, by się dowiedzieć, co się ostatecznie stało z jego ulubionym bohaterem, zaś po zakończeniu książki zdarza mu się także odzyskiwać raz jeszcze cenniejsze fragmenty. Przykłady proste, banalne wręcz w swej lekturowej „pragmatyce”, lecz w istocie są bliskie przecież badawczym eksperymentom, które dekomponują porządek dzieła, dokonują jego rekonstrukcji, posługują się całym szeregiem transformacji po to, by lepiej, skuteczniej uświłkować, dokładniej go poznać. Badacz, jak i czytelnik jest przecież także wykonawcą dzieła, w poszczególnych fazach swojej analizy posługuje się on nim w sposób zwykły i normalnie przyjęty przez czytelnika. Interes tych dwóch nie wykluczają się, lecz przeciwnie, wzajemnie wspomagają, utwierdzają w przekonaniu, iż jest tylko jedno dzieło: to samo dla badacza, co i dla czytelnika.

JERZY ŚWIECH

„wielkość tworzy koncepcje, ale działa miłostí.

François Mauriac

listy nie wysłane



WITOLD GOMBROWICZ
Berlin

WIELCE SZANOWNY PANIE WITOLDZIE

Długo nie mogłem ochłonąć ze zdumienia. Kilka dni temu dotarł do mnie Pański tekst „Przeciw poetom”. Przecież sam zaproponowałem napisanie czegoś właśnie w tym stylu! Nie chciałym wleźć tylko w zbieg okoliczności. Czyżby naprawdę ów osobnik, podający mi się cztery lata temu za profesora Pimkę, dostarczył Panu mój list? Ciągle jeszcze nie wykluczam ewentualności. Iż wtedy — cztery lata temu — rozmawiałem z Panem, Panie Witoldzie, we własnej osobie!

Która wersja wydaje się bardziej przekonująca? Która jest prawdziwa?

Czytałem, czytałem, lecz te myśli niszczyły mnie emocjonalnie i sens słów „Przeciw poetom” ciągle pozostawał ukryty. Właśnie wtedy szukała mnie Cecylia. Pisałem Panu o tej dziewczynie. Obiecała mi dostarczyć Pański „Dziennik”. Nie dostarczyła. Pożyczyła komu innemu, dostał się w niepowołane ręce i jak kamień w wodę! Nie ujrzał więcej światła dziennego. Teraz, nie bacząc na poprzednie niedotrzymanie obietnicy, sama z prośbą. Z prośbą, a brzmi to niczym propozycja, której nie mogę odrzucić. Podobą mi się ta Cecylia. I ona wie o tym. I wykorzystuje to. Czy powinienem odmówić? Może mógłbym, może nawet powinienem. Jednak wyobrażam sobie, że spełniając prośbę zdobędę to, czego jeszcze nie osiągnąłem. Bestia, zdaje sobie z tego sprawę... Wie, na co liczę, do czego zmierzam. Podsuwa mi zadania, które w moim mniemaniu uzależniają ją ode mnie, lecz to jest tylko mój punkt widzenia, jej stanowisko jest zmiennie.

Cecylia ma 30 lat, jest w maturalnej klasie, w wieczórówce, i na próbnej maturze miała opracować temat: „Wpływ poezji na kształtowanie postaw patriotycznych”.

Przyszła w przeddzień próbnego egzaminu. Wiedziała, jaki temat poda profesor. Skąd? To w tej chwili nieistotne. Prosiła o

napisanie pracy na następny dzień. Nie było to zadanie ponad moje siły, bądź co bądź jestem studentem drugiego roku filologii polskiej. Cóż miałem robić? Pisać czy podsunąć jej Pański wymysł „Przeciw poetom”? Miałem go przecież w rękę!

Zdecydowałem się! Wykreśliłem kilkanaście zdań, gdzie mówi Pan wprost o sobie. (Żadna cenzura, po prostu konieczny zabieg Kosmetyczny!)

Przepisała słowo w słowo.

Byłem dobrej myśli. Czekam na wdzięczność i nagrodę. Świat wydawał mi się wtedy piękny i bezproblemowy.

Sprawa przybrała niespodziewany obrót. Zaczęło się nieźście.

Wśród profesorów praca musiała wywołać spory zamęt. Pański tekst w maturalnym wydaniu Cecylii został przepisany na maszynie i wywieszony w korytarzu, w gablocie. W ten sposób piętnowano, wyszydzano przykład złego rozumowania. Po dwóch dniach jednak zdjęto. Bez wyjaśnień. Czemu ten nagły zwrot? Może profesor przesadził w swej pasji demaskatorskiej? Kto mógł dojść do takiego wniosku? Dyrektor? Inni profesorowie? Wszyscy razem?

Cecylii groziło niedopuszczenie do matury!

Ja wiedziałem, że to przez Pana, ona — że przeze mnie!

Pracę Cecylii mają omawiać na lekcji polskiego! Będzie mogła się bronić! Dano jej szansę!

Moji koledzy zwykli mówić: — dobry tekst broni się sam. Pański się nie obronił.

Wie Pan o co się w tej chwili modłę? By za dwa dni był ładny wieczór i aby podczas lekcji polskiego, okno było otwarte. Chęć być pod tym oknem!

Chęć być świadkiem sądu nad Pańskim tekstem!

Los nie był łaskawy. Przydzielił nie najlepszego obrońcę. Oskarża profesor. Znam go. Z widzenia, oczywiście. Wzrost 175, waga 90. Młodość w ZMP. Ukończony WUML, studia odbywa zaocznie, o magisterium pewnie jeszcze nie myśli. Wyobrażam go sobie, jak wchodzi za dwa dni do klasy. Patrzy na Cecylię ze złością. Być może oberwało mu się za tę pracę wywieszoną na korytarzu. Nigdy się chyba nie dowiemy, czy ustalili kto był autorem. Szkoda. Do rzeczy jednak. Dziewczyna wytrzymuje spojrzenie i już wiem, że kokietuje, niby się boi, bo się boi, ale część tego leku przekazuje tamtemu i profesor powoli traci pewność. Już ja ją znam. Tamten pomyślił sobie zapewne: ładna, bardzo ładna, lecz głupia, och jaka głupia, a może przebiegła tylko? przebiegła też, ale głupia z pewnością, czemu taka głupia? kto ją nasiał, kto wykorzystuje? co ona robi? aha, pracuje w zakładach drobiarskich, w zeszłym tygodniu pisali w prasie, że nie wyrobili tam planu, dyrektora zmienili, głupota, nie wyrobili planu, bo kury jaj nie niosły, a im obcinano premie, nie dziwnego że protestowali, teraz... hola, hola... gdzie to ona się przeniosła?... do gospodarki komunalnej, praca równie głupia, roboty specjalnej nie ma, a to, co

robi, to oglupia, ach, jak oglupia, a jak nic nie ma do roboty, to wymyśla takie bzdury...

Czort go wie, co sobie jeszcze pomyśli.

Co ja myślę w tej sytuacji? Najprostszym wyjściem byłoby pójść do tego belfra i oskarżyć Pana. Właśnie Pana. Głupia historia, nie mam żadnych wyrzutów, że to niemoralne, Panu to nie zaszkodzi, ja uratuję.

A jeśli on o Panu nic nie słyszał? I zacznie mnie wypytывать? Co się dowie?

Opowiem o Panu, że jak wielu pisarzy uwikłany jest Pan w historie kłopotliwe, które mogą stanowić dla pisarza pożywkę, lecz i kamień u nogi. Opowiem, jak Pan grzęźnie w polskości i na swój sposób buntuje się przeciw niej. Przeciw Polsce posłachecko-inteligenckiej, bo tkwił Pan w takiej i taką znał — Polskę dwudziestolecia. Będę przekonywał o Pańskiej naturze gorzkiej, zaczejnej, kwaśnej, zjadliwej. Może dodam wtedy, iż nie wykluczone, że to ja sprowokowałem Pana do takiego antypoetyckiego wyznania, gdyż wystosowałem swojego czasu list z podobną propozycją. Jasne, że nie uwierzy.

Spróbuję innego manewru. Powołam się na Platona, który postulował model państwa bez poetów. A jeśli on nie czytał Platona, bo to możliwe, ja na przykład nie czytałem, a Pan?

Bez poetów? Niby można. Można też bez wojska, kucharek czy kogoś jeszcze...

Bez armii można być państwem neutralnym.

Bez kucharek jest się państwem głodującym. Nikt na to nie ma ochoty? To dopiero rozważania. Oczywiście, rozważania możliwe do pewnego stopnia.

W końcu mogę powiedzieć temu belfrowi coś w tym stylu: „nie chciałem tego mówić tak od razu, lecz po męsku rzecz stawiając, to Cecylia mi się podoba, mam wobec niej pewne zamiary...”

To nie jest, rzecz jasna, po męsku, ale jemu może się spodobać. Gotów odpowiedzieć: — Rozumiem, należało od tego zacząć, a nie nawijać o polskości i antypolskości Gombrowicza.

Bo on i tak wół Żeromskiego, w dodatku jest w programie szkolnym, a zdanie o rozrywaniu ran, by się nie zabił bloną podłości, musi każdy z jego uczniów znać na pamięć.

Dramaty kraju. Musi uczyć na podobne sytuacje. Wykladać o głosach w literaturze w obronie kraju. Jest ich dużo. Jedne gasną, pojawiają się nowe. Mniej lub bardziej ważne, ale on czuwa. On w tym odgrywa rolę ważną i poważną.

Czasem ktoś nabiera powietrza w płuca, by wydać potężny okrzyk, a słychać zaledwie syknięcie. On to rozumie. Nawet się uśmiecha. Niewykluczone, że znacznie się bawił. Jeden tekst, dwie pogrążone osoby (czy mógłbym doliczyć Pana jako trzeciego?) a on może je wybawić. Chciałby jednak usłyszeć zapewnienie: nigdy więcej fałszowania! Czy należy mu dać to słowo? Nigdy! Czy jest jednak inne wyjście?

Czy Pan wie, za co skazano Tantala? Poczestował bogów pie-

czeńią z królewicza Pelopsa. Nikt jej nie uknął. Wszyscy przejeździ okrutny zamyśl. Tantala przykładnie ukarano.

Pan ma słabszy chwyt. Biję Pan na alarm, że jesteśmy zmuszeni do zjadania potrawy, która nikomu nie smakuje. Na dobrą sprawę, nie smakuje tylko właściwie Panu. I na nic okrzyk: król jest nagi, bo to nieprawda.

Czemu więc podsunałem jej „Przeciw poetom”. Zrządzenie losu. Przypadki chodzą po ludziach. Któż mógł przewidzieć sytuację, w której tekst będzie nie tylko powodem dyskusji, lecz czymś więcej: instytucją mogącą nagle zaważyć nad czymś losem. (Też spisywano wielkość). Inna sprawa, że decydujący głos należeć będzie do ludzi złych i ograniczonych, a Pański tekst czyni ich bardziej jeszcze agresywnymi i zaślepienymi.

Nie czas teraz, bym wykladał swój punkt widzenia i spierał się z Panem odnośnie zarzutów przeciw poetom. Są one różnej skali i kalibru, czy mówiąc lepiej — wyłożone w ten sposób, iż czytelnik staje po stronie krytykowanych. Można gardzić poetą, poetami. Po cóż jednak odgradzać się od nich drutem kolczastym i rowem z wodą?

Sięgam po jakiś tom wierszy. Wynikają z czyjegoś wzruszenia, które dla nas nic nie znaczy, bo ubrane w słowa dziwaczne, metafory wyszukane, jałowy lament nad utraconą młodością, miłością.

Co zrobić ze swoją poezją? Postanawiam wyrzucić wszystkie swoje wiersze. Jest ich pięć, w tym trzy dedykowane Cecylii. Jeden opublikowano w „Kamieniu”. Patrzę na ten wiersz i czuję się tak, jakby Cecylia pokazała mi język.

Nie przestanę myśleć o poetach. Nie podlegają ochronie naturalnego środowiska. Gdyby podlegali, wtedy też można by występować przeciw nim. Wtedy poruszenie mogłoby być znacznie większe.

Nikt nie zbadał, ilu poetów przypada na 100 tysięcy mieszkańców. Ciekawe, ilu zbirów mieści się w tej liczbie? Niewykluczone, że poetów więcej. Czy życie jest przez to łatwiejsze?

Poetów zaczęto wykorzystywać. Namawiać na pisanie wierszy o poczie, lotach kosmicznych, strażakach, górnikach. Niektórym przynajmniej się nagrody.

Do czego wykorzystywać zbirów?

Czemu żądałem od Pana wystąpienia przeciw poetom? Co chciałem, jakich obrachunków z poezją, co mi się nie podobało?

Nie potrafiłem tego określić i nie potrafię. Liczyłem na Pańską pomoc.

Jest coś napuszonego, sztucznego w ich postępowaniu. Jakaś zabawa w salonowe głupstewka tych ponuraków uchodzących za wrażliwców, pseudointelektualistów dumających pod kioskiem z piwem, oddających się w opiekę muzy i polecających swe talenty mecenasom, nie rozumiejących historii, bez poczucia hu-

moru, czyhający ci na Boga, baranów w brabanckich koronkach — ale ja tu już popadam w Pański ton. A przecież nie oto chodzi.

Pozdrawiam serdecznie

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

P.S.

A jednak Cecylii do matury nie dopuścili...

List nie został wysłany. W lipcu 1969 r. prasa doniosła o śmierci Witolda Gombrowicza.



Lider i peleton ekspertów

Jeśli emerytowanemu rolnikowi jakaś podła szuja podwędzi konia, rolnik ten, człowiek doświadczony, przedwojenny, w pierwszym rzędzie pędzi czym prędzej do swojego głównego wroga we wsi, a jeżeli jego podejrzenia nie sprawdzają się, składa meldunek MO, po czym udaje się do miasta do najlepszej wróżki. Brak konia w gospodarstwie to kłopot wielki.

Kłopoty miewa również telewizja, a kłopot w tym publikatorze o wielomilionowym nakładzie urasta do rangi problemu. Najwięcej „końskich” problemów zabezpiecza sobie „Pegaz”. Wiadomo, że u nas w kulturze problemy rosną jak grzyby po deszczu, ba, sama kultura jest problematyczna. Jeżeli ktokolwiek z Państwa zastanawiał się, czy komiks jest potrzebny lub czy Hanuszkiewicz to reżyser czy hochszapieler i nie doszedł do rozstrzygających wniosków, to te wszystkie wypryski na szarej masie mózgowej usunie bezboleśnie telewizja. Problemu zresztą może być więcej, np.: czy sztuka współczesna istnieje? Czy czytana jest poezja współczesna? Czy „i Dekameron” to Boccaccio czy Hanuszkiewicz? Czy Sandauer to wariat czy nie? Po co nam muzea? lub konfrontacje filmowe? itd. itd...

Wzwałi gorydząki oto rozsypuje się na naszych oczach jak zwykła sznurówka w wietnamskich trampkach, jeśli przed kamerą posadzimy eksperta. Albo najlepiej dwóch; wtedy jeden niezależnie od przekonań „pozakineskopowych” musi nie zgadzać się z tym drugim. Sadzenie przed kamerą dwóch ekspertów o tym samym zdaniu jest samobójczym zabiegiem tautologicznym.

Ekspert powinien być z centrali, najlepiej jeśli jest oryginałem, czyli jednostką kontrowersyjną o dużych zdolnościach fermentotwórczych. Mile widziany jest facet o nieszablonoowym sposobie bycia, nie dostający skureczu wszystkich mięśni przed kamerą (pełny luz — bez dłubania w nosie oczywiście), czy też utytułowany naukowiec, poważny gość o niepowtarzalnej „zdolności wywoływania skandali”. Skoro rysowały takie mogą wskazywać na np. Zygmunta Kalużyńskiego i Artura Sandauera tym gorzej dla rysopisów.

Zygmunt Kalużyński to człowiek telewizji, czyli nasz człowiek. Niczym instytucja charytatywna stawia się na wezwanie TVP do odbycia zasadniczej służby w stopniu starszego eksperta. Nawet jeśli trzeba rozwiązać zagadkę o posmaku kryminalnym — kryptonim akcji „XYZ” — p. Zygmunt stawia się na życzenie Niny Terentiew, a wbrew podświadomości Wacława Sadkowskiego, którego tylko wrodzona subtelność i wdzięk oratorsko-aparycyjny pozwalają przed skądiniec niesforne rozluźnionego eksperta Kalużyńskiego. Kalużyński wie, że jest dobry, i to jest

W polityce nikt nigdy nie wygrywa całkowicie; (...) Nic jednak także nie bywa całkowicie stracone. (...) każda polityka wydaje się nam swego rodzaju porażką.

François Mauriac

pozytywne, bo Kalużyński jest dobrym na renesansowy sposób; zna się na wszystkim. Lub prawie wszystkim. Nie jest to jednak hochstaplerstwo, bo ekspert Kalużyński potrafi się przyznać do chwilowego braku kompetencji. W biuletynie informacyjnym Finału Festiwalu Kultury Studentów PRL, pt. „Szóstka” (Poznań, 25 X 78 r.) Kalużyński wyznaje: „O kulturze studenckiej nic nie wiem, bo się nie zajmowałem. Nie potrafię odpowiedzieć. Nie jestem materiałem do tej ankiety. Przepraszam”. To jest to: być dobrym, ale pozostać sobie małym ientyl na oddech w ustawicznym ekspertyzowaniu.

Zaletą Kalużyńskiego jest poważne — nie dajmy się zwieść chwilowym uśmiechom, które raczej są wyrazem lekkiego kokietowania rozmówcy i widza — traktowanie wszystkich problemów. Nie ma spraw błahych i nieważnych. Widać poza tym, że Kalużyński — dysponujący świetnym ripostującym refleksem — przemyslał większość spraw, zanim sformułowała je publicznie telewizja. Można więc zaryzykować twierdzenie, że p. Zygmunt wyprzedza nieco epokę, w której przyszło mu egzystować (czy raczej ekspertyzować). A to już coś znaczy.

Za liderem ekspertów mały wachlarzyk grupy połączowej, posiadający jednak znaczną przewagę nad zasadniczym peletonem. Lider, aby nie utracić kontaktu wzrokowego, często kontaktuje się z grupą połączową, w której kręcą: Artur Sandauer, Jerzy Adamski, Wacław Sadkowski, Jerzy Urban. Taktyka różna: Urban jakby jechał na kole, trochę pasywnie, z dystansem, jakby nie wierzył w powodzenie ucieczki, Sadkowski kręci, ale sprawia wrażenie nieświadomego celów kręcenia, Adamski wie, że jako znakomity teoretyk mógłby narzucić odpowiednie tempo, ale praktycznie kręci swoim rytmem, Sandauer — niekoronowany król peletonu, zdobywa punkty na stronnych podjazdach w górskich premiach (dobry jest w jeździe indywidualnej), ale rezultaty rozgrywek finałowej zdają się go nie interesować.

Czasem do grupy połączowej doświadcza KTT, ale zbyt nerwowe operowanie przerzutką nie pozwala na rytmiczną jazdę, stąd znaczne wahania formy. W zasadniczej grupie różnorodność umiejętności, technik i chyba gorzej wyposażenie sprzętowe. Całe szczęście, że w przeciwieństwie do dyscyplin zimowych nikt nie może narzekać na złe smarowanie.

Telewizja może być zaskoczony tak małą grupką liderów, znużony tymi samymi twarzami. Ale interesują nas najlepiej, a oko kamery wybiera właśnie ich. Krakusy w olbrzymim peletonie są częste i nie są widokiem przyjemnym. Choć przecież trzeba się liczyć z tym, że porażki liderów są najdotkliwiej odczuwane, a dewiza „bój mistrza” w telewizji nie obowiązuje.

Czytelnik może się zastanawiać, jaki jest najczęstszy finał historii ze skradzionym koniem. Otóż przeważnie koń wraca do właściciela (raczej dzięki MO niż wórcze) i sprawa kończy się happy endem. Jeśli nawet nie wróci, to zadowolony jest złodziej, bo wiadomo, że nie ma sensu zgładzać w zęby koniowi poniekąd darowanemu. Chyba, że jest to koń trojański.

JKM

W czasie strajków na Wybrzeżu, w sierpniu b.r., zarząd Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich w Lublinie przesłał do Sejmu PRL i MKS w Gdańsku telegram, którego treść przytaczamy:

Koło Młodych Pisarzy
przy Związku Literatów Polskich
w Lublinie

SEJM
POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ
Warszawa
ul. Wilejska

Zarząd Koła Młodych Pisarzy przy Związku Literatów Polskich w Lublinie pragnie wyrazić szacunek i uznanie dla konsekwentnej postawy robotników Wybrzeża w walce o respektowanie podstawowych praw narodu. Stanowisko robotników nie godzi w polską rację stanu i pryncypia ustrojowe, przeciwnie — jest ono ich najlepszym wyrazem. Wszyscy pragniemy mocnej i sprawiedliwej Polski. Domagamy się stanowczo jak najszybszego rozpatrzenia robotniczych postulatów, bardziej odważnego stanowiska rządu w przeprowadzaniu reform społecznych, tak, aby skończyć wreszcie z naprawianiem błędów i wytworzyć mechanizmy, które pozwolą ich nie popełniać. Niepokoi nas fakt, że w kraju o wiekowych tradycjach tolerancji trzeba przypominać o przestrzeganiu swobód obywatelskich.

Zarząd Koła Młodych
przy Związku Literatów Polskich
w Lublinie

[podpisali:] Bogusław Wróblewski, Zbigniew Fronczek, Waldemar Dras, Stefan Aleksandrowicz, Jerzy K. Misiec, Waldemar Żelazny, Krzysztof Paczuski

Otrzymują:

1. Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w Gdańsku
2. Polska Agencja Prasowa, Warszawa, Al. Jerozolimskie 7.

Fotografia barwna
STEFAN CIECHAN

Zrealizowano przy pomocy
ZW SZSP i ZW ZSMP

Adres redakcji
20-022 Lublin
ul. Okopowa 7, I piętro, p. 17

Na pierwszej str. okładki
Jan Popak Kobieła i miejscy
Na czwartej stronie okładki
Jan Popak Nieuolnik arcyświąt

WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1989

Wydanie I. Nakład 9000+577 egz. Ark. wyd. 14,8.
Ark. druk. 11,5+1 wkładka barwna. Papier druk.
ast. Ml. III, 70 g. 81X88 cm. Oddano do składania
2 maja 1989 r. Druk ukończono w październiku
1989 r. Cena 12 zł.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN,
Lublin, ul. Unicka 4. Zam. nr 1788. W-4